AGNIESZKA
ROSTKOWSKA



WOJOWNICY O SZKLANYCH OCZACH

W POSZUKIWANIU NOWEJ TURCJI

WP

WOJOWNICY O SZKLANYCH OCZACH

W POSZUKIWANIU NOWEJ TURCJI

Redaktor prowadzący: Bogumił Twardowski
Marketing i promocja: Agata Gać
Redakcja: Adrian Stachowski
Opieka redakcyjna: Katarzyna Surmiak-Domańska
Konsultacja merytoryczna: Piotr Zalewski
Korekta: Justyna Techmańska, Agnieszka Czapczyk
Łamanie: Grzegorz Kalisiak
Projekt layoutu: Maciej Majchrzak
Projekt okładki: Magda Bloch
Zdjęcie na okładce: Uriel Sinai/Getty Images
Zdjęcie na wyklejce: Agnieszka Rostkowska
Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

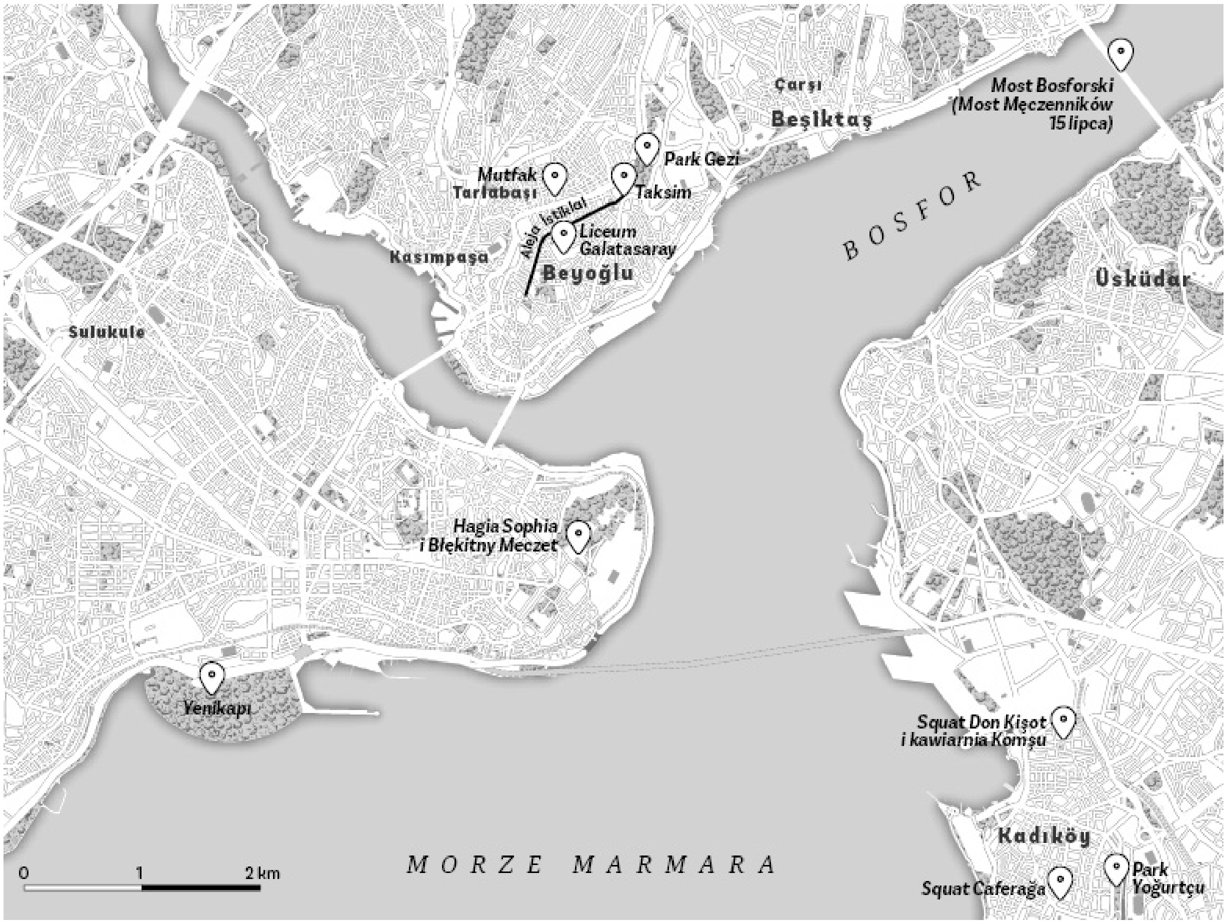
eISBN 978-83-66570-89-4

Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o.
ul. Fredry 8, 61-701 Poznań
tel.: 61 853-99-10
redakcja@wydawnictwopoznanskie.pl
www.wydawnictwopoznanskie.pl

Mojej Mamie

Spis treści


RUMUNIA
BUŁGARIA
MORZE CZARNE
GRUZJA
AZER-BEJ-DŻAN
ARMENIA
IRAN
TURCJA
Stambuł
Düzce
Bursa
ANKARA
Diyarbakır
Cizre
Silopi
Nusaybin
Şanlıurfa
Çukurkuyu
Niğde
Gaziantep
Nizip
Kobane
İzmir
Hatay
Aleppo
IRAK
SYRIA
Antalya
Pınarbaşı
GRECJA
MORZE ŚRODZIEMNE
CYPR
LIBAN
0
100
200 km


Most Bosforski
(Most Męczenników
15 lipca)
Çarşı
Beşiktaş
Park Gezi
Mutfak
Tarlabaşı
Taksim
Aleja İstiklal
Liceum
Galatasaray
Kasımpaşa
Beyoğlu
BOSFOR
Üsküdar
Sulukule
Hagia Sophia
i Błękitny Meczet
Yenikapı
Squat Don Kişot
i kawiarnia Komşu
Kadıköy
0
1
2 km
MORZE MARMARA
Squat Caferağa
Park
Yoğurtçu

W tekście najczęściej posługuję się turecką pisownią imion, nazwisk, miejsc, nazw organizacji i terminów. Poniżej podaję wymowę tureckich głosek:

‘c’ wymawiane jak polskie ‘dż’

‘ç’ wymawiane jak polskie ‘cz’

‘ğ’ w otoczeniu samogłosek a, ı, o, u nie wymawiane, a jedynie przedłużające wymowę poprzedniej samogłoski, natomiast w otoczeniu samogłosek e, i, ü, ö wymawiane jak ‘j’

‘j’ wymawiane jak polskie ‘ż’

‘ö’ wymawiane jak w języku niemieckim

‘ı’ wymawiane jak polskie ‘y’

‘ş’ wymawiane jak polskie ‘sz’

‘ü’ wymawiane jak w języku niemieckim

‘y’ wymawiane jak polskie ‘j’

Nikt nie zauważył, kiedy przyszła. Zaczęła zaglądać na wyborcze wiece, pojawiać się w telewizyjnych debatach i prasowych komentarzach, aż zdominowała przemówienia polityków i zawładnęła wyobraźnią zagranicznych komentatorów. Jedni mówili o niej jak o wybawieniu, inni jak o klątwie. Nazwana, ale niezdefiniowana, Nowa Turcja odmieniła życie Turków, zanim zdążyli się zorientować.

Mit

„Czy wyjdzie mi na spotkanie z oddali, czy też nagle wyrośnie przede mną w całej swej wielkości? Czy będzie budził przerażenie? W jaki sposób przeprowadzi mnie na drugą stronę? Wykreśli moje imię z księgi, w której zapisywał wszystkie moje uczynki? Okryje potężnymi czarnymi skrzydłami?” – zastanawiał się Ahmet Alkılıç, czekając na Azraela, anioła śmierci. Jedno wiedział na pewno. Jeśli zobaczy światło, nie pójdzie w jego stronę. Zamierzał negocjować.

„Powiem mu: Nie! Trzydzieści dwa lata to jeszcze nie czas. Żona, trójka dzieci, najmłodsza córka nie ma nawet trzech miesięcy. I tyle obowiązków! Choć część z nich muszę najpierw podomykać, jakoś to zorganizować” – przygotowywał się Ahmet.

Ale Azrael nie przychodził. Wkoło była tylko ciemność, a w niej głosy, krzyki, strzały. Ahmet zorientował się, że nadal wszystko słyszy. Czyli chyba wciąż żyje!

Z kakofonii na pierwszy plan wybijało się charczenie silnika. Gdzieś go wiozą. Chaos powoli cichnie. Odgłos płytkich, świszczących oddechów. I kroków, spiesznych, a zarazem spowolnionych jakimś ciężarem. Najwyraźniej ktoś, z wielkim trudem, go niesie.

– Lekarza, szybko! – Znajomy głos odbija się trwogą od ścian korytarza. Czyżby szpital? Tak!

Westchnienie doktora: – Jego stan jest bardzo poważny.

A potem już tylko cisza.

W ten piątkowy wieczór 15 lipca 2016 roku Elvan Alkılıç, żona Ahmeta, była z dziećmi w domu, gdy w Stambule coś zaczęło się dziać. Skoro zamykają Most Bosforski, łączący europejską i azjatycką część miasta, to

może zamach terrorystyczny – przypuszczała. Na wszelki wypadek zadzwoniła do męża. – Wyjdź już z tej pracy, coś jest nie tak na mieście, lepiej, żebyś był z nami.

Kiedy Ahmet dojechał do domu, sąsiedzi tłoczyli się wokół telewizora wiszącego przy recepcji ich zamkniętego osiedla, bez słowa wpatrując się w pobladłą twarz premiera Binaliego Yıldırıma. Ahmet nie musiał słuchać jego przemówienia. Przecież wszystko było już jasne. Na ulicach żołnierze i czołgi – to musi być zamach stanu. Znowu! Wojskowi przeprowadzili w Turcji już trzy pucze – w 1960, 1971, 1980, a w 1997 roku byli o krok od kolejnego. Za każdym razem wierzyli, że wypełniają podstawowy obowiązek tureckiej armii, jakim jest stanie na straży demokracji i świeckości państwa.

Ahmet czuł jednak, że tym razem ci ludzie w mundurach nie są prawdziwymi żołnierzami. To zdrajcy, którzy przeniknęli do armii i latami czekali, aż będą mogli zaatakować i przejąć władzę. Jeśli im się powiedzie, to koniec. 15 lipca 2016 roku przejdzie do historii jako kres jego ojczyzny. Całe ciało wypełnił mu ogień, a w głowie pulsowała jedna myśl: „Nie pozwolę im na to”.

Te same gniewne płomienie zawładnęły myślami Elvan. Gdy Ahmet wbiegł do mieszkania, jej wzrok w ułamku sekundy powiedział mu: „Ja też im na to nie pozwolę”.

Włączyli telewizor. Hande Fırat, prezenterka CNN Türk, trzymała w dłoni smartfona. Z jego ekranu prezydent Recep Tayyip Erdoğan na żywo wzywał rodaków do wyjścia na ulice.

Później przyszło kolejne wezwanie. Znane od wieków, śpiewne, przejmujące do głębi. Spłynęło z góry, z minaretów. W całym kraju z meczetów popłynęła *sela*, wezwanie na nabożeństwo pogrzebowe, które ma też drugie znaczenie – mobilizuje do walki, wzywa na świętą wojnę.

Apel prezydenta oraz *sela* tylko utwierdziły Ahmeta i Elvan w decyzji, która już w nich zapadła.

– Tak bardzo chciałam iść! Ale jak bronić ojczyzny z trójką małych dzieci? Uzgodniliśmy: ja z nimi zostaję, a Ahmet idzie. – Elvan poprawia

zawiązaną w turban chustę, chyba tylko po to, by zrobić coś z dłońmi. – Poszedł z naszym bliskim przyjacielem w stronę mostu już zablokowanego przez czołgi. W tamtej okolicy znajdował się także dom prezydenta Erdoğana, więc to był naturalny kierunek, który wszyscy obierali. Trzeba było powstrzymać żołnierzy na moście i ochronić dom prezydenta, nawet jeśli jego samego w nim nie było. Zamach stanu przerwał mu wakacje w nadmorskim kurorcie Marmaris.

Byli już całkiem blisko mostu, gdy Ahmet nagle dojrzał swojego ojca. Nie wiedział, że on też tu jest. Ruszył w jego stronę, gdy ktoś chwycił go za rękaw: „Nie idźcie dalej, zabiją was”. Ahmet szarpnął ręką i po kilku chwilach zrównał się z ojcem. Wtedy usłyszeli strzały. Momentalnie rzucili się do biegu. Nie uciekali. Biegli w kierunku, z którego strzelali.

Ludzie jak w amoku wbiegali na most. Niektórzy równie szybko wracali. Nieruchomi, oszołomieni, zakrwawieni, taszczeni na plecach albo przewożeni na motocyklach i skuterach. Filmowani i fotografowani przez przerażonych świadków, niemal natychmiast pojawili się w mediach społecznościowych.

– Dzwonię do męża. Nie odbiera. – Dłonie Elvan zwalniają swoją gestykulację, zwalnia i oddech, jakby była pod wodą. – Dzwonię więc do teścia. Zanim się odezwał, już do niego krzyczę: „Wracajcie, strzelają! Strzelają bez zawahania!”. Teść na to: „Dziecko, połóż się, zobaczymy się jutro”. Rozłączył się. Położyłam się, ale nie spałam. Telewizor chodził do rana. Już świtało, gdy zamglonym wzrokiem zerknęłam na ekran. Na ekranie czołg, a na czołgu te same spodnie, ta sama koszula, ten sam wzrost i rosła postawa, stoi z piersią dumnie wypiętą, ręce w geście zwycięstwa, mój Ahmet!

Elvan chwyciła za komórkę i natychmiast zrobiła zdjęcie. Kiedy dzisiaj na nie patrzy, nie chce wierzyć, że mogła wziąć tego człowieka za swojego męża. – W ogóle niepodobny! Myślę, że to był znak od Boga, by mnie uspokoić, nie dopuścić do mnie prawdy, że Ahmet zapadł się już w ciszę.

Cisza wciąż dzwoniła Ahmetowi w uszach, kiedy ten z trudem otwierał oczy. Biała pościel i szpitalne łóżko były nieostre, tak samo jak wisząca nad nim twarz jego wuja.

– Zwyciężyliśmy? – zapytał Ahmet.

– Tak, zwyciężyliśmy. – Wuj kiwnął głową. Pucz stłumiono jeszcze tej samej nocy.

Ahmet zaniósł się płaczem. Przez następne pięć miesięcy nie wypowiedział ani słowa.

Czekali z telefonem do Elvan, aż skończy się operacja. Trwała pięć godzin. Teść zadzwonił do niej następnego dnia. Powiedział, że Ahmet został postrzelony. Kula tylko musnęła ucho – nie umiał zdobyć się na prawdę – wszystko dobrze, jest w szpitalu. Może do niego pojechać.

W szpitalu zebrała się już niemal cała rodzina. – Tylko nie płacz jak go zobaczysz – przestrzegli ją. Kiedy weszła do sali, spał. Cały podłączony do aparatury. Podeszła do łóżka. Obudził się, spojrzał na nią, złapał za rękę i kurczowo trzymając, zaczął szlochać. Chciał zapytać *nasılsın?*, jak się masz?, ale pytanie zamierało na szeroko otwartych ustach. Z całej siły wypychał je dalej przeponą, ale na zewnątrz wydostawały się tylko niewidzialne bańki. Pękając, uwalniały przerażający dźwięk: ke, ke, ke.

– W tym momencie wszystko się dla mnie skończyło. Patrzę na ojca, patrzę po twarzach rodziny. Ich oczy z napięciem utkwione we mnie. Wdech, wydech, zebrałam się w sobie i ruszyłam wprost do pokoju lekarzy. Doktor tłumaczył, że to efekt uboczny znieczulenia, narkozy. A ja do niego: „Cztery razy byłam w narkozie, w znieczuleniu urodziłam trójkę dzieci. Powiedzcie mi prawdę!”.

Doktor opuścił z rezygnacją ręce. Przyznał, że to skutek wstrząsu mózgu i że Ahmet będzie wracał do siebie bardzo powoli. O ile w ogóle wróci. Wtedy Elvan zemdlała.

To był jedyny moment, kiedy słabość wzięła nad nią górę. Potem świdrujący ją wzrok rodziny czuła jeszcze silniej. Ciągle dzwonili do niej przypomnieć, że przecież mają dzieci, że to o nich trzeba teraz myśleć,

o nie zadbać. Przez następne miesiące Elvan nie pozwoliła sobie nawet na płacz.

Z ośmiu dni na intensywnej terapii Ahmet pamięta tylko przebłyski. Głównie jak podają mu leki, po których wszystko rozpływa się i niknie. A potem wypis ze szpitala.

Jego świat przypominał puzzle, których nie sposób było do siebie dopasować. Pamiętał twarze, wiedział, że znajome, ale do kogo należą, z jakimi łączą się imionami – tego już nie. Gdzie mieszka? Ile ma dzieci? Znaki zapytania mnożyły się i rosły, boleśnie wypełniały i rozsadzały głowę. Słowa nie dawały się wypowiedzieć, wyrazy nie pozwalały zapisać ani odczytać.

Zaczęły do niego wracać po pięciu miesiącach. Wypowiadał je z trudem, pojedyncze i inne, niż mu się wydawało. Myślał, że mówi „telewizor", a mówił „szafa". Rodzina nie mogła go zrozumieć. Więc on w kółko „szafa, szafa, szafa", coraz bardziej zły, że on im powtarza, a oni nic.

– Lekarze mówią o cudzie, nie mam prawa normalnie funkcjonować. – Ahmet uśmiecha się, kiedy rozmawiamy dwa i pół roku później. Postawny, wysoki mężczyzna, siedząc obok żony, opowiada mi, co wydarzyło się w noc puczu. – Bóg zabrał ode mnie cały strach. Wbiegałem na most pewny, że nie dosięgnie mnie żadna kula. A nawet jeśli dosięgnie, to i tak nic mi nie zrobi. Aż tu nagle świst i podmuch, przeszywający, zimny. Pocisk przemknął tuż przy uchu. Zaczęła się seria. Instynktownie padliśmy na ziemię. Kiedy ustała, zerwaliśmy się i znów biegiem w stronę czołgów. – Ahmet delikatnie przeczesuje palcami długie na kilka centymetrów gęste włosy. Zapuścił, by nie było widać wyrwy w czaszce. – Kiedy od żołnierzy dzieliło nas nie więcej niż sto pięćdziesiąt metrów, znów zaczęli strzelać. Ponownie rzuciliśmy się na ziemię, ale było za późno. Trafili mnie w głowę. Pocisk odłupał kawałek czaszki, po lewej stronie. Sekundę później kolejna kula przeszyła ramię. A potem nastała ciemność.

Przyjaciel Ahmeta dźwignął go na plecy i usiłował stamtąd wydostać, przerzucić choć o jeden krąg wyżej w tym piekle. Z pomocą przyszedł

nieznany kierowca, wziął ich na swój motor.

– Odszukałem go, gdy już doszedłem do siebie, półtora roku później. Z nagrań z miejskiego monitoringu spisałem numery rejestracyjne motoru, po nich sprawdziłem imię i nazwisko właściciela, wyszukałem, gdzie pracuje, i poszedłem do niego do pracy. Młody chłopak, na co dzień rozwoził po mieście kebaby. Też miał na imię Ahmet. Powiedział: „Gdybym tylko mógł zrobić więcej”. Niczego nie chciał w zamian. Tej nocy zawiózł tak do szpitala wiele osób – mówi Ahmet.

Właśnie dlatego Ahmet ciągle odtwarza tę noc w swojej pamięci, jakby mu się zapętliła. – Obcy sobie ludzie biegli na most ramię w ramię, wzajemnie się obejmując, poklepując, wspierając. A potem pomagali sobie z narażeniem życia, żołnierze strzelali do tych, co ratowali rannych. Wszyscy znów byliśmy braćmi. Znów czuliśmy, co znaczy być Turkiem. I co znaczy wspólnie walczyć o coś najdroższego. 15 lipca przypomniał nam, kim naprawdę jesteśmy.

Spodziewałam się podobnych zdań. Tyle że napompowanych, pełnych patosu, może nawet propagandy. Ale wszystkie zdania Ahmeta są lekkie, harmonijne, a on i Elvan cali są spokojem. Spokojne są ich głosy, gesty, tempo, w jakim mówią. Spokojne jest nawet ich mieszkanie, urządzone w bieli i delikatnych beżach, pełne kwiatów i jakiegoś nieuchwytnego poczucia czystości i przestrzeni. Rzadko widzi się w ludziach taki spokój, co otula, niesie ukojenie, chroni.

Ahmet żałuje tylko jednego. Że tej nocy nie wziął ze sobą Elvan i Ömera, najstarszego, wówczas ośmioletniego syna, by mogli poczuć to, co on. Za te uczucia warto było oddać cały rok życia, który zabrała mu walka o powrót do zdrowia. Jeszcze niezakończona, bo Ahmet nadal zmaga się z silnymi bólami. Im dłużej rozmawiamy, tym częściej wypuszcza z siebie ten ból ciężkim, przytłumionym wydechem. Po naszej rozmowie jednak nie odpocznie. Zaraz jedzie do pracy.

– To ta praca nie pozwoliła, by nić łącząca mnie z życiem pękła – tłumaczy. – Jestem architektem, nadzoruję wiele budów w Stambule. Prezydent Erdoğan ciągle powtarza: musimy ciężej i więcej pracować dla

naszego kraju. Powiedział to też w jednym z przemówień po zamachu stanu. Te słowa nadały mojej pracy jeszcze głębszego sensu. Wiem, że to, co robię, przekłada się na rozwój Turcji. Puczyści chcieli nas zatopić, to niech teraz patrzą, jak wypływamy na szerokie wody.

Tego, który posłał mu kule, Ahmet nie próbował odnaleźć. Konkretnego nazwiska nie sposób dociec. Zresztą i tak liczy się tylko jedno nazwisko: Gülen. Władze Turcji uznają, że to on stoi za próbą zamachu stanu.

Postać Fetullaha Gülena mogłaby zrodzić się w umyśle pisarza bądź reżysera owładniętego manią spiskowej teorii dziejów. Ale że rzeczywistość jest ciekawsza niż fikcja, to zrodziła go turecka ziemia. To religijny myśliciel, który swoje wpływy zaczął budować jako imam. Posługę wykorzystał, by pozyskać zwolenników. Oni utworzyli wokół niego enigmatyczny ruch, znany jako Hizmet, po turecku – służba, albo Cemaat, wspólnota. Kluczową rolę odegrali w nim anatolijscy przedsiębiorcy, finansując zakładane przez Gülena na całym świecie fundacje i centra kultury, a w Turcji również media, instytucje finansowe oraz szkoły i uniwersytety. Te ostatnie znane były z wysokiego poziomu nauczania, dzięki czemu ich absolwenci dochodzili do najwyższych stanowisk, między innymi w armii, policji i wymiarze sprawiedliwości. W ten sposób utworzyli państwo w państwie. Byli nieuchwytni – członkostwo w ruchu jest nieformalne – a zarazem nietykalni. „Każdy, kto odważy się ich dotknąć, spłonie” – pisał dziennikarz śledczy Ahmet Şık.

Sam Gülen w 1999 roku wyjechał do USA. Oficjalnie na leczenie, ale powszechnie uważa się, że spodziewał się oskarżenia o prowadzenie działalności wymierzonej w świecki ustrój państwa. Tuż po jego wyjeździe turecka telewizja wyemitowała nagrania, na których apeluje on do swoich zwolenników, by czekali z przejęciem władzy w Turcji na odpowiednie warunki, a do tego czasu poruszali się w arteriach systemu niezauważeni. Gülen oświadczył, że taśmy zostały zmontowane. Niedługo później z niczego już nie musiał się tłumaczyć. W Turcji pojawiła się nowa partia, AKP[1], a Erdoğana z Gülenem połączył sojusz, oparty na religijnym

światopoglądzie i dążeniu do osłabienia wpływów tureckiej armii. Jeszcze zanim cel ten osiągnięto, w 2008 roku Gülen został oczyszczony z zarzutów. Do kraju jednak nie wrócił. Z czasem górę wzięły różnice i niechęć do dzielenia się władzą. Sojusz przerodził się w wojnę. Wbrew temu, co pisał Şık, Erdoğan nie spłonął. A Gülen obserwuje upadek swojego imperium.

Już następnego dnia po puczu rozpoczęto czystki – w armii, wymiarze sprawiedliwości, szkolnictwie, mediach. Ich celem byli spiskowcy i ich sprzymierzeńcy, ale sieć zarzucano coraz szerzej i głębiej. W jej drobne oczka łapali się przede wszystkim biurokraci związani z ruchem Gülena, a potem Kurdowie, lewicowcy i inni przeciwnicy głowy państwa. Stąd też szybko pojawiły się sugestie, że rzekoma próba zamachu stanu została ukartowana przez samego prezydenta. Oscar za reżyserię i rolę pierwszoplanową – żartowali Turcy na ulicach. Jednak kiedy Erdoğan cztery dni później wprowadził stan wyjątkowy, mało komu było już do śmiechu. Przedłużany co trzy miesiące na kolejny okres stan wyjątkowy obowiązywał dwa lata. Zmienił oblicze Turcji tak gruntownie, że w dniu jego zniesienia krytycy prezydenta jedynie wzdychali z rezygnacją. Kończy się tymczasowy stan wyjątkowy, zaczyna permanentny – mówili.

W życiu Ahmeta zmiany ograniczyły się do kilku drobnych niespodzianek. Gdy przyszło do płacenia czesnego za szkołę dzieciaków – chodzą do prywatnej – okazało się, że już zapłacone, wszelkie opłaty uiściło państwo. Przysłano im też bezpłatne karty na komunikację miejską, a Ahmetowi również kartę kombatanta. Jakie daje korzyści? Ahmet odpowiada dopiero po dłuższym namyśle, nieco bezradnie. Na pewno zwalnia z podatków i przyznaje prawo do bezpłatnych badań w szpitalu. Ale tak dokładnie to nie wie. Mają dobrą sytuację finansową, więc z niej nie korzystają.

Niespodzianką był też powrót pytań. Na szczęście tym razem Ahmet zna odpowiedzi. – Bolało? Bardzo? Jak bardzo? O to najczęściej pytają w podstawówkach – śmieje się. – W liceach bardziej interesują ich emocje, dylematy i wartości, takie jak wspólnota. Nie ma miesiąca, żebym nie

jechał do jakiejś szkoły, ciągle mnie zapraszają. Lubię te rozmowy. Dużo w nich głębi.

W oficjalnych, państwowych obchodach rocznicy zamachu stanu udziału nie bierze. Nie udziela też wywiadów do rocznicowych wydań gazet. – Nie tak powinno się o tym mówić – kwituje, jakby jakiekolwiek wyjaśnienie było zbędne.

*

„To był największy atak na Turcję od czasów pierwszej wojny światowej” – pisze na pierwszej stronie prorządowy dziennik „Yeni Şafak”. Sprzedawca w kiosku przewraca oczami. To jego jedyna odpowiedź na pytanie klienta, czy na pewno wziął ze stojaka tylko jedną sztukę. Wydanie jest tak opasłe, że zajmuje całą przegródkę, w której zazwyczaj mieszczą się wszystkie sprzedawane w ciągu całego dnia egzemplarze. Same dodatki zajmują sto dwadzieścia stron. Co roku 15 lipca tak wygląda wiele gazet.

„Sabri Gündüz ucałował swoje śpiące w kołysce dziecko i wybiegł bronić ojczyzny. Zdrajcy otworzyli do niego ogień. Trafili w nogę, w tętnicę. W karetce ratownicy zrobili mu opaskę uciskową z tureckiej flagi. »Tylko ta flaga trzymała mnie przy życiu« – wspomina Gündüz. W szpitalu spędził pięć miesięcy. Przeszedł czterdzieści sześć operacji. Ale nogi nie dało się uratować. »Trudno, żebym był smutny z takiego powodu. Bez nogi da się żyć, bez ojczyzny nie«” – to jedna z historii, którą można przeczytać w „Yeni Şafak”.

To przed nimi broni się Ahmet, nie chcąc zostać zredukowanym do jednego akapitu. Oprócz wspomnień bohaterów podobnych do Gündüza, gazety publikują przebieg zdarzeń minuta po minucie, sylwetki ofiar, zestawienia ich ostatnich słów, portrety zdrajców, analizy – skandalicznie nierzetelnych! – relacji zachodnich mediów.

Rocznicę zamachu stanu – albo precyzyjniej: rocznicę jego udaremnienia – uczyniono świętem państwowym, Dniem Demokracji i Jedności Narodowej. Pucz to legenda, na której buduje się zbiorową

tożsamość Nowej Turcji. Cokolwiek ten termin oznacza, bo tego nie są pewni nawet Turcy. Odkąd w sierpniu 2014 roku Erdoğan ogłosił definitywne zwycięstwo Nowej Turcji, przemawiając po wygranych wyborach prezydenckich z balkonu siedziby swojej partii w Ankarze, wszyscy spierają się o to, czym jest.

„250 osób zostało męczennikami za demokrację” – bilans tej jednej nocy wyklejono w wielkim formacie na murze przed stambulskim hotelem Hilton. Po angielsku, bo zatrzymują się w nim głównie obcokrajowcy. Liczba ofiar w rzeczywistości była większa. Ginęli nie tylko cywile. Życie straciło także kilkudziesięciu spiskowców, wśród nich kilku młodych kadetów. Rząd nie podaje ani ich liczby, ani nazwisk, by nie zostali w jakikolwiek sposób upamiętnieni. Pochowano ich na nieoznakowanym „cmentarzu dla zdrajców”, który powstał na obrzeżach Stambułu.

Dalej na murze wywieszono zdjęcia zniszczeń dokonanych przez samoloty puczystów – obrócone w ruinę siedziby sił specjalnych, komendy policji i ośrodka agencji satelitarnej, dymiący pałac prezydencki, wyłomy w murach parlamentu. Pokazano też reakcję Turków na pucz, tłumy dzierżące tureckie flagi. „Zjednoczyło się 80 milionów serc” – napisano. To tyle, ile jest mieszkańców Turcji. Nie szkodzi, że w trakcie oraz bezpośrednio po puczu większość obywateli została w domach. Tak ma to zostać zapamiętane.

Pamięć przechowywana jest też w gablotach. W Ankarze za szybami pozamykano leje po bombach. Wyrwa w asfalcie przed pałacem prezydenckim urosła dzięki temu do rangi eksponatu, otoczonego dodatkowo barierką. – Zdrajcy, zdrajcy, zdrajcy – słucham, jak powtarzają przed nią kilkuletnie dzieci, zupełnie jakby recytowały wyliczankę. W stambulskiej dzielnicy Eyüp gigantyczną gablotę wystawiono wprost na chodniku. W środku zmiażdżony samochód. Jeden z tych, po których 15 lipca przejechał czołg. Zaś w muzeum wybudowanym przy wjeździe na Most Bosforski, po puczu przemianowanym na Most Męczenników, zwiedzający zobaczą telefon prezenterki CNN Türk, z ekranu którego

Erdoğan wzywał Turków do wyjścia na ulice, oraz zakrwawione komórki tych, którzy wtedy wyszli i już nie wrócili.

Na Taksimie, centralnym placu Stambułu, 15 lipca obchody trwają cały dzień. Ci, którzy biorą w nich udział, przychodzą należycie przygotowani.

Staruszek ma na plecach pelerynę z tureckiej flagi. Z tureckich flag ma też spódnicę. Wsparty o kulach, cierpliwie czeka na swoją kolej. Jest następny, ale trochę to potrwa, zanim czterdziestoletni Yusuf skończy swój wpis. Kaligrafuje literkę po literce, powoli zapisując nimi całą stronę. Kolejka za nim rośnie, ale nikt się nie niecierpliwi. Wpis do księgi pamiątkowej trzeba przecież złożyć z należytą starannością. Księga umieszczona została na specjalnym podwyższeniu. Za nią, na wielkim billboardzie, widnieją nazwiska poległych za ojczyznę.

– Jestem z Niğde. – Yusuf z dumą przedstawia mi się miejscem urodzenia. Dopiero później podaje imię i wyjaśnia, że od ponad dwudziestu lat mieszka w Stambule. – Niğde to teraz niezwykle ważne dla naszego kraju miejsce – dodaje podniośle.

To jasne. Przecież stamtąd pochodzi Ömer Halisdemir.

Wysoki i dobrze zbudowany, jak na podoficera przystało, Halisdemir do zdjęć pozował najczęściej w bordowym wojskowym berecie. Czasem uśmiechnięty, częściej poważny – wtedy jego twarz nabierała surowego, stanowczego wyrazu. W tureckiej armii służył siedemnaście lat, ostatnio w elitarnym oddziale tureckich sił specjalnych w Ankarze. Tym, którego siedzibę chcieli zająć puczyści.

Halisdemir otrzymał rozkaz ich zatrzymania. Trzykrotnie postrzelił jednego z dowódców spiskowców, generała Semiha Terziego. Śmiertelnie, przez co zamachowcom posypała się struktura dowodzenia. W ten sposób w wieku czterdziestu trzech lat został narodowym bohaterem. Od puczystów dostał za to dwanaście kul w plecy. Zabiła go dopiero trzynasta. Ale odbierając mu życie, jednocześnie dała mu nieśmiertelność.

W rocznicę zamachu stanu Halisdemir wita przybyłych na Taksim. Wyprostowany, w mundurze i z karabinem, pozwala się otaczać i dotykać. Z jego woskową figurą naturalnych rozmiarów zdjęcie chce mieć każdy,

ledwo można się dopchać. Niektórzy oprócz zdjęcia zabiorą też do domu jedną z jego podobizn. W ozdobnej ramie, w formie breloczka, talerza bądź magnesu na lodówkę. Na straganych rozstawianych na Taksimie z okazji dorocznego święta dzielnicy, Festiwalu Beyoğlu, jest ich pełno, dorzucono je do oferty pamiątek. Oprócz portretów najlepiej schodzą czołgi. Wytapiane z czerwonego szkła jako wisiorki, a nawet jako całe zestawy z ołowiu, w których żołnierzyków zastąpiono cywilami.

Pośrodku wystawa obrazów. Halisdemir kubistyczny, Halisdemir realistyczny, Halisdemir symboliczny, przeciwstawiany karykaturze Fetullaha Gülena z wampirzymi kłami. Obok jeszcze wystawa zdjęć – tu ranni, tam wybuch radości z pokonania puczystów. Tłem są tureckie flagi – na minaretach budowanego przy Taksimie meczetu, fasadach budynków, przystankach, sklepowych witrynach, a nawet kasownikach i bramkach do środków komunikacji, tego dnia bezpłatnej.

W Stambule pasażerowie ochoczo z niej korzystają, choć widać, że cierpią katusze. Trzydzieści pięć stopni i wysoka wilgotność powietrza, ciało całe mokre, nawet klimatyzacja niewiele daje, na każdym przystanku przez drzwi wlewa się fala lepkiego gorąca. Całe szczęście, że pod wieczór robi się chłodniej. Główne świętowanie zacznie się o godzinie dwudziestej pierwszej na Moście Bosforskim, teraz już Męczenników. Tym samym, na którym Ahmet minął się z Azraelem.

Przez Üsküdar, dzielnicę po azjatyckiej stronie, skąd najbliżej do mostu, ciągną już tłumy. Rodziny z dziećmi, grupki przyjaciół, pary. Niosą flagi, podobizny Erdoğana, wznoszą okrzyki: *O sultan! O sultan!* To znaczy: On jest sułtanem. Określenie, po które zazwyczaj sięgają krytycy prezydenta, tym razem jest wyrazem poparcia i dumy. Jeszcze głośniej wybrzmiewa *Ya Allah, bismillah, Allahu akbar,* Bóg jest wielki. Słowa te wykrzykuje grupa młodych mężczyzn, maszerując szybkim krokiem w zwartym szyku. Chwilę później intonuje je grupka rozbawionych dziewczyn w chustach. Wielki Bóg co rusz powraca i niesie się po świeckiej Turcji.

Na rozstawionej na moście scenie rozpoczęło się już wyczytywanie imion ofiar tragicznej nocy. Ich podobizny wyświetlane są na ekranach. Po

każdym z nich zgromadzeni odpowiadają: *Burada!*, Obecny! Tłum gęstnieje, prze do przodu, byle bliżej sceny, skąd zaraz będzie przemawiał Erdoğan. Ścisk taki, że trudno złapać oddech. Jakieś dziecko dostało histerii, podawane jest nad głowami w kierunku wozu strażackiego. Ktoś wzywa doktora.

Erdoğan już przemawia. O narodzie, który obronił Turcję, o zdrajcach, którzy zostaną ukarani. Zbici w masę ludzie powoli, uparcie przesuwają się do przodu, niemal miażdżąc sobie wzajemnie żebra. Ale takiej nocy nie czuje się bólu.

Dobiega północ, lecz emocje jeszcze nie opadły. Jeden z mężczyzn, cały owinięty w ogromną flagę, wraca do domu na dachu pędzącego *dolmuşa*, tutejszego minibusa, rodzaju dzielonej taksówki. Trzyma ręce w górze i krzyczy jak dziecko na górskiej kolejce. Inni nie spieszą się z powrotem. Całe rodziny gramolą się na wystawione specjalnie na okazję rocznicy opancerzone wozy wojskowe, by zrobić sobie na nich zdjęcie. Kupują T-shirty i opaski na głowę z półksiężycem i gwiazdą, po zakończeniu uroczystości mocno przecenione. Niektórzy rozsiadają się na trawnikach, by dojeść zapewnione przez władze kanapki. Ktoś rozłożył gazetę jak piknikowy koc. W świetle latarni tabloidowy nagłówek zdradza treść artykułu: historie rodzin, które nazwały swoich synów na cześć Ömera Halisdemira.

Chyba będzie trzeba pojechać do Niğde, *memleketu* Halisdemira. Słowo to ma znacznie głębszy sens niż tylko miejsce urodzenia. Poznając kogoś, w jednym z pierwszych zdań, pyta się właśnie o *memleket*, małą ojczyznę o szczególnym znaczeniu. Gdzie indziej dowiem się więcej o największym bohaterze Nowej Turcji?

*

Zanim zostało rozsławione przez Halisdemira, Niğde znane było głównie z przeraźliwie słodkiej truskawkowej oranżady Niğde Gazozu. Stutysięczne miasto w prowincji o tej samej nazwie to już Anatolia, jednak nie ta

z folderów biur podróży. To Anatolia konserwatywna, zdystansowana i zachowawcza. Gdzie przestrzeń jest złudna, wszystko ma swój porządek, a kobieta określone w nim miejsce.

– Jak ma na imię? Skąd przyjechała? – Mężczyzna pyta nie mnie, ale swoją żonę, mimo że ta widzi mnie po raz pierwszy w życiu. Nawet na mnie nie patrzy. Czeka, aż jego żona powtórzy i skieruje do mnie jego pytania, zupełnie jakbym ich nie słyszała. W ten sposób wymieniamy kilka zdań, dla zabicia czasu, bo ekspedientka biura jednego z lokalnych przewoźników w Niğde musi się zastanowić, co ze mną zrobić. Chcę kupić bilet na autobus do Ankary, ale na interesujący mnie termin zostały tylko pojedyncze miejsca, wszystkie obok mężczyzn. A w tej części Turcji kobieta obok mężczyzny usiąść nie może. – Co dopiero sama podróżować, rodzina by nie pozwoliła – wzdycha sprzedawczyni. Ja mogę sama podróżować, ale pracować nie jest mi tu łatwo. Ludzie nie nawiązują kontaktu wzrokowego, odpowiadają półsłówkami, trzymają dystans, który w innych częściach Turcji wydaje się nienaturalny.

Kiedy pytam o Halisdemira, jedynie zdawkowo potwierdzają, że jest stąd. – Męczennik, zginął za ojczyznę. – Ta najbardziej rozbudowana wypowiedź, jaką udaje mi się uzyskać, pada z ust właścicielki sklepu z drobiazgami. Wśród nich ani jednego z Halisdemirem, za to mnóstwo z Erdoğanem, od portfeli po notesy.

W rozsławionym Halisdemirem mieście ani śladu Halisdemira.

Nawet na placu przed urzędem miasta, gdzie jeszcze do niedawna stał jego pomnik. W urzędzie wyjaśniają zdawkowo: to z powodu przebudowy placu. Gdzie teraz jest? Wróci? – dopytuję. Nie wiadomo. Na stronach lokalnej prasy znajduję informację, że pomnikowy mąż stanu był ponoć niepodobny do samego siebie, więc rzeźbę usunięto.

Yusuf, który wpisując się do księgi pamiątkowej, opowiadał mi, jak to Niğde oddaje cześć swojemu bohaterowi, chyba dawno nie był w swoim *memlekecie*. Może powinnam wyjechać z miasta i udać się do rodzinnej miejscowości Halisdemira? To w końcu tylko kilkanaście kilometrów.

Jadę do Bor.

– Tak, tak on jest z Bor – potwierdzają pasażerowie *dolmuşa*. Koniec tematu, nie sposób pociągnąć ich za język. Radzą, by zamiast jechać do Bor, wysiąść sześć kilometrów wcześniej i obejrzeć rzymskie akwedukty.

Za oknem miga mi uniwersytet imienia Halisdemira, z jego wielką podobizną. Biorę to za dobrą monetę.

Na tylnych szybach niektórych z tutejszych samochodów dostrzegam naklejki z charakterystycznym portretem i komentarzem *Minnettarız*, Jesteśmy twoimi dłużnikami. Więcej, auta jeżdżą ulicą nazwaną jego imieniem! Ale znowu nikt nic nie mówi.

Jadę więc do Çukurkuyu, wioski, w której się urodził.

Jest wtorek, jeden z dwóch dni tygodnia, kiedy mieszkańcy okolicznych wsi przyjeżdżają do Bor na targ. Trafiam na właściwy *dolmuş*. W środku luźna atmosfera, same kobiety, śmieją się i trajkoczą z silnym anatolijskim akcentem. Zagadują same, jednym słowem: Halisdemir?

Wreszcie!

Zaczynają opowiadać. Jak to na jego grób z całego kraju przyjeżdżają szkolne wycieczki, jaka to radość, że ich wioska teraz taka rozsławiona! Ale na słowo „bohater" reagują stanowczo. – Turcja bohatera ma tylko jednego – mówią.

– To dzięki niemu nasz kraj jest nowoczesny.

– Demokratyczny.

– Wolny.

– Świecki.

– Dzięki niemu nasze córki chodzą do szkół.

– A my możemy głosować.

– Dziedziczyć majątek.

– Nawet rozwieść się możemy.

– I rządzić krajem też! – Na przemian a to kładą dłonie na sercu, a to wskazują na wetknięte za deskę rozdzielczą zdjęcie.

Spogląda z niego Mustafa Kemal. Oficer tureckiej armii, który przepędził z kraju obce siły, pozbawił władzy sułtana i w miejsce imperium osmańskiego utworzył w 1923 roku postępowe państwo, Republikę

Turecką, a sam objął funkcję jej prezydenta. Nazwano go za to Atatürkiem, Ojcem Turków, i obdarzono miłością, której wyrazy wciąż spotyka się na każdym kroku. Tam, gdzie Turcy, tam i Atatürk. Od drogich restauracji po przyparkingowe stróżówki, na fotografiach, kalendarzach, ilustracjach. Nadzoruje, naucza, składa i przyjmuje wizyty, tańczy, wypoczywa na plaży, buja się na huśtawce. Jego pozłacana twarz bacznie obserwuje znad tablic uczniów w salach szkół i uniwersytetów. W księgarniach oferuje swój *Nutuk*, słynną trzydziestoszesciogodzinną mowę o początkach państwa. A 10 listopada żegna się – w rocznicę śmierci, punktualnie o godzinie 9.05 Turcy przystają, zatrzymują samochody. Na symboliczną minutę, przy wyjących syrenach, kraj nieruchomieje.

Ale początki nie były łatwe. Rewolucyjne reformy Atatürka, które wdrażał od pierwszych dni swoich rządów, dla obywateli oznaczały głęboki wstrząs. Który właściwie mamy rok? Jak się teraz nazywam? Jak to zapisać? Jak to powiedzieć? – pytali zdezorientowani. Wprowadzenie kalendarza gregoriańskiego, nazwisk, zastąpienie alfabetu arabskiego łacińskim, gruntowne oczyszczenie języka z perskich i arabskich naleciałości, rozdział religii od państwa, nowe kodeksy – cywilny, karny i handlowy, wielka akcja alfabetyzacji i edukacji, którą objęto także dziewczynki, przyznanie kobietom praw oraz ich odgórna emancypacja – to wszystko miało uczynić z Turcji zachodnie państwo, a z Turków Europejczyków. W ekspresowym tempie: na skuteczne przeprowadzenie samej tylko reformy alfabetu przewidziano trzy miesiące, w czasie gdy dziewięćdziesiąt procent mieszkańców Turcji było analfabetami. Krytyki i sprzeciwu nie tolerowano. Tych, którzy buntowali się przeciwko nakazowi noszenia kapelusza, symbolowi nowoczesnego życia, pakowano do więzień. Niektórych wieszano. Dziś mało kto pamięta o ciemnych stronach rewolucji, została tylko wdzięczność.

– A teraz co, wymazujemy Atatürka i wracamy na wschód? Krok po kroku w stronę państwa religijnego? Po naszym trupie! – pomstują kobiety z *dolmuşa*.

Wielu Turków podobnie wojowniczy ton przybrało już 2002 roku, kiedy to władzę przejęła konserwatywna AKP. Lament nad końcem świeckiej Turcji okazał się zbyteczny. Zamiast wieszczonej islamizacji partia Erdoğana przystąpiła do całkiem sprawnych negocjacji akcesyjnych z Unią Europejską.

Dziś Turcy zachodzą w głowę, czy była to jedynie zasłona dymna, zręczny zabieg, mający dać Erdoğanowi czas na osłabienie armii, wówczas wciąż zdolnej odsunąć od władzy każdego podejrzewanego o islamistyczne zapędy. Z biegiem lat potęgę armii złamano. Pomogły sfingowane procesy, w których setki wojskowych trafiły do więzień.

A potem pojawiły się zbiegi okoliczności. Po umocnieniu władzy w przemówieniach rządzących coraz mniej było Unii Europejskiej, coraz więcej Wschodu. Po dekadzie rządów Erdoğan otwarcie przyznał, że jego celem jest „wychowanie pokolenia religijnej młodzieży”.

Moje towarzyszki podróży w przypadki nie wierzą: – Z premedytacją cofają reformy Atatürka! – Krytyka Nowej Turcji kłębi się w *dolmuşu* jak złowroga chmura gradowa, grzmi i ciska pioruny. A przecież miało być o blaskach Nowej Turcji, heroizmie, życiu w glorii i chwale.

Wykolejona opowieść nie wraca na początkowy tor nawet wtedy, gdy przy głównej drodze, na billboardzie pojawia się podobizna w bordowym berecie. Spuszcza oczy, jakby słyszał pomstowania dobiegające z *dolmuşa*. „Witajcie w *memlekecie* Halisdemira, Çukurkuyu 3 km” – informuje drogowskaz.

Rozpolitykowany raban cichnie w pół zdania. Szelest siat z zakupami, szybkie, uśmiechnięte „do widzenia” i każda oddala się w swoją stronę. Ze mną zostaje tylko kilkunastoletnia dziewczynka, sąsiadka rodziny Halisdemira. Ma mnie zaprowadzić do ich domu.

Çukurkuyu wygląda jak pogrążone w głębokim śnie. Na ulicach nikogo, życie szczelnie zamknięte za niskimi kamiennymi murkami, którymi ogrodzono skromne gospodarstwa. I tylko psy na odgłos kroków mało nie pozrywają się z łańcuchów. Ale wokół domostwa rodziny Halisdemira cisza, bramy zatrzaśnięte na cztery spusty.

– A nie mówiłam? Rzadko tu bywają. Wyprowadzili się, całkiem niedawno, po śmierci matki Ömera. Niektórzy mówią, że do Niğde, niektórzy, że do Ankary. Nikt tak naprawdę nie wie – mówi dziewczynka. Prowadzi mnie jeszcze kilkadziesiąt metrów, choć obie wiemy, że niepotrzebnie, mogłabym iść za drogowskazami, nie sposób nie trafić.

Grób Halisdemira niewiele różni się od innych. Biały marmur, róże, tabliczka z napisem *Şehit*, męczennik, i kilkoma szczegółami dotyczącymi służby, barierki i powiewające nad nimi flagi. Kilka osób modli się w ciszy.

Idziemy jeszcze rzucić okiem na centrum kultury i park imienia Halisdemira. Są na uboczu, podobnie jak ściana pamiątkowa z portretem bohatera i jego krótkim życiorysem. Zadbane, lśniące nowością, puściusieńkie. Wkoło ani żywej duszy, żadnych historii, żadnych bohaterskich opowieści.

– Jak obchodzicie tu piętnasty lipca? – pytam dziewczynkę.

– Dzień jak co dzień. Pierwszej rocznicy przyjechali co prawda jacyś oficjele, ale pompy nie było, nawet pomnika na placu nie postawiono – mówi.

A jednak z daleka dostrzegam popiersie, po jego obu stronach wysokie maszty z tureckimi flagami. Podchodzę. Na cokole tablica z cytatem, który w Turcji zna każde dziecko. *Ne mutlu Türküm diyene.* Jak dobrze móc powiedzieć – jestem Turkiem. To Atatürk. Stoi w sąsiedztwie meczetu i herbaciarni, przy placu, wokół którego toczy się senne życie Çukurkuyu. Podniszczone popiersie w samym sercu wioski, spokojne jak ona sama. Niczym kropka kończąca opowieść o bohaterze, chociaż nie tym, o którym spodziewałam się słuchać.

[1] Partia Sprawiedliwości i Rozwoju, Adalet ve Kalkınma Partisi.

Bunt

– W Turcji powiał piękny, ożywczy wiatr. Najpierw w Stambule, a potem powędrował po całym kraju. – Cem Yakışkan, już siwiuteńki, nosi w sobie ciepło typowe dla poety. Wierszy jednak nie pisze. Jest byłym liderem ultrasów Beşiktaşu, jednej z tureckich drużyn piłkarskich. Zrzeszeni w założonej przez niego nieformalnej grupie Çarşı, już kilka razy pobili rekord świata w głośności stadionowego dopingu, wydając z gardeł ponad sto czterdzieści decybeli. To tyle, co startujący odrzutowiec. – Ten wiatr pachniał romantyzmem, braterstwem. Ludzie wzajemnie się przepraszali, gdy uciekając, jeden drugiego potrącił, podawali sobie ręce, podnosili. A my stworzyliśmy wspólny front z kibicami innych klubów, z którymi kiedyś spotykaliśmy się na ustawkach. – W głosie Cema jest ta sama tęsknota, z którą Ahmet opowiadał o 15 lipca 2016 roku. Tyle że Cem wspomina wydarzenia o ponad trzy lata wcześniejsze. Według prokuratury próbował wtedy obalić rząd.

Zaczęło się niewinnie. Od parku, który miał paść ofiarą przebudowy placu Taksim.

Władze decydują, że w miejscu parku wybudują replikę osmańskich koszar wojskowych z dziewiętnastego wieku. Koszary mają powrócić przystosowane do nowych czasów, jako centrum handlowe. Stambulczycy nie przyjmują tego dobrze. Galerii handlowych mają aż nadto, a usytuowany na przylegającym do Taksimu łagodnym wzniesieniu park Gezi to jedyna wysepka zieleni w okolicy.

Buldożery wjeżdżają do parku 27 maja 2013 roku, po jedenastej wieczorem. Na drodze staje im grupa aktywistów. Blokują wjazd i zostają w parku na noc. Buldożery wracają następnego dnia, wraz z policjantami.

Zamierzają załatwić sprawę szybko. Działaczy w parku przybyło, więc nie ma na co czekać. Jeden z policjantów, w rynsztunku jak na starcie z terrorystami, przyjmuje pozycję bojową. Na ugiętych nogach odpala gaz łzawiący, wprost w twarz młodej kobiety w czerwonej sukience. Nie zdążyła się nawet zasłonić, stoi na trawie z opuszczonymi rękoma. Odwraca głowę, zaciska piekące oczy, jakby jeszcze nie docierało do niej, co się wydarzyło. Tak to wygląda na zdjęciu, które momentalnie rozchodzi się po sieci. Fotografia działa jak zapalnik. W akcie solidarności do parku zjeżdża się tłum.

Przyjeżdża i Cem. Kibice Beşiktaşu słyną ze swojego zaangażowania politycznego. Kiedy tylko uznają coś za dyskryminację bądź niesprawiedliwość, przygotowują specjalne zaśpiewki i transparenty. Zabójstwo dziennikarza Hranta Dinka, rasistowskie wyzwiska wobec kameruńskiego piłkarza Samuela Eto'o czy budowa elektrowni atomowych na północy Turcji – wszystko, na co nie wyrażają zgody, trafia na trybuny, wysprejowane na prześcieradłach. Jeśli te hasła znajdą się na zdjęciach Reutersa lub innej światowej agencji, docierają w ten sposób do milionów ludzi. Çarşı wystąpili nawet w obronie Plutona, kiedy odebrano mu status planety. Jak mogliby nie bronić parku w sąsiedztwie ich dzielnicy?

Następnego dnia głos zabiera Erdoğan. „Róbcie, co chcecie, my decyzję już podjęliśmy" – zwraca się do protestujących, przemawiając w czasie ceremonii mocowania kamienia węgielnego pod konstruowany w Stambule trzeci już most na Bosforze. Okoliczności znamienne, bo i ten most stawiany jest arbitralnie, mimo protestów przeciwko wycince połaci lasów pod jego budowę. Jego słowa rozpalają pokłady od dawna narastającej frustracji i gniewu na premiera, który nie tylko nie słucha obywateli, ale coraz częściej wydaje im instrukcje, jak mają żyć. Mówi, ile mają mieć dzieci (minimum troje, najlepiej pięcioro), kiedy mogą pić alkohol (jeśli w ogóle, to nie między dziesiątą wieczorem a szóstą rano) i jak spędzać czas wolny (napędzając gospodarkę zakupami w centrach handlowych). A tych, którzy mają inne zdanie, traktuje tak, jak kobietę w czerwonej

sukience. Wielu Turków w jej zdjęciu zobaczyło metaforę swojego własnego życia.

Między drzewami wyrasta namiotowe miasteczko. Policjanci znowu wchodzą, tym razem o piątej rano, kiedy okupujący działacze jeszcze śpią. Rozpoczynają brutalną interwencję, usuwają i palą namioty. Od ognia zajmuje się cała Turcja. Ulice miast zapełniają się protestującymi. Skandują: *Her yer Taksim, her yer direniş* – Taksim jest wszędzie, opór jest wszędzie. Już nie chodzi tylko o park. Światowe media umieszczają Turcję na swoich czołówkach. W tureckich cenzura, CNN Türk emituje dokument o pingwinach.

Ze sklepów znikają cytryny i mleko. Pomagają na oczy, choć to nie oczy cierpią najbardziej w kontakcie z gazem łzawiącym. Najpierw czuje się potworne drapanie w gardle. Szybko przybiera na sile i uniemożliwia zaczerpnięcie oddechu. Człowiek dławi się i kaszle, rzuca się jak wyrzucona na brzeg ryba, ciało naśladuje jej spazmy, czasem traci przytomność. Turcy szybko uczą się reakcji swoich ciał, bo kraj dosłownie niknie w chmurach gazu. Do tego TOM-y, czyli armatki wodne. Strumień może odrzucić człowieka na kilka metrów, a dodawane do wody chemikalia sprawiają, że piecze na skórze jak kwas. I najgorsze – gumowe kule. Jeśli trafią w oko, można stracić wzrok. A w czasie Gezi kule trafiają również i w oczy.

– Ja dostałem w ramię. Szybko się zagoiło. Ale żołądek już nie – mówi Cem. – Na pojemnikach z gazem powinno być wypisane, co zawiera, ale nie było. Bywało, że całymi godzinami nie mogłem otworzyć oczu, a żołądek zmieniał mi się wtedy w ogień, biegnący zgagą przez cały przełyk. Do dziś się odzywa.

Z kasków policji w Ankarze znikają numery. Funkcjonariusze mogą jeszcze sprawniej tłumić demonstracje, nie będzie jak ustalić ich tożsamości, pociągnąć do odpowiedzialności. Mimo ryzyka Turcy protestów nie przerywają. Demonstrują dzień w dzień, od rana do nocy, a po zmierzchu walą w gary i patelnie, na zmianę gasząc i zapalając przy

tym światła w mieszkaniach. Zbuntowane bloki wygrywają wściekłą symfonię.

Z samego parku Gezi policja robi odwrót. Pomiędzy namiotami wyrastają biblioteki, bezgotówkowe sklepy, punkty pierwszej pomocy, powstają miejsca na koncerty, a na Taksimie staje nawet fortepian. – Inna galaktyka, w której robotnik na co dzień stojący przy taśmie produkcyjnej siedzi teraz w jednym namiocie z biznesmenem. Szok! – wspomina Cem. Nie tylko on był oszołomiony rozwojem wydarzeń.

Tureckie społeczeństwo od dekad jest podzielone. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych rozłamało się na lewicę i prawicę, w dziewięćdziesiątych spolaryzowało za sprawą kurdyjską, a od kiedy władzę przejęła AKP, coraz silniej dzieli się na islamistów i sekularystów. W czasie Gezi nakładające się i przecinające wzajemnie linie podziałów nagle się spłyciły, przygasły, straciły swą moc. Ramię w ramię protestowali ludzie o skrajnie odmiennych poglądach, z różnych grup społecznych, pokoleń, środowisk. Łączył ich sprzeciw wobec autorytaryzmu, dzieliło wszystko inne. To dlatego Gezi nie przekuło się potem w żadną partię. Ale, jak się okaże, pozostawiło po sobie coś znacznie trwalszego.

Przez dwa tygodnie park wypełniony był kolorowym tłumem *çapulcu*, szabrowników. Mianem tym określił protestujących sam prezydent Erdoğan, a ci określenie to przejęli. Przejmowali tak wszystko, co było w nich wymierzone. Wypisywali na transparentach, że gaz upiększa skórę, malowali pingwiny, czytali policjantom poezję. – Policja używała wobec nas nieproporcjonalnej siły, więc my odpowiadaliśmy nieproporcjonalnym poczuciem humoru – mówi Cem. Humor stał się wizytówką Çarşı. Ogłaszali w mediach społecznościowych, że przejęli policyjny helikopter i szukają pilota, albo że przydałby się operator buldożera. Choć z tym buldożerem to akurat nie żart, maszynę przejęli naprawdę. Jeden z kibiców użył go, by odciągnąć policję i dać im czas na zbudowanie barykad. Bo poza barwną parkową galaktyką, wokół rozgrywały się sceny jak z frontu. Latające płyty chodnikowe, płonące barykady, rzucane w policjantów kamienie i fajerwerki. Cem mówi wprost: szli tam, by walczyć.

On i jego przyjaciele już jako nastolatkowie z zamieszkami byli za pan brat. Cem miał trzynaście lat, kiedy stracił matkę i zaczął unikać domu. Z ojcem było mu nie po drodze. Na dodatek rodzina nalegała, by ojciec ożenił się ponownie, ten nie bardzo chciał, a Cem nie chciał tego wszystkiego oglądać. Coraz więcej czasu spędzał z kolegami z ulicy. Z czasem przestał już nawet wracać do domu, pomieszkiwał po pustostanach. We wszystkim wspierali go Optik, Dewe, Çene i Tarkan. Od lat tworzyli zgraną paczkę. Z nimi chodził na mecze. W tym czasie w Stambule był tylko jeden stadion, w dzielnicy Beşiktaş. – Tu wszyscy żyli futbolem. My też. Żaden z nas nie miał w domu telewizora, a bilety na mecze wtedy jeszcze kosztowały grosze. Mój ojciec był bardzo przeciwny tej naszej pasji, ojciec Optika również. Bali się, że wylądujemy na posterunku lub zarobimy kosę pod żebro. W latach siedemdziesiątych, żeby dostać bilet na zadaszone trybuny, trzeba było ustawiać się w kolejce do kas na dzień wcześniej i to grubo przed świtem. Tak się zorganizowaliśmy, że przez pięć lat na żyletę wchodzili tylko kibicie Beşiktaşu, wykupowaliśmy wszystkie bilety! Wynikało z tego trochę kłopotów. – Cem przebiera z uciechą palcami po stole. Żeby się przed tymi kłopotami bronić, postanowili się zrzeszyć. I tak powstało Çarsı. Nazwę wzięli od okolicy w centrum Beşiktaş, gdzie cała paczka mieszkała. W logo wpisali anarchistyczne „A".

Gezi musiało przypomnieć Cemowi czasy młodości.

To w Beşiktaş, niedaleko pałacu Dolmabahçe, dochodzi do tak poważnych starć pomiędzy policją a protestującymi, że demonstrujący muszą zorganizować w pobliskim meczecie szpital polowy. Cem nosi do niego rannych. Tylko tych najcięższej, wprowadzili selekcję. – Pamiętam tę dziewczynę, jakbym ją widział dziś. Nie miała oka i połowy twarzy. Tak się kończy wystrzelenie gazu łzawiącego z bliskiej odległości. – Cem przestaje przebierać palcami.

O ich szpitalu polowym było głośno w całym kraju. Erdoğan oskarżył protestujących, że wchodząc do meczetu, nie zdjęli butów i pili alkohol, zbezcześcili świątynię. Oni zarzuty te odpierali z całą mocą. Oświadczenie

w tej sprawie wydał nawet muezin meczetu, który tej nocy sam pomagał opatrywać rannych. Zaprzeczył twierdzeniom ówczesnego premiera, podkreślając, że wszystko odbyło się z zachowaniem szacunku należnego świątyni.

– Ten muezin oraz imam meczetu udali się potem w podróż, która trwa do dziś. Najpierw przeniesiono ich bodajże na obrzeża Stambułu, a potem już z miejsca na miejsce, nikt nawet nie wie, gdzie teraz są. – Palce Cema nadal pozostają nieruchome.

W czasie protestów zginęły dwadzieścia dwie osoby. Od gumowych kul, spadających z wysokości pojemników po gazie łzawiącym, zawałów serca. Życie stracił także jeden z policjantów, Mustafa Sarı, który w pogoni za protestującymi spadł z mostu w Adanie. Łącznie w czasie protestów rannych zostało około ośmiu tysięcy osób.

Demonstracje stłumiono. 16 czerwca policja odbiła park Gezi.

Dwa dni później śniadanie przerwał Cemowi łomot do drzwi.

– Patrzę przez wizjer, a tam dwudziestu, może trzydziestu policjantów. Otwieram. Nie mają nakazu przeszukania, ale mówię, że mogą szukać, tylko cicho, bo mój pięcioletni synek jeszcze śpi, a córka szykuje się do wyjścia na egzamin. Tego dnia odbywały się ogólnokrajowe egzaminy wstępne na studia. Policjanci nie chcieli jej puścić. Pozwolili dopiero po telefonie do naczelnika – opowiada Cem. – Żona poszła z córką, a ja zostałem i czekałem, aż skończą przeszukanie. Nic nie znaleźli, ale i tak wzięli mnie na posterunek. Trzymali mnie tam cztery dni.

Cem stanął przed obliczem sądu, który zwolnił go z aresztu pod trzema warunkami – nie opuści terytorium kraju, zapłaci pięćdziesiąt tysięcy lir (wówczas równowartość około siedemdziesięciu pięciu tysięcy złotych) i co tydzień będzie meldował się na posterunku.

– Czekałem na akt oskarżenia, pewien, że wypiszą w nim jakieś ogólne wykroczenia. A tu bach! Wynikało z niego, że jestem założycielem organizacji terrorystycznej, której celem było obalenie rządu. Kto to

wymyślił? Çarşı założyłem w osiemdziesiątym pierwszym roku, rząd AKP powstał dwadzieścia jeden lat później…

Wysunięte wobec Cema zarzuty składały się na groźbę dożywocia, w izolatce i z zakazem widzeń. Chęć jego obrony zgłosiły setki adwokatów.

– Wyjaśniłem sądowi, że jakbym miał moc, o jaką mnie podejrzewają, to najpierw sprawiłbym, by Beşiktaş został mistrzem Turcji. – Widać, że ma już do tego dystans. Proces zakończył się po roku, uniewinnieniem. Ale prokuratura złożyła apelację, los Cema wciąż jest niepewny.

– Proces zweryfikował część przyjaźni. Niektórzy się przestraszyli, odsunęli ode mnie dla własnego bezpieczeństwa. Ale zyskałem i nowych przyjaciół. Razem oglądamy tu mecze. – Cem wskazuje ręką na bar, w którym siedzimy. Od 2011 roku jest jego właścicielem. – Wcześniej chwytałem się każdej roboty, teraz wreszcie jestem na swoim. Po Gezi ten bar też próbowali mi zamknąć.

Odwet za Gezi dosięgnął całego środowiska. Jeszcze w tym samym roku rząd wprowadził zakaz wznoszenia na stadionach sloganów o zabarwieniu politycznym. Gwarancją jego przestrzegania jest wprowadzona mniej więcej w tym samym czasie karta kibica, umożliwiająca identyfikację tych, którzy zakaz złamią. Słynne transparenty i slogany Çarşı można oglądać tylko na archiwalnych zdjęciach.

– Kiedy byłem mały, rodzice zawsze wysyłali mnie po chleb. Chodziłem po niego razem z kolegami. Zawsze kupowaliśmy o jeden więcej, żeby częstować nim po drodze znajomych sklepikarzy i sąsiadów. Podchodziliśmy do nich z tym ciepłym jeszcze bochenkiem i zagadywaliśmy, żeby sobie kawałek urwali… – Cem na to wspomnienie cały się rozpromienia. – Rządzący chcą, byśmy o tym zapomnieli. Oddalają od siebie ludzi w sposób przemyślany, systemowy, tak że najlepsi przyjaciele ze strachu przestają się ze sobą witać. Ale my wspólnotę mamy we krwi. Wiatr, który niósł się w czasie Gezi przez cały kraj, jeszcze zawieje im prosto w twarz.

*

Choć stłumione, Gezi nie wygasło. Po zakończeniu protestów Turcy wciąż gromadzili się w parkach, gdzie organizowali debaty, koncerty, wystawy, ustalali plany działań na rzecz swoich dzielnic. Nazywali to forami obywatelskimi.

W czasie tych forów Eser i Ayşegül wymieniali przeciągłe spojrzenia.

Poznali się w parku Gezi. Ona, pracownica jednej z organizacji pozarządowych, razem z koleżankami rozstawiła tam namiot kolektywu feministycznego, do którego należała. On, informatyk w jednym z banków, wpadał do parku po pracy odzyskać wiarę w ludzi. Do Stambułu przyjechał zaledwie pięć miesięcy wcześniej z Izmiru, trzeciego pod względem wielkości miasta Turcji, i szybko uznał, że nic dobrego go tu nie czeka. Ani tu, ani nigdzie.

– Potrzebowałem nowego otwarcia. Skończyłem studia, szukałem pracy. Pomyślałem, że przeprowadzka do Stambułu dobrze mi zrobi. W całym kraju nie ma tyle życia i energii, co tu – mówi Eser, typowy *geek* o krótko ściętych włosach i okularach w czarnych oprawkach. Pracę znalazł szybko, ale stambulczycy wydali mu się pogrążeni w zbiorowej hipnozie. – Tłok, wszyscy gdzieś pędzą, ciągle zajęci, nikt nie reaguje na wydarzenia polityczne, zupełnie jak w Izmirze i innych miastach.

Gdy do parku Gezi weszli aktywiści, pomyślał: „To piękne, że przynajmniej kilka osób działa, szkoda, że nic z tego nie wyjdzie”. Poszedł do nich z ciekawości. Z krótkiej rozmowy o drzewach wysnuł jeden wniosek: w życiu wszyscy mierzą się z tym samym, to samo ich boli.

Kiedy protest przerodził się w antyrządową rewoltę, Eser dołączał do niej po pracy. Zostawał do trzeciej, czwartej nad ranem, potem wracał chwilę się przespać i znów jechał do banku. Nie wiem, czy bardziej napędzał go aktywizm, czy też widok Ayşegül. Oprócz niej w parku Gezi poznał dziesiątki osób, z którymi widywał się i przez kolejne miesiące. Kraj oplótł łańcuch forów obywatelskich. Eser doskonale pamięta, jak członkowie jednego z nich przemalowali schody łączące stambulską dzielnicę Cihangir z nadbosforską ulicą Meclisi-i Mebusan, nadając stu czterdziestu stopniom

intensywne barwy tęczy. Żeby wywoływały uśmiech – uzasadniali. Ludziom chyba brakowało uśmiechu, bo schody momentalnie zalały tłumy. Jednak w nocy władze przywróciły schodom ich szary wygląd. Wtedy inne fora chwyciły za wałki i pędzle, a kolorowe stopnie pojawiły się w wielu miastach Turcji. Urzędnicy dali za wygraną.

Żeby działać dalej, aktywiści musieli znaleźć jakieś miejsce na zimę. Zaczęli rozpytywać. Ktoś przypomniał im o pustym budynku w ich dzielnicy, Kadıköy, po azjatyckiej stronie miasta. Plotka głosiła, że właściciel sprzedał go kilku osobom jednocześnie, a sprawa utknęła w sądzie. Wiedzieli, że od lat stoi pusty, ale – jak podkreślali – dopiero Gezi dało im siłę, by go zająć.

To był pierwszy squat, z którym kiedykolwiek zetknął się Eser. Nie pamięta już, kto wymyślił mu nazwę Don Kişot. Od razu się przyjęła. Jak inaczej miałby nazywać się marzyciel, który z wielkim zapałem do walki pojawia się w okolicy zwanej Yeldeğirmeni, co po turecku znaczy wiatrak?

Odtąd Eser każdą sobotę zaczynał od przygotowania hektolitrów herbaty.

– Pierwsi goście schodzili się do squatu około dziesiątej, w południe było już zwykle około stu osób. Nie wiedziałem, co się wokół mnie dzieje! – Eser teatralnie łapie się za głowę.

To „Otwierające umysł soboty”, w czasie których można było nauczyć się, jak naprawić rower, lub dowiedzieć się, jak żyć ekologicznie. Oprócz tego były dyskusje, prezentacje, pokazy filmów i zdjęć. Każdy mógł włączyć się w ich organizowanie. Wystarczyło zapisać pomysł na karteczce i wrzucić do ustawionego przy drzwiach pudełka. Zasady od początku były jasne: Don Kişot służy przede wszystkim jako centrum aktywizmu, jednocząca ludzi przestrzeń, przeciwwaga dla zawłaszczania i komercjalizacji miasta. Nikt się tu nie wprowadza, nikt nie nocuje.

Gości witały naturalnej wielkości postaci sześciu młodych mężczyzn. Odsprejowane od szablonów, głęboką czernią odcinały się od barwnych murali. W tym czasie w Stambule rozpoznałby ich chyba każdy. Mehmet Ayvalıtaş, Abdullah Cömert, Ethem Sarısülük, Ali İsmail Korkmaz, Ahmet Atakan, Medeni Yıldırım. Pierwsze ofiary protestów Gezi.

Obok nich zawisła kartka z listą potrzeb. Długą – od farb, przez okna i meble, aż po doniczki – bo Don Kişot nie miał nawet tynku, a na najwyższym piętrze przez dobrych kilka miesięcy brakowało okien. Odzew był większy, niż się spodziewano. Sąsiedzi użyczali prądu i wody, Don Kişot pięknial w oczach. Znalazły się nawet i okna.

Ayşegül z uśmiechem wspomina, jak jej koleżanka w przypominającym plac budowy squacie zorganizowała swoje wesele.

– W całej dzielnicy rozwiesiła informujące o nim plakaty, zaprosiła wszystkich mieszkańców! Przyszło ich tylu, że nie mogli się pomieścić! Nowożeńcy nie wydali na wesele ani grosza, więc ufundowali potem w Don Kişocie łazienkę – Ayşegül opowiada szybko, bo z nami nie zostanie, przyszła tylko odprowadzić Esera. Niedługo po tym pamiętnym weselu Eser i Ayşegül sami się pobrali.

*

Kilka miesięcy później w Kadıköy zajęto kolejny opustoszały budynek. Squat Caferağa pojawił się tuż obok małego placyku, który okoliczni mieszkańcy przechrzcili na Skwer Mehmeta Ayvalıtaşa, dwudziestolatka, który zginął w czasie Gezi. Nową nazwę oficjalnie zaakceptowały władze Kadıköy (radni należeli do opozycyjnej CHP[2]). Zgodziły się też, by skrawek zieleni obok Don Kişota został Parkiem Alego İsmaila Korkmaza. On również zginął w czasie protestów.

Przebudzeni z parku Gezi obronili park, a teraz przejmowali Kadıköy.

– Na wiosnę dwa tysiące czternastego roku mieliśmy już trzeci budynek. Nazwaliśmy go Samsa. Właściciel wiedział, że się wprowadziliśmy. Nie zareagował. – Guray, jeden z najaktywniejszych stambulskich squatersów, ma trzydzieści dwa lata, półdługie, związane w kitkę włosy i składany rower, z którym się nie rozstaje. Czekam, aż na dobre zacznie swoją opowieść, ale on przerywa ją co dwa zdania. Idziemy późnym wieczorem przez Kadıköy, a to czas, kiedy chłopak, jak sam to określa, ratuje jedzenie.

Powtarza to tak często i z takim zaangażowaniem, jakby zajmował się ocalaniem od śmierci żywych istot.

– Poczekaj, zajrzę tylko – mówi, gdy przechodzimy obok jednej z restauracji. Podchodzi do stojącego przed nią śmietnika, podnosi wystający z niego karton, po czym odkłada z powrotem. Cała akcja trwa maksymalnie trzy sekundy. – Nic tam nie będzie, mam do tego nosa, jak pies. – Puszcza oko. Jest freeganinem. Nie kupuje jedzenia, żywi się tym, co znajdzie. Ma tygodniową rozpiskę miejsc i godzin, która umożliwia mu zdobycie dosłownie wszystkiego. Ze śmietników wyciągnął nawet ciuchy, które ma na sobie. Markowe, jeździ po nie do najdroższych dzielnic.

O czwartym squacie Guray mówi tylko tyle, że padł niemal od razu. Mam wrażenie, że ważniejszy niż on sam, była jego nazwa: Berkin Elvan.

Trzynastoletni Berkin w czasie protestów Gezi wyszedł z domu nie na demonstrację, ale po chleb. Dostał w głowę pojemnikiem po gazie łzawiącym, stracił przytomność i zapadł w śpiączkę. Do otwarcia oczu dopingował go cały kraj, tym żarliwiej, że walka, którą toczył, była nierówna i wyniszczająca. Chłopiec tracił na wadze, słabł. Kiedy po dziewięciu miesiącach jego waga spadła do szesnastu kilogramów, zmarł. A w ludziach odżył gniew. Zamiast iść na zajęcia, uczniowie i studenci siadali w ciszy przed uczelniami i na ulicach, kładąc przed sobą bochenek chleba. Słowa wypowiadały za nich mury. Obok sprejowanych od miesięcy napisów „Berkin, nie poddawaj się”, pojawiły się nowe: „Berkin jest nieśmiertelny”. Wieczorem wybrzmiały już z całą mocą na masowych demonstracjach, razem z oskarżycielskim „Erdoğan to zabójca”. Na pogrzeb chłopca w Stambule przyszły setki tysięcy osób, a na ulicach znów pojawiły się płonące barykady.

To chyba wtedy rządzący na dobre zorientowali się, że Gezi przyniosło im puszkę Pandory.

Gdy zapadła decyzja o likwidacji squatu Caferağa, na demonstracji w jego obronie zjawiły się tłumy. Było głośno: instrumenty, bębny, prasa. Wszystko na nic. Policja zamknęła squat – ale tylko na kłódkę. Nie mogli

się oprzeć, przecięli ją i odbili Caferağę. Ale zaraz znów został zamknięty. Nie mieli jak z tym walczyć. Do dziś stoi pusty.

Samsa zaś chyba po prostu miała pecha. Tak naprawdę poszło o okna. Bardzo kiepskie, zimą wiało jak diabli, więc aktywiści wyprowadzili się, z zamiarem powrotu wiosną. Nie pomyśleli o tym, że rzeczywistość nie znosi próżni. Do budynku weszli bezdomni. Zaprószyli ogień. Płomienie zajęły oba piętra. Ugasiła je straż i wystawiła właścicielowi wysoki rachunek. Ten budynek ogrodził i wywiesił na nim baner „na sprzedaż”. Po kilku miesiącach po Samsie nie było już śladu. W jej miejscu powstał parking.

– A u Don Kişota wyjaśnił się prawny galimatias. Właściciel zdecydował, że go wyburzy i wybuduje nowy budynek. Uznaliśmy, że ma prawo, więc protest był symboliczny. Przyszło może ze dwadzieścia osób. Poza tym Don Kişot się poróżnił, część osób kwestionowała zakaz nocowania – opowiada mi Eser. Na początku szukał winy w sobie. Może gdyby lepiej to zorganizowali, to by się nie rozleciało? A jednocześnie czuł, że to, co się stało, było rezultatem zmiany energii w całym kraju.

Gezi ruhu, duch Gezi, ustąpił miejsca poczuciu zagrożenia. Nastąpiła szybka sekwencja zdarzeń. Skandal korupcyjny, który zatrząsnął krajem. Zerwanie rozmów pokojowych z Kurdami, mogące zepchnąć Turcję na skraj wojny domowej. Za miedzą wojna w Syrii i terroryści z tak zwanego Państwa Islamskiego. Sąsiedni chaos rozlewa się i na teren Turcji. W całym kraju coraz częściej dochodzi do zamachów terrorystycznych. Z rąk zamachowców z rozmaitych organizacji na przestrzeni kilku lat giną setki ludzi, tysiące zostają ranne. Do tego państwo od środka rozsadza Fetullah Gülen.

Turcy zbierają się wokół silnego przywódcy, który obiecał im bezpieczeństwo. Erdoğan i jego AKP wygrywają wszystkie wybory. A potem dochodzi do próby zamachu stanu.

Prezydent wymienia puszkę Pandory na lampę ze spełniającym życzenia dżinem.

Kiedy Guray zakładał Lojmana, w Stambule nie było już żadnego innego squatu. – Nie mogłem pozwolić, by wszystko tak po prostu się rozeszło. – Długie kroki bujają go na wszystkie strony. – Widzisz, przed Gezi żyłem zupełnie innym życiem. Pracowałem w Berlinie, w jednej z unijnych agencji PR-owych. Garniaka nie musiałem nosić, ale codziennie rano zasuwałem do biura. Po pół roku skapnąłem się, że coraz bardziej upodabniam się do swojego ojca. Harował codziennie od szóstej rano do szóstej wieczorem, nie przestał nawet na emeryturze. Nie chciałem tak.

Wtedy też Guray trafił na film *Earthlings*, dokument w szczegółach ukazujący okrucieństwo, do jakiego zdolny jest człowiek wobec zwierząt. Chłopak w bezruchu wpatrywał się w płynące po czarnym tle napisy końcowe. Ta czerń opadła na niego całym swoim ciężarem i wypełniła każdą komórkę jego ciała. Kiedy wreszcie ją z siebie strząsnął i wstał z fotela, wiedział, że nigdy więcej nie weźmie do ust żadnego produktu pochodzenia zwierzęcego. Ale to za mało, chciał działać. Tylko jak? Zaczął szukać osób zaangażowanych w walkę o prawa zwierząt, z nadzieją, że przy okazji dowie się od nich, jak nie umrzeć głodu. Tak trafił do berlińskich squatów. Wystarczyło kilka spotkań, by wszystko – i ta pozbawiona sensu praca, i zmieniające się priorytety – ułożyło mu się w decyzję. Wyjeżdża z Berlina.

Pojechał do Londynu. Na rok, na studia magisterskie. Liczył, że pozna w ten sposób kolejnych ludzi, którzy odkryją przed nim nieznane, a jednak tak bliskie mu światy. Ku jego zdumieniu, najważniejszym z nich okazał się jego rodzinny Stambuł.

Nad Bosfor przyleciał tylko na kilka dni, na ślub siostry. Był czerwiec 2013 roku, miasto ogarnęło Gezi. Wesele miało się odbyć tuż przy Taksimie. Trzeba je było odwołać. Szkoda mu było siostry, ale nie żałował, że przyleciał. – To, co zobaczyłem na Taksimie, ujęło mnie do głębi. W parku powstał punkt pierwszej pomocy dla zwierząt. Ludzie biegali do aptek po lekarstwa dla spanikowanych psów i kotów, przemywali im oczy… – wspomina ze wzruszeniem.

Guray dokończył studia i wrócił do Stambułu. Był pewny, że potencjał, który dostrzegł w Turkach w czasie Gezi, potrzebuje jedynie przestrzeni, by się rozwinąć. Tą przestrzenią miał być Lojman. Squat, przyznajmy, dość nietypowy. Położony na uboczu, na obrzeżach Kadıköy, niegdysiejszy akademik jest po prostu pięciopiętrowym blokiem mieszkalnym. W sumie są tu dwadzieścia dwa mieszkania.

Guray i pozostali lokatorzy od początku wprowadzili w Lojmanie szczególne środki ostrożności. Obecność w przestrzeni wirtualnej ograniczyli niemal wyłącznie do adresu mejlowego. Żeby Lojmana odwiedzić albo w nim przenocować, potrzeba referencji, poświadczenia innych squatersów. Na organizację podobnych wydarzeń jak w Don Kişocie nie ma szans. Mieszkańcy Lojmana boją się, że rozgłos to prosta droga do zamknięcia squatu.

– Policja przyszła po dwóch miesiącach. Bez końca wypytywali nas o dwa zdania: „Naprawić przeciekający dach. Kupić gaz do kuchenki". Nie wierzyli, że to lista najpilniejszych obowiązków, które wywieszamy w przestrzeni wspólnej. Byli przekonani, że to kod, a my należymy do organizacji terrorystycznej albo przynajmniej handlujemy narkotykami. Nie znaleźli dowodów, więc poszli, ale powiedzieli, że wrócą po weekendzie. Natychmiast zwołałem awaryjne zebranie, by ustalić plan działania. Przyszły cztery z dwudziestu osób. Policja nie wróciła. Ale to był już koniec kolektywu, koniec squatów. Dla mnie to był cios – wspomina Guray.

Cios na tyle potężny, że wyprowadził się z Lojmana. Miał gdzie mieszkać, w jego rodzinnym domu było dla niego aż nadto miejsca. Ale spokój odbierała mu uporczywa myśl, że za szybko się poddał. Musiał sprawdzić, czy może jednak da radę to udźwignąć. Wrócił do Lojmana. Robił, co mógł, ale po energii Gezi nie było już śladu. Przestał widzieć w tym sens. W lutym 2019 roku na dobre opuścił Lojmana. Zostały w nim dwie osoby.

Guray znów mieszka z rodzicami, w Beylikdüzü, na obrzeżach Stambułu. Na dojazd do centrum potrzebuje przynajmniej trzech godzin. To dlatego, że przemieszcza się tylko rowerem.

– Całkiem zabawne, biorąc pod uwagę, że jako dziecko marzyłem, by zostać kierowcą autobusu – śmieje się. Do komunikacji miejskiej nie wsiada od dobrych kilku lat. Uznaje ją za część systemu, który kontestuje. – Sama wiesz, ile kosztują przejazdy. Uwierz, nawet w tak drogim mieście jak Stambuł pieniądz nie musi być twoim panem i władcą. Możesz stawiać na minimalizm, współdzielenie, wspólnotę. O to samo chodziło ze squatami…

Trzeba mu przyznać, że jest konsekwentny. Nie posiada smartfona, bo nie chce, by system gromadził i sprzedawał o nim informacje. Nie ma go w mediach społecznościowych, uważa je za kolejną nakładkę systemu. Nie poszedł do stałej pracy, żyje ze zleceń, głównie tłumaczeń z tureckiego, które i tak bierze rzadko. Na co mu pieniądze, skoro nie płaci za mieszkanie ani jedzenie, a wszystko, czego mu potrzeba, znajduje w koszach na śmieci? Zaoszczędzony na pracy czas poświęca na pisanie doktoratu na Bilgi, jednym z najlepszych tureckich uniwersytetów. Analizuje w nim testy na zwierzętach, w nadziei, że kiedyś przyczyni się do wprowadzenia ich zakazu.

Ze względu na jego squaterskie zaangażowanie nazwisko Guraya znają tylko najbliżsi przyjaciele. Ostrożność wskazana tym bardziej, że szykuje wielki powrót.

– Teraz jeszcze nie jest na to dobry czas, ale z moją dziewczyną już myślimy o tym, żeby założyć kolejny squat. Może to trochę potrwa, ale czy nam się gdzieś śpieszy?

Co do jednego Guray się myli. Squaty nie skończyły się tak zupełnie. Don Kişot, jakkolwiek po przejściach, wciąż ma się całkiem dobrze.

W miejscu dawnego squatu stoi dziś szara, elegancka kamienica, której parter wypełnia kawiarnia. Przy kawiarnianych stolikach siedzą między innymi członkowie Ofissizler Freelance Ağı, nieformalnej grupy wolnych strzelców. Nie mają biur, więc między innymi tutaj umawiają się na wspólną pracę. Nie trzeba być freelancerem, by do nich dołączyć. Wystarczy przyjść. Bo nie praca jest najważniejsza w tej inicjatywie.

Eser wpada do kawiarni rzadko. Wciąż pracuje jako informatyk, tyle że już nie w banku, ale w jednej z dużych firm. – Uznaliśmy, że zamiast przywiązywać się do konkretnego budynku, utworzymy mobilny squat, którego nie da się zamknąć. – Jego głos przybiera zawadiacki ton. – W Don Kişocie organizowałem warsztaty rowerowe, które z czasem przerodziły się w Don Kişot Bisiklet Kolektifi, Rowerowy Kolektyw Don Kişot.

Na rowerach jeżdżą głównie po Stambule, choć nie tylko. Niekiedy z transparentami i sloganami, wtedy zazwyczaj w towarzystwie policji. Niekiedy bez, po prostu zwiedzają miasto dzielnica po dzielnicy. – Do jednej z takich wycieczek dołączyła grupka na maksa konserwatywnych chłopaków. Z takich, dla których mieć za sąsiada geja to tragedia, zniewaga i skandal. I wiesz co? Przez cały dzień pedałowali ramię w ramię z osobami LGBTI z naszego kolektywu. Może to nie znaczy nic, a może znaczy bardzo wiele – mówi Eser.

Żeby z nim porozmawiać, przyszłam na spotkanie Rowerowego Kolektywu Don Kişot. Tym razem odbywa się ono w kawiarni w Kadıköy, w gronie szerszym niż zwykle, razem z działaczami Kuzey Ormanları Savunması (KOS), obywatelskiego ruchu ochrony przyrody. Jako jedyna przyszłam punktualnie, więc czekam, aż się zejdą, i przeglądam leżący wśród kawiarnianych książek tomik poezji tureckiego wieszcza Nazıma Hikmeta.

Kiedy wszyscy już są, omawianie planu działania na najbliższe tygodnie tak ich porywa, że tylko dzięki dyscyplinie prowadzącego spotkanie Metina po pięciu godzinach udaje im się skończyć dyskusje. Z Eserem mogę spokojnie pogadać dopiero po północy. Siadamy na zewnątrz, pomiędzy połyskującymi w księżycowym świetle złotymi patefonami. Wszystkie na sprzedaż, porozstawiane wprost na brukowanej ulicy są wizytówką tutejszych antykwariatów. Gdy kończymy, jest już środek nocy, właściciel chce zamykać kawiarnię.

– Widzisz, z ekologami KOS spotykamy się już regularnie. Poznajemy się, jednoczymy. Kontynuujemy to, co zapoczątkowało Gezi. Ale nie wychylamy się. Obecnie w Turcji można trafić do więzienia za nic. To

dlatego w Stambule i w innych miastach widzisz spokój, życie jak gdyby nigdy nic. To pozory. Pod powierzchnią wszystko drży – zapewnia mnie Eser. – Co podpali lont? Kryzys gospodarczy? Coś innego? Jeśli wybory nic nie zmienią, to prędzej czy później dojdzie do kolejnego Gezi. Drugi raz nie popełnimy tych samym błędów.

Bir ağaç öldü bir millet uyandı, pisał Hikmet. Umarło drzewo, przebudził się naród.

[2] Republikańska Partia Ludowa, Cumhuriyet Halk Partisi.

Symbol

Mała Nazlı zastyga natychmiast, kiedy tylko dostrzeże w tłumie jego smukłą postać. Otwiera swoje wielkie brązowe oczy najszerzej, jak potrafi i z zapartym tchem obserwuje jego mięśnie. Wypełniają mu całe ciało i poruszają nim z taką gracją, że wygląda jak szlachetna rzeźba, która ożywszy, wyszła z muzeum i wraca teraz obładowana siatami. – Nawet kiedy w T-shircie i jeansach targał z bazaru warzywa, widać było, że jest tancerzem baletowym. Mieszkaliśmy przy tej samej ulicy, więc często się na niego gapiłam – opowiada mi dorosła już Nazlı Erginoğlu, urzędniczka od urodzenia mieszkająca przy Taksimie. – Czasem uchwycał mój wzrok. Zastanawiałam się wtedy, czy mój podziw go nie denerwuje. Ale przecież musiał być przyzwyczajony. Codziennie przenosił setki wpatrzonych w niego z zachwytem widzów do innego świata.

Nazlı przenosiła się tam w każdą niedzielę.

W niedzielę wszystko było specjalne. Przyszykowana dla niej sukienka z falbankami i białe rajstopki. Woda kolońska taty, której zapach wypełniał dom już od rana. Szpilki mamy, przez które Nazlı sięgała jej tylko do pasa. Budynek, do którego szli. Cały ze szkła i z tajemniczymi, krętymi schodami w środku. Ich stopnie, dotknięte najwidoczniej różdżką jakiejś wróżki, lewitowały, nie łączyła ich nawet barierka.

Ale najbardziej wyjątkowe były primabaleriny. Piękniejsze nawet od sąsiada, z ich lśniącymi włosami i spódniczkami lekkimi jak chmurki. Kiedy po opadnięciu kurtyny Nazlı szła z rodzicami do parku Gezi, starała się je naśladować, podskakując. Potem jedli jeszcze hamburgery, a w domu ciasteczka z herbatą, przy których Nazlı wyobrażała sobie to, czego zobaczyć nie mogła – jak pod stopami primabalerin rodzą się ich bajeczne kostiumy i otaczające je dekoracje. O tym, żeby kiedyś stać się częścią

cudów dziejących się w podziemnych pracowniach pod widownią, marzyli uczniowie niejednej szkoły teatralnej.

To wszystko działo się za sprawą Atatürk Kültür Merkezi, Centrum Kultury imienia Atatürka, znanym powszechnie jako AKM. O tej monumentalnej operze przy Taksimie – lub więcej, wielofunkcyjnym centrum kulturalnym – stambulczycy śnili długie lata. Jej budowę rozpoczęto w 1946 roku, ale za sprawą piętrzących się trudności, głównie finansowych, otwarto je dopiero w 1969. Za to w pięknym stylu, *Aidą* Verdiego. Geometryczna precyzja wnętrz i surowa prostota fasady budynku, której jedyną dekoracją była rozciągnięta na przeszklonej powierzchni siatka aluminiowych prostokątów, szybko uznane zostały za unikatowe. Architekci do dziś nazywają AKM perłą modernizmu.

Jej blask rozbłysnął na krótko. Zaledwie półtora roku później przyćmiły go płomienie pożaru. Ogień najprawdopodobniej nie wybuchł samoistnie, pomogli mu islamscy reakcjoniści, uznający AKM za symbol zachodniej, świeckiej kultury i rozrywki. Budynek zaczął płonąć w czasie, gdy na scenie wystawiono *Czarownice z Salem* Arthura Millera.

Zniszczenia były tak duże, że AKM ponownie otwarto dopiero w 1978 roku.

– W podstawówce, potem w szkole średniej, chodziliśmy na wszystko, całą klasą. Bilety były tak tanie, że każdego było stać. Czego oni tam nie robili! W sztuce o sułtanie Muracie Czwartym na scenę wjeżdżali konno, w *Latającym Holendrze* wpływali statkiem na widownię… Do tego doskonała akustyka. Dźwięki szybowały pod sufit i spadały na widzów jak ulewny deszcz – opowiada Nazlı. – Ta scena uczyła nas, że nie ma granic wyobraźni i urzeczywistnienia tego, co w niej powstanie. W tym sensie AKM mnie wychował. Ukształtował całe pokolenia.

Kiedy nastoletnia Nazlı siedziała urzeczona na widowni, stojąca na scenie Aylin dostała drgawek. Była przekonana, że widzi je cała publiczność – i że zwiastują zawał. Na razie była jeszcze wtopiona w chór, ale zaraz miała

wystąpić na przedzie, by zaśpiewać solo. Obawiała się, że to właśnie wtedy serce stanie jej na dobre.

– Miałam siedemnaście, może osiemnaście lat i od trzech śpiewałam w kościelnym chórze. Dawaliśmy koncerty w greckich i ormiańskich kościołach. A teraz wystąpiliśmy z dawnymi ormiańskimi pieśniami, jeszcze z czasów Konstantynopola, na scenie samego AKM! Nigdy w życiu nie czułam takiej ekscytacji! – opowiada mi po latach Aylin Kuyumcubaşı, której serce jednak nie stanęło. Tremy i emocji, które przed solówką wstrząsnęły jej ciałem, nikt nie zauważył.

W każdy piątek, punkt dziewiętnasta, Aylin zasiadała na widowni AKM, by zasłuchać się w koncert Stambulskiej Państwowej Orkiestry Symfonicznej. Nie opuściłaby go za żadne skarby świata, żadną imprezę czy randkę. Nigdy by wtedy nie pomyślała, że sama wystąpi w tym miejscu, razem z chórem, a później i ze swoją nauczycielką śpiewu, znaną śpiewaczką operową Alis Manukyan.

Aylin stanęła na scenie AKM cztery razy. Zawsze z tą samą tremą, która rodzi się ze świadomości, że stoi się w centrum wszechświata.

Co do tego nikt nie miał wątpliwości. Wokół AKM powstał mały wszechświat, w którym kultura wysoka nie onieśmielała wzniosłością. Jak gdyby nigdy nic stwierdziła, że nie będzie na wyłączność elit, zeszła z piedestału i stała się codziennością. Studenci szturmowali AKM po egzaminach (część z nich odsypiała tam zarwane noce), przy okazji zakupów w pobliskich księgarniach i sklepach muzycznych można było porozmawiać ze słynnymi śpiewakami operowymi i baletnicami, a w kawiarniach zajmowało się stolik obok uznanych reżyserów.

Aylin do głowy by nie przyszło, że to wszystko może się zmienić.

Czarne chmury zaczynają zbierać się nad AKM w 2005 roku.

Ówczesny minister kultury, Atilla Koç, stwierdza, że budynek trzeba zburzyć i w jego miejsce wznieść większy, nowocześniejszy. Koç powolutku, acz pewnie przygotowuje grunt pod realizację tego planu. Cierpliwie tłumaczy, że z ekonomicznego punktu widzenia remont nie ma

sensu. Nie słyszy oświadczeń i protestów Izby Architektów, utrzymującej, że AKM jest częścią dziedzictwa Republiki, jej architektonicznym symbolem.

Przez następne lata Nazlı i Aylin śledzą toczące się w sprawie AKM zażarte dyskusje.

W końcu zapada decyzja. Opera nie zostanie wyburzona, ale odnowiona. Prace mają rozpocząć się w czerwcu 2008 roku. Odpowiada za nie Murat Tabanoğlu, syn Hayatiego Tabanoğlu, architekta, który zaprojektował AKM. Bezpieczne zachowanie ciągłości. Budynek zostaje zamknięty. Wokół niego wyrastają plany i budżety. Kreślone, zatwierdzane, anulowane, zastępowane nowymi, ogłaszane opinii publicznej lub nie.

Tymczasem Stambuł rozkwita wydarzeniami kulturalnymi. W 2010 roku nosi tytuł Europejskiej Stolicy Kultury, rezonuje twórczą energią. AKM w tym nie uczestniczy.

Nazlı czeka cierpliwie, bo wie, że w ramach funduszy Europejskiej Stolicy Kultury na renowację AKM przeznaczono całkiem pokaźną kwotę.

Aylin nie czeka wcale, bo podskórnie czuje, że władze celowo pozwalają AKM niszczeć, aż nie będzie nadawał się do niczego poza wyburzeniem. Sama śpiewa już rzadko, pracuje jako dermatolog. W 2011 roku jest już pewna, że jej przeczucia się sprawdziły. Kolejny już minister kultury – zmieniają się jak na kręcącej się z zawrotną prędkością karuzeli – z przykrością informuje, że środków na AKM jednak nie ma.

Do gry nieoczekiwanie wchodzi fundacja Sabancı. To nie byle kto. Sabancı są jedną z najbardziej wpływowych rodzin w Turcji, właścicielem wielkiego holdingu, prawdziwego imperium. Obejmują AKM swoim sponsoringiem, przeznaczają na jego renowację trzydzieści milionów lir. Tuż przed jej rozpoczęciem, pod koniec maja, kolejny obrót: realizacja planu zostaje wstrzymana. Ministerstwo kultury uznaje, że budynek nie będzie odporny na trzęsienie ziemi. Tym razem na dyskusje nie ma już czasu, bo trzęsienie ziemi rzeczywiście przychodzi. Silniejsze niż ktokolwiek by się spodziewał. I innej natury. Turcją wstrząsa Gezi.

To z dachu AKM robione są spektakularne zdjęcia tłumów demonstrujących w czasie Gezi. Budynek oferuje idealną perspektywę, by objąć nieprzebrane morze ludzi, którego wezbrane fale zalewają cały plac i okolice. Obrazy te lotem błyskawicy obiegają media społecznościowe. Na Twitterze wiele z nich podawanych jest dalej z komentarzem *Sinirlenince çok güzel oluyorsun Türkiye*. Turcjo, kiedy się złościsz, stajesz się bardzo piękna.

Na dach wspina się i Cem Yakışkan, lider Çarşı. Razem z przyjaciółmi wywiesza transparent z podobizną najlepszego kumpla, Optika. To prezent. Optik ma tego dnia urodziny, jakby mógł zobaczyć ten tłum, na pewno by się wzruszył. Zresztą może widzi, z jeszcze lepszej perspektywy, z samej góry. Odszedł kilka lat wcześniej. Zawał. Teraz, dzięki Cemowi, stał się częścią zaanektowanej przez protestujących fasady, która udekorowana dziesiątkami transparentów bez ogródek wzywa Erdoğana: „Tayyip, zamilcz", „Tayyip, podaj się do dymisji". Po zmroku zbierający się na dachu protestujący odpalają czerwone race. Płomienna wiadomość dla ówczesnego premiera zachwyca fotoreporterów. Ci posyłają ją dalej w świat.

AKM słono za ten wyskok zapłaci. Wie to już nie tylko Aylin, ale i Nazlı.

Erdoğan odpowiada trzeciego dnia protestów: „Wyburzymy AKM. W jego miejsce wybudujemy operę, z której będziemy mogli być dumni".

Następnego dnia, jakby dla pewności, że jego przekaz dotrze do wszystkich, ponownie oświadcza: „Wyburzymy AKM, *İnşallah*, jak Bóg da. W jego miejsce wybudujemy wspaniały budynek. Meczet też wybudujemy". Tę ostatnią frazę powtarza. „Tak, meczet też wybudujemy".

Los AKM zostaje w niedookreślony jeszcze, acz nieodwołalny sposób związany z losem planowanego meczetu.

Na razie budynek zostaje odbity przez policję, która urządza w środku posterunek. Mimo że protesty zostają stłumione po kilku tygodniach, niszczejąca opera służy za policyjne zaplecze logistyczne przez grubo ponad rok. To pierwsza z wymierzonych mu kar. Druga jest jeszcze bardziej rozciągnięta w czasie. I boleśniejsza: AKM zostaje skazany na znikanie.

Jego niegdysiejsi stali bywalcy ku swojemu zdumieniu zaczynają natykać się na elementy wystroju i wyposażenia na bazarach. Dostrzegają je w ofercie obwoźnych sprzedawców trudniących się handlem używanymi rzeczami, a niekiedy nawet na wózkach złomiarzy.

Czas to sprzymierzeniec tych, których symbolizm opery kole w oczy. Ząb czasu nadgryza to, co materialne, ale i niematerialne, sprzyja powolnemu zapominaniu, rozmywaniu więzi łączących AKM z ludźmi. Jest preludium do łagodnego przejścia w niebyt.

To samotne dogorywanie niespodziewanie przerywa próba wojskowego zamachu stanu 15 lipca 2016 roku. Tuż po niej budynek zostaje zawłaszczony raz jeszcze, tym razem przez rządzących. Przystrojony w wywieszoną na samej górze turecką flagę, po jej lewej i prawej stronie pokazuje portrety Erdoğana. Dumny znak zwycięstwa nad puczystami. AKM przekazuje też zwolennikom Fetullaha Gülena wiadomość, wypisaną na transparencie: „Powiesimy was na waszych własnych smyczach".

To jego ostatnia misja.

– Wyglądało to mniej więcej tak: meczet i AKM stoją naprzeciwko siebie. Jak napastnicy w ringu. Mierzą się wzrokiem. Meczet rośnie bardzo powoli. AKM również rozbierany jest powoli. Jakby krok po kroku się do siebie zbliżali. By mogli się zrównać, rozbiórka zostaje wstrzymana. Wtedy budowa meczetu przyspiesza. Meczet wystrzeliwuje w górę, a AKM znika, przy ogłuszającym dźwięku ezanu, wezwania do modlitwy… – Mücella Yapıcı mówi powoli i z uważnością.

Szefowa Izby Architektów jest gwiazdą. Bardzo skuteczną i niebezpieczną. Kiedy historyczna wartość przegrywa z wielkim kapitałem, wchodzi ona, z całym wachlarzem pozwów. O spotkanie z nią trzeba zabiegać miesiącami, bo walka o Turcję już dawno temu odebrała jej wolny czas, a ostatnio dobrała się do snu i zdrowia. Zamiast do pracy, Mücella jeździ do lekarza albo na rozprawy. Prokuratura przygotowała wobec niej akt oskarżenia na sześćset pięćdziesiąt siedem stron, uznając, że za zaangażowanie w obronę parku Gezi należy się jej dożywocie.

Ostatecznie w lutym 2020 roku zostanie uniewinniona, ale w czasie kiedy rozmawiamy, proces wciąż się toczy, a po Mücelli widać przytłaczające zmęczenie. Jednak nie odbiera ono ani jasności jej wypowiedziom, ani mocy jej działaniom. Bo Mücellę łączy ze Stambułem ta niepojęta więź, która wymyka się rozsądkowi, zakotwicza w sercu i zasila je czymś nieodgadnionym.

Chyba jedynym, który więzi tej nie znał, był Atatürk. W mieście widział symbol dawnego porządku – stolicę imperium osmańskiego oraz kalifatu, reprezentanta świata islamu. To nie przystawało do modelu świeckiego państwa, do którego budowy przystępował. Po objęciu władzy odciął się od Stambułu grubą kreską i przez pierwsze cztery lata swoich rządów nie postawił tam nogi. Stolicą uczynił Ankarę, wówczas dwudziestopięciotysięczne miasteczko. I choć powoli dorosła ona do powierzonej jej misji, to jednak Turcy wciąż mówią o niej słowami poety Yahya Kemala Beyatlı’ego – „W Ankarze najbardziej lubię drogę powrotną do Stambułu”.

Następcy Atatürka więzi nie zdołali się pozbyć, przeciąć, ani nawet osłabić.

„To natychmiast wyburzyć! A stąd chcę mieć widok na Bosfor!”. Pokrzykiwania Adnana Menderesa, który w 1950 roku został premierem Turcji, było ponoć słychać na ulicach Stambułu od samego świtu. Polityk ukochał miasto tak mocno, że na kilka lat niemal przeprowadził się do jednego ze stambulskich hoteli, by osobiście nadzorować zainicjowaną przez siebie przebudowę zaniedbanej metropolii. Stambuł wracał do gry w nowej roli, jako zakładnik rządzącego polityka. Nigdy już nie udało mu się z niej wyjść. Tak samo, niczym prywatną własność, traktował go Bedrettin Dalan, burmistrz Stambułu, który w latach osiemdziesiątych zafundował mu ciąg dalszy metamorfozy. Miasto zyskało solidną infrastrukturę, między innymi sieć szerokich dróg i kanalizację, ale jednocześnie straciło całe dzielnice – ich mieszkańcy, bywało, zostawali z niczym – oraz szereg zabytków, wyburzonych pod ich budowę.

Teraz wielkie zmiany przeprowadza Erdoğan. Nie ukrywa, że miasto jest oczkiem w jego głowie. Wiele mu zawdzięcza, ono nauczyło go stawiać pierwsze polityczne kroki – od funkcji burmistrza zaczęła się jego oszałamiająca kariera. Prezydent często na wiecach używa słów *canım İstanbul*, mój ukochany Stambuł, nawiązując do wiersza swojego ulubionego poety Necipa Fazıla Kısaküreka. Zaś gdy przychodzi do wyborów, przypomina: „Kto bierze Stambuł, bierze całą Turcję”. Nie ma wątpliwości, to nadbosforska metropolia jest nieformalną stolicą Nowej Turcji. Tutaj toczy się najbardziej zacięta walka o serca i umysły Turków, Nowe ściera się ze Starym, a zmagania te odciskają się w tkance miejskiej głębiej niż kiedykolwiek. Kiedy w 2019 roku AKP po raz pierwszy w historii przegrała wybory na stanowisko burmistrza Stambułu, Erdoğan musiał przeżyć szok. Ale zanim to nastąpiło, zdążył urzeczywistnić przynajmniej część swoich marzeń.

AKM ostatecznie padł, w kłębach kurzu, 30 maja 2018 roku. Naprzeciwko niego wyrósł meczet, z którym Mücella walczyła od lat.

– Dyskusje zaczęły się w latach sześćdziesiątych, ale to na początku lat osiemdziesiątych, kiedy religia śmiałym krokiem wkroczyła do polityki, pomysł meczetu na Taksimie był rzeczywiście bliski realizacji. Jako Izba Architektów zdołaliśmy to zatrzymać. – Mücella musi mieć częste *déjà vu*. Izba Architektów występowała przeciwko meczetowi w sądzie również w latach dziewięćdziesiątych, choć wówczas historia powtórzyła się zmieniona o jeden istotny szczegół. Meczet miał już potężnego sprzymierzeńca, ówczesnego premiera Necmettina Erbakana, politycznego mentora Erdoğana. W 1997 roku Erbakan został jednak zmuszony przez armię do złożenia dymisji, a jego partia rozwiązana przez Trybunał Konstytucyjny. Wszystko, by zapobiec islamizacji Turcji. Meczet skrył się na chwilę za horyzontem. Wyjrzał zza niego w 2011 roku, a Izba Architektów przywitała go pozwem i jeszcze raz zatrzymała.

Jednak po Gezi rząd wprowadził zmiany w przepisach regulujących prace komisji zajmujących się ochroną i konserwacją tureckiego dziedzictwa,

dzięki którym projekt meczetu przy Taksimie został zatwierdzony, a Izba Architektów przegrała kolejną sprawę.

– Złożyliśmy apelację, ale zanim proces się zacznie, meczet będzie już ukończony. – Mücella mówi to w taki sposób, że niemal widzę, jak ból rozszarpuje jej serce. – Politycy czują, kiedy ich pozycja słabnie. Odgrywają wtedy przed swoimi zwolennikami pokaz siły. Meczet jest właśnie takim pokazem. Zmienia całą symbolikę i funkcję najważniejszego placu Turcji.

– *Get up, stand up, stand up for your rights…* – Profesor Hakan Koçak zaczyna nucić Boba Marleya. Buja przy tym głową, na której krótkie włosy skręcają się jak szalone, a luz niesie w górę jego ręce. Jest socjologiem i historykiem, a ten kilkusekundowy koncert to odpowiedź na moje pytanie, czy to jednak nie przesada z tą symboliką Taksimu. – Nie wiem, czy gdziekolwiek na świecie jest plac, który widziałby tyle protestów co Taksim. – Dopowiada profesor Koçak, na wypadek gdyby Marley nie wyśpiewał jego myśli wystarczająco klarownie. – Na początku lat dziewięćdziesiątych policja pilnująca przy Taksimie porządku zarządzała demonstracjami jak drogówka ruchem na ulicy. Co weekend odbywały się tu setki manifestacji. Kurdowie, feministki, lewica, prawica, konserwatyści, religijni fanatycy… Na Taksimie spotykały się wszystkie możliwe poglądy i wizje przyszłości kraju. Wzajemnie na siebie oddziaływały, przenikały się, a czasem gwałtownie ścierały. – Profesor Koçak się cieszy. Opowieść o tym, że tylko na Taksimie można było poczuć pełnię wolności, słyszałam od niejednej osoby.

Plac już na etapie projektu nasiąknął symbolizmem. Nakreślił go uznany francuski planista Henri Prost, któremu rozgłos przyniosła modernizacja marokańskich miast, wówczas będących jeszcze pod protektoratem Francji. Jego plany tchnęły nowe życie w tradycyjne, funkcjonujące według religijnych nakazów miasta. Rządzący Turcją zawierzyli, że Prost powtórzy to nad Bosforem, i w 1936 roku mianowali go głównym planistą Stambułu. Oczekiwania, że Francuz przekształci osmański Islambol (dosłownie „pełen

islamu”, jak zapisywano niekiedy w oficjalnych dokumentach imperium osmańskiego) w zachodnią metropolię okazały się na wyrost. Większość jego planów pozostała na papierze.

Te przewidziane dla Taksimu udało się jednak zrealizować. Wyburzono pozostałości osmańskich koszar, wybudowano promenadę nazwaną imieniem İsmeta Inönü, drugiego prezydenta Turcji, a nieco dalej także i park Maçka. Przestrzeń miała zachęcać tureckie społeczeństwo do spędzania tu czasu na świeckich przyjemnościach. W miejsce rygorów i ograniczeń muzułmańskiej wspólnoty wprowadzała swobodę, w równym stopniu dostępną kobietom i mężczyznom. Życie miało wyjść poza dziedzińce meczetów oraz domowe zacisza.

W ten sposób na Taksim zaproszono politykę.

– Pierwszego maja zjeżdżali się tu autobusami, maszerowali z pochodami. Od samego początku lat pięćdziesiątych Taksim upodobali sobie robotnicy. Ta i kolejne dekady nie były w Turcji szczególnie łaskawe dla pluralizmu i wolności słowa, więc kolejne rządy wprowadzały zakazy demonstracji pierwszomajowych. W 1969 roku, w Kanlı Pazar, Krwawą Niedzielę, na Taksimie na robotników czekali nacjonaliści i islamiści. Zginęły dwie osoby. A potem… – Chwila pauzy i profesor Koçak przechodzi do kolejnej piosenki. – *Beş Yüz Bin Emekçi Vardık, Taksim Meydanı’na Girdik…* Było nas pięćset tysięcy, weszliśmy wszyscy na Taksim… – Tym razem śpiewa poważny i znieruchomiały. To bardzo stary utwór Ruhiego Su, który turecka lewica nuci do dziś. Hołd dla trzydziestu czterech robotników, którzy zginęli na Taksimie w 1977 roku, kiedy w czasie zgromadzenia pierwszomajowego niespodziewanie padły strzały. Dokładnego przebiegu zdarzenia, znanego jako Kanlı 1 Mayıs, Krwawy Pierwszy Maj, ani jego sprawców, nie ustalono do dziś.

Odtąd zakaz pierwszomajowych demonstracji na Taksimie był już bezwzględny. Bezwzględna była też determinacja robotników, by go łamać. W latach osiemdziesiątych pierwszego maja Taksim zmieniał się w pole bitwy między policją a najróżniejszymi grupami maszerującymi na plac z całego Stambułu.

– Wśród nich maszerowałem i ja, nieraz z policzkami mokrymi od łez. Taksim to było nasze życie. Co roku byli ranni, co roku byli aresztowani – wspomina profesor Koçak.

Tak było aż do 2009 roku, kiedy AKP zniosła zakaz i ustanowiła pierwszy maja Świętem Pracy. Przez trzy lata znów odbywały się tu zgromadzenia, a wszyscy uwierzyli, że Turcja za rządów Erdoğana staje się bardziej demokratyczna, wolna.

– Czwartego roku zakaz przywrócono, oficjalnie ze względu na przebudowę Taksimu. Tak samo w roku następnym. – Profesor Koçak chyba nic mi już nie zaśpiewa. – Trzy tygodnie później wybuchło Gezi, które stało się początkiem nowej epoki. Dzisiejszy Taksim nie jest już placem w zachodnim rozumieniu tego terminu, a jedynie pustką.

Szeptem albo mimochodem. Rozglądając się dookoła. A najczęściej wcale. Tak rozmawia się na tureckich ulicach o meczecie na Taksimie. Każdy, kto podważa jego zasadność, może zostać uznany za wroga islamu. Każdy, kto go broni, za wroga świeckiej republiki.

Na nieco bezpieczniejsze pytanie dotyczące liczby meczetów w okolicy Taksimu odpowiedzi jest tyle, ile zapytanych osób, w rozpiętości od zera do kilkunastu. Zero – mówią zwolennicy meczetu, kilkanaście – mówią jego przeciwnicy. Kategoria „w odległości spaceru” w tym wypadku rozciąga się jak guma, a wszelkie definicje, miary, metraże i kilometry ustępują miejsca subiektywnym odczuciom i interpretacjom.

Nie ma sondaży, by ocenić, czy wierni tego meczetu potrzebują.

– Sondaże? A gdyby mieszkańcy Rzymu w sondażu zadecydowali, że chcą wyburzyć Koloseum, to należałoby to zrobić? – Mücella zsuwa okulary na koniuszek nosa i patrzy mi w prosto w oczy. – To teraz pomyśl o Maksemie.

To od budynku Taksim Maksem wzięła się nazwa placu. *Taksim* to w języku osmańskim dystrybucja, a konkretnie – dystrybucja wody. Maksem to wybudowany w pierwszej połowie osiemnastego wieku budynek wodociągów, który obecnie służy jako galeria sztuki. Eksperci

rozpaczają, że choć wciąż stoi, to budowa meczetu naruszyła i osłabiła jego strukturę. – Nie bez przyczyny cały obszar Taksimu, jak i każdy poszczególny komponent placu, znajdujące się na nim budynki i ulice, są chronione szeregiem praw. – Mücella prawo postrzega jako zbroję osłaniającą dziedzictwo Turcji, rządzący – jako zbędny relikt ograniczający ruchy.

Ale spoglądając na Taksim, Mücella i rządzący widzą to samo.

Najpierw meczet, do złudzenia przypominający dzieła architekta Mimara Sinana, najjaśniejszej gwiazdy imperium osmańskiego. Erdoğan wprost przyznał, że nie wyobraża sobie innego. – Meczety Mimara Sinana miały demonstrować wyższość imperium osmańskiego nad Bizancjum. Zwiastować nadejście nowych czasów, kiedy imperium będzie stanowiło centrum islamskiego świata – komentuje Mücella.

Naprzeciwko, po drugiej stronie placu, nowe AKM. Wyrasta naprzeciwko meczetu, w miejscu dawnej, wyburzonej opery. – Na wizualizacjach efektu końcowego w oczy rzuca się umieszczona za przeszkloną fasadą wielka kula. Wygląda jak ogromne, czerwone jabłko. W Turcji *kızıl elma*, czerwone jabłko, jest symbolem dążenia do zjednoczenia wszystkich ludów tureckich pod egidą islamu – kontynuuje Mücella.

Pośrodku Pomnik Republiki. Wybudowany w 1928 roku, upamiętnia ustanowienie nowoczesnej, świeckiej Republiki Tureckiej oraz jej założycieli. – Do niedawna był centralnym, dominującym elementem placu, teraz, w cieniu meczetu, jest zupełnie malutki. – Mücella leciutko nachyla się w moją stronę i upewnia się: – Rozumiesz?

Ona, profesor Koçak, Nazlı oraz Aylin unikają teraz Taksimu jak ognia.

Na trawie w parku Gezi leżą ludzie. Nie patrzą ani na meczet, ani na AKM, ani na Pomnik Republiki. Patrzą w niebo. Kilku młodych chłopaków wyciąga się na trawniku jak na plaży, przy fontannie w cieniu drzew odpoczywa para staruszków, przed malutką Gezi Cafe pary zajadają tosty, a kawałek dalej rodziny pilnują biegających po placu zabaw dzieci. Uważnie, żeby maluchy nie wbiegły na wybetonowany fragment,

zwieńczony schodami prowadzącymi na Taksim. Jeszcze kilka lat temu służył za skrót chcącym przejść na drugą stronę placu, ale od czasu protestów Gezi zamienił się w parking dla policyjnych autokarów. Obok nich stoi wóz opancerzony z działkiem na górze. Działko się kręci. Góruje nad placem. Byłoby mocne ujęcie. Szkoda, że można zostać za nie zatrzymanym. Fotografuję to, co wolno. Krajobraz, z budowami AKM i meczetu w tle.

To przykuwa uwagę trzech Terminatorów. Tak ich w myślach nazywam. To *çevik kuvvet*, siły szybkiego reagowania. Obwieszeni długolufową bronią, głowy mają ukryte w hełmach, a całe ciało w czarnych ochraniaczach. Teraz stoją naprzeciwko mnie, zadają pytania i przeszukują mój plecak. Na pytanie, czemu to robią, odpowiadają szorstkimi poleceniami: paszport, aparat, pokaż zdjęcia. Na wyświetlaczu lustrzanki migają ujęcia Taksimu. Następne, następne, następne. Zastanawiam się, ilu Terminatorów potrzeba do wylegitymowania jednej turystki. Najwidoczniej trzech to za mało, bo przyjeżdża wsparcie. Ekipa w opancerzonym wozie sprawdza mój paszport, wizę, przez krótkofalówkę podaje gdzieś moje dane. Zaczynam pokazywać Terminatorowi zdjęcia z Izmiru, skąd właśnie przyjechałam. Ten uznaje, że tych już nie musimy oglądać, zresztą krótkofalówka wypluwa komunikat, że z dokumentami wszystko w porządku. – *Sıkıntı yok*, nie ma problemu. Możesz iść – rzucają.

Idę do Bambi Cafe, knajpki klasy barów mlecznych. W jej ogródku też policjanci, w rogu siedzi ich aż ośmiu, wszyscy w cywilu. Łatwo ich rozpoznać po krótkofalówkach, wcale się z nimi nie kryją. Piją herbatę, palą papierosy, zerkają. Mają stąd widok na cały Taksim. Obserwują, jak przez plac maszerują kolejne oddziały Terminatorów z karnymi owczarkami niemieckimi na krótkich smyczach. To komitet powitalny dla garstki śmiałków, którzy spróbują złamać zakaz demonstracji. Od czasu protestów Gezi są tu zawsze wtedy, kiedy na Taksimie szykuje się jakiś protest. Mają mu zapobiec.

Na Taksimie demonstrować nie wolno. Władze wybudowały do tego dwa specjalne place: Maltepe i Yenikapı. Na Maltepe pozwalają gromadzić się

socjalistom i lewicy, na Yenikapı konserwatystom i zwolennikom rządu. Oba place są z dala od centrum miasta, z dala od ludzi. Manifestujących z trzech stron obserwuje tylko Bosfor.

A na stambulskich ulicach coraz częściej można usłyszeć frazę *Taksim bittikten sonra*. Odkąd Taksim się skończył. I choć to tylko trzy słowa, to wypowiadane są na dziesiątki sposobów. Ściszonym głosem. Z przygasłymi oczami. Z urwaną głoską. Z sekundową pauzą. Jakby wcale nie mówiły o placu.

Gdy z minaretów wybrzmiewa ezan, niosąc się po Taksimie w swej potędze i doniosłości, Aylin nachyla się nad swoją córeczką i śpiewa jej do ucha *Rusałkę* Dvořáka. Ale inaczej niż zna ją cały świat. Jeszcze wolniej, ciszej, delikatniej. Tak jak na płycie, którą dopiero skończyła nagrywać. To pierwszy w Turcji album z operowymi kołysankami dla dzieci, prawie bez instrumentów, jedynie z trącaną z czułością harfą i sopranem Aylin. Zatytułowała go *The sound of dreams*. Dźwięk snów. Albo marzeń.

Na okładce Aylin – pod rozgwieżdżonym niebem, w sukience z błękitu – znów stoi w centrum wszechświata.

Więź

Łączy ich przyjaźń i walka o miasto.

Nazım lubi przypominać ludziom o tym, czego wielu pamiętać by nie chciało. Jest jak podmuch powietrza, który w sekundę otrzeźwi zamroczony umysł.

İmre ma w sobie spokój i siłę wody. Jakby przepływał przez niego strumień, niosący go dokładnie tam, gdzie trzeba.

Deniz, choć jego imię oznacza morze, cały jest z ognia. Kto widział jego gniew, nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

Burçin twardo stąpa po ziemi. Nawet w czasach próby pozostaje cierpliwy i stabilny jak ona.

Każdego z nich los połączył z jednym szczególnym miejscem, a miejsca te i zebranych wokół nich ludzi splótł ze sobą nicią z eteru.

*

Krzyki z oddali rozdzierają powietrze jak stalowe ostrze. Zbliżają się, nasiąkają grozą i wlewają ją przez okna do mieszkania. İlya Avramoğlu słyszy je dobrze, choć kiedy wybrzmiały, nie było go jeszcze na świecie.

– Ojciec z dziadkiem spojrzeli po sobie i bez słowa wstali od ledwo napoczętej kolacji. Ojciec czuł, że cokolwiek się dzieje, ma to związek z tłumem, który widział, wracając od mojej mamy, wówczas dopiero jego narzeczonej. W tych czasach stambulczycy zazwyczaj trzymali się swoich dzielnic, więc znali się przynajmniej z widzenia. A tych pozbieranych w rozgorączkowane grupy ludzi ojciec widział po raz pierwszy. Wyjrzeli z dziadkiem przez okno. Krzyki zajęły już sąsiedni budynek. Dobiegały z mieszkań niemuzułmanów, głównie Greków. Beyoğlu było wówczas

zamieszkane głównie przez mniejszości. My jesteśmy Karaimami, wyznawcami religii wywodzącej się z judaizmu. – İlya opowiada szybko, jakby chciał mieć tę dręczącą go historię za sobą. – A potem zobaczyli, jak grupa mężczyzn dopada ich kamienicy i próbuje wedrzeć się do środka. Drogę zagrodził im w drzwiach dozorca, Aden. Nie ustąpił, nie porzucił tych drzwi, nawet gdy wbijali w jego ciało noże. Zostawili go tak, krwawiącego, i poszli dalej, omijając ten jeden budynek… Pogrom trwał całą noc. Z samego rana ojciec poszedł z dziadkiem do sklepu. Dziadek założył go w tysiąc dziewięćset dwudziestym roku, a więc jeszcze za czasów imperium osmańskiego. Prowadzili go razem. Przyszli na miejsce. Witryna zbita, asortyment na ulicy. Na drewnianych panelach, którymi wyłożono ściany, ślady po ciosach. Ciężkich, wybitych młotem, po który sięgnięto zapewne z zamiarem zabicia. Nie zdążyli nawet oszacować strat, gdy przyszli kolejni. Nacjonaliści z jednej z organizacji „chroniących naród”, jak się określali. Wchodzili do sklepów prowadzonych przez mniejszości i sprawdzali, czy coś się ostało. Jeśli znaleźli jakieś towary, wyrzucali je na ulicę. Na koniec przejechał po nich czołg. Dziadek z ojcem znów musieli zaczynać od zera – kończy İlya, który na świat przyszedł sześć lat po tych wydarzeniach.

Jego znajomy, Nazım Dikbaş, działacz kolektywu aktywistów Beyoğlu Kent Savunması, jakąkolwiek rozmowę o Beyoğlu – historycznej dzielnicy, której centralnym punktem jest Taksim – zaczyna od dwóch dat. Pierwsza to 24 kwietnia 1915 roku.

– Jest jak duch, nie widzisz jej, ale wciąż czujesz, co zrobiła miastu. Początek ludobójstwa Ormian. Wielu ormiańskich intelektualistów – pisarzy, dziennikarzy, lekarzy – zostało aresztowanych. Wyprowadzeni ze swoich domów, nigdy do nich nie wrócili. – Nazım robi pauzę, po czym podaje drugą datę: 6–7 września 1955 roku. Pogrom w Stambule, o którym opowiadał İlya. Jego zarzewiem była fałszywa pogłoska, że w Salonikach zaatakowano dom Atatürka. Doszczętnie go spalono, a w innej wersji nawet zbombardowano. Podsycany przez państwo gniew Turków skupił się na

Grekach, choć zemsta dosięgnęła i inne mniejszości. Kobiety gwałcono, mężczyzn mordowano, sklepy plądrowano.

Dziadek i ojciec İlyi zniszczonych wtedy paneli nie naprawili. Również İlya nikomu nie pozwolił ich ruszyć. W te ściany zabronił wbić nawet gwoździa. Dla niego były dowodem życia jego rodziny i śmierci innych rodzin. Przypomnieniem i przestrogą. Często pokazywał je Nazımowi, a ich widok głęboko w Nazımie utkwił.

– Zacząłem powtarzać swoim studentom, by patrzyli w górę. Byłem wówczas wykładowcą komunikacji wizualnej oraz zarządzania kulturą na stambulskim Uniwersytecie Bilgi. Mówiłem: idąc aleją İstiklal oraz innymi ulicami Beyoğlu, patrzcie w górę, na budynki. I zadajcie sobie pytanie: czemu tak wiele z nich stoi pustych? Co się stało z ich właścicielami i mieszkańcami? – opowiada mi Nazım.

Wielu właścicieli po pogromie porzuciło swoje sklepy i biznesy. Niektórzy ratując życie, zostawiali majątki i więcej już do nich nie wrócili. Inni zdążyli je sprzedać. Te, odsprzedawane potem ponownie, przechodziły z rąk do rąk. Stąd problem z ustaleniem prawa własności do wielu z budynków stojących przy İstiklal. Część zionie pustką i niszczeje – właścicieli albo nie ma, albo jest zbyt wielu.

Kelebek Korse, rodzinny sklep İlyi, był jednym z niewielu, który przetrwał. Niewielki sklep z bielizną, przez pierwsze szesnaście lat funkcjonował kilkadziesiąt metrów od İstiklal. – Ojciec zaczął w nim pracować w wieku trzynastu lat, a ja mając lat osiemnaście, już w nowej lokalizacji – opowiada mi İlya. W 1936 roku Kelebek Korse przeniósł się na samą İstiklal, do malutkiej przestrzeni wynajmowanej od znajdującego się obok szesnastowiecznego kościoła rzymskokatolickiego Santa Maria Draperis.

– Na dole, tuż przy wejściu, ojciec ciął materiały. Piękne, sprowadzane z Włoch. Pracował bez wykrojów, taką miał wiedzę i wyczucie w rękach. W warsztacie na piętrze szyliśmy gorsety. Klienci przyjeżdżali po nie z wielu krajów. Bo tylko te nasze uśmierzały ból, którego nikt nie potrafił pokonać – wspomina İlya. Całkiem możliwe, że gdyby nie one, Turcy nie

mogliby cieszyć się występami swojej ukochanej Safiye Ayli. Zasłuchani w jej piosenki, nie wiedzieli, że jej *bülbül sesi*, głos słowika, wychodził z ciała pełnego bólu. – Zamawiała u nas gorsety ortopedyczne, które usztywniając jej talię, wspierały kręgosłup. Mówiła, że tylko dzięki nim może koncertować. Pamiętam, jak jednego dnia, już po zakończeniu kariery, przyszła i powiedziała do mnie: „*Evladım*, dziecko moje, widzimy się po raz ostatni”. Miała wtedy dziewięćdziesiąt lat. Ucałowałem jej dłonie. Rok później zmarła. – İlya rozpina kolejny guzik koszuli.

– Wszyscy znali Kelebek Korse. Miał chyba najbardziej rozpoznawalną witrynę w całym mieście. – Nazım zaczyna kreślić ją na kartce, na której notuję jego słowa. Ma talent, swoje szkice wystawiał nawet na prestiżowym stambulskim Biennale. Talent zresztą nie jeden, oprócz tego przekłada literaturę, między innymi Hranta Dinka, Orhana Pamuka, Vladimira Nabokova i Flannery O’Connor, jest członkiem zespołu muzycznego Zen oraz DJ-em w jednej z kawiarni. A to zapewne jedynie niewielka część tego, czym się zajmuje. Nazım niby potwierdza, ale więcej szczegółów nie chce zdradzić. Nie przyszedł opowiadać o sobie – dyscyplinuje mnie tonem niepozostawiającym złudzeń. Studenci musieli mieć z nim ciężko.

– Tę wystawę rodzina Avramoğlu zmieniała w sztukę. Pamiętam, jak spięli ze sobą dwie podkoszulki w tak niezwykły sposób, że musiałem je kupić i powiesić u siebie w domu. – Nazım i je szkicuje. Najbardziej charakterystyczny element ekspozycji pozostawał niezmienny: na wystawie, jak muzealny eksponat, królował *bullet bra*, spopularyzowany przez hollywoodzkie gwiazdy stanik z lat pięćdziesiątych ze stożkowatymi miseczkami przypominającymi pociski.

Zmiany przyniósł dopiero rok 2014. W życie weszło prawo pozwalające na eksmisję wieloletnich najemców bez podania powodu. To zaś zbiegło się w czasie ze śmiercią zaprzyjaźnionego z rodziną Avramoğlu proboszcza kościoła Santa Maria Draperis. Niespodziewanie İlya dostał nakaz zwolnienia wynajmowanego lokalu.

– Na witrynie wywiesił dramatyczny apel o pomoc. Przyszliśmy do niego jako członkowie Beyoğlu Kent Savunması, by z nim porozmawiać, okazać

solidarność – wspomina Nazım. Aktywiści udzielili mu wsparcia prawnego i medialnego, a İlya walczył, jak mógł: negocjował, wysyłał petycje, próbował poruszyć niebo i ziemię. Niebo szczególnie. Napisał z prośbą o wstawiennictwo do papieża Franciszka. Papieżowi, który w listopadzie 2014 roku odwiedził Stambuł, list İlyi wręczył naczelny rabin Turcji. Ale przy wielkich pieniądzach trudno o cud.

İstiklal to najbardziej reprezentacyjna aleja miasta, jego duma i wizytówka, a zarazem jedna z najbardziej zatłoczonych ulic świata. Pokazanie się tutaj do niedawna było dla największych światowych marek reklamą wartą każdej sumy. İlya nie był w stanie z nimi konkurować. Pod koniec 2015 roku zamknął swój sklep. Cztery miesiące później otworzył go ponownie, w pobliskiej okolicy Feriköy, ale mówił mi, że trudno go uznać nawet za namiastkę dawnego sklepu. Zniknęła historia, zniknęli stali, przyzwyczajeni do dawnej lokalizacji klienci. W marcu 2019 roku İlya zamknął i ten sklep. A potem sam też zniknął.

Długo trwało, zanim do niego dotarłam.

İlyę odnajduję na bazarze w Feriköy, na którym trzy razy w tygodniu sprzedaje wraz z żoną bieliznę. Żadną specjalną, nawet niezbyt piękną. Ani jednego pytania nie udaje mi się zadać mu do końca. Wystarczy pierwsze słowo, a rozpacz wylewała się z niego potokiem, którego nie jestem w stanie zatamować. – *Bugünlerde*… Obecnie… – zaczynam, a İlya już wchodzi z odpowiedzią: – Obecnie przychodzimy tu głównie dla zabicia czasu, pieniędzy z tego niewiele. Żona poszła zobaczyć, co jest w miejscu naszego sklepu. Mówi, że najemca zrobił remont, zlikwidował panele ze śladami pogromu. Nie ma historii, nie ma dowodu. Nigdy tam nie pójdę. İstiklal była naszym domem. Walczyłem nie tylko dla siebie, ale dla wszystkich, których z niej wyrzucano. – Kolejne zdania płyną niemal bez kropek, aż po godzinie wyczerpują İlyę. Przeprasza, by pójść po wodę.

Gdy się oddala, jego żona, która w milczeniu przysłuchiwała się mężowi, wręcza mi malutką karteczkę. Wyrwaną z zeszytu i zapisaną odręcznie, z powtarzającym się niemal w każdym zdaniu słowem *lütfen*, proszę.

Przygotowała ją na wypadek, gdybyśmy nie zostały same. Ale skoro zostałyśmy, to może mi to powiedzieć osobiście. – On poszedł płakać. Po każdym wywiadzie chodzi. Wtedy ja po kryjomu wręczam dziennikarzom tę karteczkę z prośbą, czego mają nie pisać. Proszę, mamy dzieci. Mamy przyjaciół chrześcijan, nie chcę z nimi wojny religijnej. Proszę. Tak bardzo się boję. Za tym kościołem stoi wielki Watykan. A my, kim my jesteśmy? Karaimami, których w Stambule zostało już tylko kilkadziesiąt rodzin. Proszę.

Obecnie witrynę dawnego Kelebek Korse pokrywają arabskie napisy skierowane do turystów z państw Zatoki Perskiej. W środku znajduje się popularna sieciówka, sklep z perfumami. O historycznym sklepie przypomina jedynie górny fragment witryny – umieszczone nad drzwiami stare, poczerniałe lustro w drewnianej ramie. Jakimś cudem się ostało. Pamiątka, podobna do tej, która przypominała İlyi i jego klientom o przeżytym pogromie. Dostrzegalna tylko dla tych, którzy patrzą w górę.

*

İmre Azem nie spodziewał się, że jego film tak w Turcji namiesza. Kręcąc go, nie wiedział nawet, co dokładnie w nim będzie. Po prostu dokumentował walkę, jaką mieszkańcy Stambułu toczyli o przyszłość miasta i swoją, bo te dwie sprawy często są nierozłączne.

– Chciałem, by ludzie dowiedzieli się, co dzieje się w Stambule. Zastanowili się nad tym, zaczęli dyskutować – tłumaczy.

Tak powstało *Ekümenopolis*, film dokumentalny o podtytule *Ucu olmayan şehir*, Miasto niemające końca. Opowiada o społecznych kosztach transformacji Stambułu i szerzej – całej Turcji. To absolutny klasyk, elementarz, często wstęp do miejskiego aktywizmu. Po siedmiu latach od premiery nadal wyświetlany jest na uniwersytetach, konferencjach i rozmaitych sympozjach, a aktywiści noszą go na koszulkach.

İmre filmował między innymi walkę o Emek, najsłynniejsze kino Turcji. Ostatecznie nie znalazła się ona w *Ekümenopolis*, za to *Ekümenopolis*

znalazło się w samym centrum walki o Emek.

Na hasło „Emek” İmre jeszcze głębiej zatapia się w rozłożysty fotel, który ustawił w wykuszu swojego malutkiego mieszkania. Ten fotel oraz ekran na biurku zdominowały całą przestrzeń, jakby zastępowały mu kino. İmre uśmiecha się i długo nic nie mówi. Dużo będzie w naszej rozmowie ciszy.

– Fotele. Najlepiej pamiętam fotele – zaczyna İmre. – Stare, ale najwygodniejsze, w jakich siedziałem. Pozwalały ciału się rozluźnić, a wtedy umysł zupełnie zapadał się w opowiadaną na ekranie historię. Jakikolwiek film by oglądać, w Emek to zawsze była magia. Wystrój tworzył taką atmosferę, że… – Milknie, a cisza łagodnie zlewa się z unoszącym się po mieszkaniu zapachem kawy z kardamonem.

Emek, kino usytuowane przy samej alei İstiklal w monumentalnym, bogato zdobionym budynku Cercle d’Orient, wystrojem przypominało bardziej teatr lub operę. Swoje podwoje po raz pierwszy otwarło dla widzów w 1924 roku. To w nim rozpoczynał się Stambulski Festiwal Filmowy, a na ambitnym repertuarze Emek wychowało się wielu reżyserów.

Dlatego kiedy przy okazji remontu gmachu Cercle d’Orient postanowiono, że w miejscu Emek powstanie centrum handlowe, a Emek zajmie jego ostatnie piętro, świat kina wstrzymał oddech. Na protestach osobiście stawili się między innymi reżyserzy Mike Newell (*Człowiek w żelaznej masce*, *Cztery wesela i pogrzeb*, *Harry Potter i czara ognia*) oraz Constantin Costa-Gavras (uhonorowany Oscarem i Złotym Globem thriller *Z*).

Hasła, które wybrzmiały na protestach, powinny zaniepokoić rządzących.

Emek bizim, Istanbul bizim, Emek jest nasz, Stambuł jest nasz.

AKP elini İstanbul’dan çek, AKP, zabieraj ręce od Stambułu.

– *Ekümenopolis* miało mieć premierę na Stambulskim Festiwalu Filmowym. Sam byłem wtedy w Berlinie, gdzie kończyliśmy anglojęzyczną wersję filmu. Zdecydowaliśmy się wysłać *Ekümenopolis* protestującym – opowiada İmre. I tak pierwszy pokaz odbył się na dzień

przed oficjalną premierą, wyświetlony na białym prześcieradle dla zapłakanego i kaszlącego od gazu łzawiącego tłumu pełnego artystów, akademików i gwiazd filmowych, którzy po kolejnym proteście w obronie Emek zgromadzili się w najbardziej symbolicznym z wszystkich możliwych miejsc – uliczce Yeşilcam. To przy niej rezydowali i przesiadywali producenci i reżyserzy, wokół niej umiejscowione były inne artystyczne kina, zresztą jej nazwa mówiła sama za siebie. Yeşilcam to turecki przemysł filmowy lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, niemal bezbudżetowy i tak kuriozalny, że o nim samym powstał niejeden film.

– Władze spodziewały się oporu. W tym i wielu innych przypadkach, bo transformacji poddano całe Beyoğlu. Rządzący wyszli z założenia, że opór stłamszą, a ludzie z czasem zapomną o sprawie. Dzisiaj uliczka Yeşilcam jest pustą, martwą przestrzenią wciśniętą między dwa centra handlowe, Demirörena i Grand Perę. – İmre milknie. To na ostatnim piętrze Grand Pery mieści się nowy Emek. – Jednak zdarzenia nie dzieją się w próżni, ale wzajemnie na siebie wpływają i pociągają za sobą kolejne. Po premierze *Ekümenopolis* zdarzyło się coś pięknego. Ludzie sami zaczęli organizować pokazy filmu. Lokalne, niewielkie, na które zapraszali sąsiadów, ekspertów, aktywistów. Indywidualne dramaty zjednoczyły się z samotnymi walkami i zaczęły razem działać. Słowem, film uruchomił cały łańcuch zdarzeń. Nie inaczej było z Emek. – İmre się uśmiecha.

Bu daha başlangıç, mücadeleye devam. To dopiero początek, będziemy kontynuować opór. W tym haśle była moc, która wynosiła je potężnym echem pod samo niebo i uczyniła czołowym sloganem w obronie Emek. Demonstracje i kampanie na rzecz ocalenia kina trwały trzy lata.

22 maja 2013 roku Emek wyburzono.

Hasło, które tak długo mu towarzyszyło, wybrzmiało ponownie zaledwie kilka dni później. Tym razem nie tylko w uliczce Yeşilcam, ale na ulicach całego kraju, który właśnie zajmował się od Gezi.

*

Musa Ateş jest mężczyzną dość wycofanym. Nie okazuje emocji. Ale kiedy widzi Deniza, jego bujne, szlachetne brwi w kolorze pieprzu i soli z radości unoszą się tak wysoko, że aż marszczą mu całe czoło. Musa obejmuje Deniza czule jak syna i od razu serwuje mu specjalność zakładu: profiterol, malutkie ptysie polane gęstą, ciemną czekoladą. Deniz może być pewien, że w İnci Pastanesi, Cukierni İnci, ma dożywotnie wyżywienie.

Musa wciąż wraca pamięcią do scen, które rozegrały się w deszczowy, grudniowy dzień. Deniz, niesiony wzburzeniem, przedziera się przez tłum otaczający cukiernię i jako jedyny wbiega do środka. Żąda, by policjanci pokazali identyfikatory, krzyczy, że nie mają prawa odmawiać ich pokazania, wyrzuca z siebie przepisy i paragrafy, że o eksmisji trzeba powiadomić z miesięcznym wyprzedzeniem. Własnym ciałem zagradza policjantom drogę, by nie wynosili sprzętów. Kiedy próbują go wyprowadzić, stawia opór, czepia się klamki i przy gromkich brawach tłumu zapiera się z siłą, która musiała ich zaskoczyć. Jest szczupły, o delikatnej budowie, a jednak do radiowozu musi wpychać go aż sześciu funkcjonariuszy. Kiedy w nim odjeżdża, Musa i pozostali pracownicy İnci wychodzą na ulicę z profiterolem i innymi deserami na posrebrzanych tacach. Właściciel wygląda, jakby był w szoku. Częstując zgromadzonych, roztrzęsiony w kółko powtarza: „Wymazują historię, wymazują historię”. Ludzie łkają, w strugach deszczu, ze słodkościami w dłoniach. Znajdująca się naprzeciwko księgarnia Mephisto puszcza im dla ukojenia muzykę z najsmutniejszymi skrzypcami świata i wokalem trafiającym w samo serce.

İnci Pastanesi powstała w 1944 roku i zawsze mieściła się w budynku Cercle d’Orient. Musa mówi mi, że jest kierownikiem od 1960 roku. Dogląda cukierni, nawet kiedy ze mną rozmawia, specjalnie wybrał stolik tuż przed wejściem. Kiedy kończy wypowiedź, mruży oczy i unosi głowę na znak, że mogę zadać kolejne pytanie. Sam wybiera, na które z nich odpowie.

– Historia rodziny? Ależ nie ma potrzeby o tym mówić – strofuje mnie literackim tureckim, z piękną, klasyczną składnią, która uznaje chaos

potocznego języka za niedopuszczalny. W jego odpowiedziach nie ma ani jednego zbędnego słowa.

Musa nie opowie mi o dniu, kiedy İnci została zamknięta i zmuszona do przeniesienia się z İstiklal w jedną z bocznych uliczek. – Jestem po stronie piękna i dobra. Nie wracam pamięcią do tego, co było złe. Ważne, że udało nam się ochronić wszystkich pracowników oraz zachować więzi, jakie łączą nas z klientami – mówi z godnością dżentelmena starej daty.

O tym dniu opowiada mi Deniz Özgür, który za swoją próbę interwencji dostał dwa lata więzienia w zawieszeniu. Świadkowie jego procesu, z którymi później rozmawiam, opowiadają, że Musa tak zaciekle bronił Deniza, że sędzia zwrócił się do niego: „Jeśli pan sobie życzy, mogę natychmiast zwolnić pana Özgüra i zamiast niego osądzić pana”.

– Nie chodziło o samą İnci, ale cały kompleks Cercle d’Orient – wyjaśnia Deniz. – Broniliśmy znajdującego się w nim kina Emek. Po raz pierwszy poszliśmy do İnci, by poznać opinię pracowników o całej sprawie. Cukiernia miała swoją klientelę, zazwyczaj ze starszego, zamożniejszego pokolenia. Nas nie było stać na profiterol.

Rozsiadłszy się z herbatą na eleganckich taboretach wśród kunsztownych gablot pełnych deserów, Deniz pozwolił Musie zabrać się w podróż po tradycji i historii Beyoğlu. Odtąd często wpadał na herbatę.

Policja zjawiła się na progu İnci rankiem 7 grudnia 2012 roku. – Walka o Emek połączyła ludzi świadomych wartości takich miejsc w swego rodzaju społeczność, więc wiadomość rozeszła się momentalnie. Ludzie zaczęli zjeżdżać się z całego miasta, ja też przyjechałem najszybciej, jak się dało – opowiada mi Deniz w półmroku najdalszego z kątów kawiarni, w której rozmawiamy. Na ekranie komórki pokazuje mi nagranie z aresztowania. Eksmisji İnci, ostatniego już sklepu w gmachu Cercle d’Orient, nie udało się powstrzymać.

– Wieczorem policja przyszła pozbawić nas złudzeń, że jeszcze odbijemy i uratujemy İnci. Roztrzaskali framugi i meble, pobili okna. Akt zemsty i psychologicznego zwycięstwa – kwituje Deniz. Wszystko dokonane ciężkimi młotami, które İstiklal dobrze już znała. – Ilekroć organizujemy

jakiś większy protest w obronie innego historycznego miejsca, Musa zawsze przysyła nam profiterol – dodaje.

Musa ani nie potwierdza, ani zaprzecza. – Myślę o Stambule jak o róży, której nie potrafiliśmy pielęgnować z należytą troską, więc zwiędła i obumarła. Niech Bóg nam wybaczy… – mówi jedynie, a jego schludnie przycięte włosy, których niewiele już zostało, w popołudniowym październikowym słońcu zdają się jeszcze bardziej siwe. – Jeszcze do niedawna Beyoğlu było pełne kultury, kina, teatrów, restauracji… Pokazanie się tu bez krawata uchodziło za nietakt! – Sam zawsze jest w garniturze. Elegancja i dystynkcja wypełniają każdy jego gest, choć zarazem zatrważająco dużo w nim kruchości. – İstiklal przemierzali europejscy turyści z tłumaczami i przewodnikami. Teraz ich nie widzę. Tęsknimy za Europejczykami! Tak bardzo tęsknimy! – powtarza z niepodobnym do niego zdenerwowaniem, jakby chciał zaapelować: wróćcie!

*

Aydın wszedł do tej historii z butami. Przysiadł się do mnie w knajpce i bez zbędnych wstępów zaczął mówić. Tak jakby miał obowiązek wyjaśnić i dopowiedzieć to, czego stojącemu po stronie piękna i dobra dyplomacie Musie nie pozwoliły wyrazić maniery. Nie protestowałam, bo dawno nie widziałam tak znudzonego człowieka. Jeśli moja obecność pomoże mu zabić trochę czasu, posłucham.

– Całe życie na taksówce. Dziś jestem prywatnym kierowcą. Wożę turystów luksusowym mercedesem, gdziekolwiek zapragną – streszcza mi swoje życie sześćdziesięcioletni Aydın. – Tydzień temu siedząca na tylnym siedzeniu auta klientka poprosiła, bym otworzył jej okno. Nad opuszczoną szybą wysunęła banknot, pięćdziesiąt lir. Potem kolejny i kolejny. – Wąsy Aydına coraz bardziej się trzęsą. Po każdy z banknotów sięgały małe rączki. Kilka chwil i rączek już nie można było zliczyć. Dziecięce ciałka oblepiły cały bok auta. – Nie mam pojęcia, skąd nagle tyle dzieciaków. Krzyknąłem

tylko: co pani robi?!, zamknąłem okno, dałem w klakson i gazu! Ja wiem, że ropa naftowa to bogactwo, ale żeby wszyscy Arabowie przyjeżdżali tu z torbami pieniędzy?! – Aydın co chwilę ze zniecierpliwieniem zerka na telefon. Czemu nie dzwonią?

Wozi niemal wyłącznie Arabów. Do Turcji przyjeżdżają na wakacje, a do Stambułu na zakupy. Aydın czeka teraz, aż wyjdą z jednej galerii handlowej, by zawieźć ich do następnej. Wreszcie dzwonią. – *Yes miss Lady, yes, half an hour, yes miss Lady*. – Aydın wychodzi z siebie, by swoim podstawowym angielskim wyrazić tyle szacunku, na ile tylko jest w stanie się zdobyć. Widać, że wysokie napiwki od arabskich bogaczy nie rekompensują mu frustracji. Wolałby wozić Europejczyków, jak jeszcze do niedawna. – Tylko że zamiast nich zaczęli przyjeżdżać szejkowie, z gromadką żon owiniętych w czarne abaje! Atatürk własnym oczom by nie uwierzył… – mówi zbolałym głosem. Trochę przesadza. Europejskich turystów nadal jest tu wielu. Choć rzeczywiście, każdemu, kto przyjeżdża do Stambułu od lat, zmiana proporcji mocno rzuci się w oczy.

– Muszę iść. Módl się za mnie, żeby nie zażyczyli sobie po drodze jechać do restauracji. Ostatnio zawiozłem ich do takiej, że bez drogiego garnituru nie wejdziesz. Kelnerzy wyprostowani jak struny, kłaniają się w pas. Nie spodobała się, za niski standard. Mniej niż pięć gwiazdek to dla nich potwarz. Wiesz, co słyszę od nich najczęściej? Że pieniądze nie grają roli. I wyrazy oburzenia, że nie mówię po arabsku – wzdycha na odchodne Aydın.

Właściciele sklepów i gastronomii przy İstiklal już uczą się arabskiego. I oni zauważyli, że w przelewającym się tędy tłumie to mężowie zakrytych od stóp do głów kobiet dźwigają najwięcej toreb z zakupami. I wyciągnęli z tego wnioski. Na witrynach aż zaroiło się od napisów po arabsku. Często wbrew prawu, które wyraźnie stwierdza, że minimum siedemdziesiąt pięć procent treści na banerach musi być po turecku. W innym wypadku zostaną zerwane przez *zabıtę*, odpowiednik straży miejskiej. Obostrzenie wprowadzono, kiedy do Turcji zaczęli przybywać uciekający przed wojną Syryjczycy. Osiedlali się głównie w przygranicznych miastach

i miasteczkach na południowym wschodzie kraju, w niektórych z nich po pewnym czasie przewyższając liczbę lokalnej ludności. Teraz tablic po arabsku pełno i w Stambule, zwłaszcza dzielnicach Esenyurt i Fatih, gdzie Syryjczyków jest najwięcej. Te na İstiklal adresowane są jednak nie do nich, ale do turystów z państw Zatoki. Kilka z nich pojawiło się w pakiecie z naganiaczami. Witając przechodniów po arabsku religijnym *salam alejkum*, zachęcają do zakupów. Nie zawsze trzeba naganiać. Wyeksponowane na imitujących złoto półkach perfumy już z daleka obiecują klientom z Bliskiego Wschodu luksus, a w ich ślady idzie coraz więcej nowych sklepów.

– W tym sęk – mówi mi jeden z tutejszych sprzedawców. – Arabowie przyjeżdżali tu od dawna i nikt do nich nic nie miał. Problem w tym, że po Gezi cały teren został przeprojektowany pod ich potrzeby.

*

Akrobaci balansowali na smukłych drabinach z taką lekkością, jakby byli wyjęci spod prawa grawitacji. Wskakiwali na nie jak zwinne pumy i w kilka sekund byli już na ostatnich szczeblach, tuż pod wysokim sufitem. A przecież żaden z nich tego nie trenował. Burçin Kimmet, który na tych drabinach spędził dwadzieścia pięć lat, też nie.

Do zespołu dołączył cztery miesiące po jego utworzeniu, gdy sam miał dwadzieścia dwa lata. Był 1994 rok, kończył drugi rok studiów i pracę w jednym z wydawnictw. Zajmował się w nim redakcją książek, ale marzył, by je sprzedawać, osobiście wprowadzać do życia klientów.

– Ojciec był żołnierzem, matka zajmowała się domem. Tak samo jak u innych dzieciaków, z którymi bawiłem się na podwórku. Szybko zorientowałem się, że nasza rodzina odstaje. Tylko w naszym domu były książki. Rodzice nie mieli wyższego wykształcenia, ale czytali bez opamiętania. Ojciec klasyki, matka bestsellery. – Burçin opowiada tonem zawieszonym gdzieś pomiędzy atłasem a aksamitem.

Kiedy wydawnictwo, w którym pracował, zakończyło działalność, Burçin zamienił jego siedzibę na dwa piętra półek z książkami. Od podłogi aż po sam sufit, z wysokimi drabinami, po których wspinała się obsługa w poszukiwaniu tytułów. Księgarnia Robinson Crusoe 389 to świat z jego marzeń – wiedział to od razu.

Do Robinsona przychodziło się nie tylko po książki. Częściej po radę, zaskoczenie, a czasem i grubszy kaliber: nowe horyzonty lub święte oburzenie.

– W tym czasie księgarnie w Turcji ustawiały książki na półkach według wydawnictw. My zaczęliśmy szeregować je według kategorii, co na początku wiele osób denerwowało. Szybko jednak zrozumieli, dlaczego to robimy. – Burçin odchrząkuje i zaczyna mnie oprowadzać, jakby nie był pewien, czy pamiętam. – Na parterze na lewo książki o sztuce. Dalej kino, muzyka, architektura, kulinaria. Na prawo książki o Turcji, dalej o Stambule, literatura anglojęzyczna, filozofia. Na antresoli klasyka tureckiej literatury. I kilka półek, dla których ciągle wymyślaliśmy nowe kategorie. Moją ulubioną były „mniejszości imperium osmańskiego”. – Kiedy to mówi, myślę o İlyi. Robinsona zmiany zaskoczyły za sprawą tej samej regulacji, która pozwoliła na eksmisję Kelebek Korse.

– Karta nazywała się RobKart. Kupowałeś ją, a na książkę wymieniałeś nawet kilka tygodni później. Z każdą kolejną podwyżką czynszu, nasi klienci wykupywali je masowo. – Burçin odchrząkuje i bierze głębszy oddech. – Ale ostatecznie stało się, co się stało. Pomógł nam przez to przejść łańcuch.

Ciągnął się przez całą İstiklal, a tworzyły go wędrujące od dłoni do dłoni książki. Po sekundzie lub dwóch na książkę i już kolejny tom, kolejna ręka. Nikt nie wiedział, ile osób bierze udział w tym żywym łańcuchu, za to wszyscy czuli, ile znaczy przeprowadzenie Robinsona w ten sposób.

– Dwie godziny i byliśmy w nowej lokalizacji. Zmieniliśmy numer İstiklal z trzysta osiemdziesiąt dziewięć na sto trzydzieści sześć. Nazwa została ta sama. Ale z nową siedzibą był jakiś problem, władze dzielnicy ją zamknęły, a my zniknęliśmy na dwa i pół roku. – Burçin nie ukrywa, że

w tym czasie nawiedzały go czarne myśli, na szczęście rzadko i zwykle zachęcone konkretnym wydarzeniem. Takim jak informacja, że w miejscu Robinsona powstał sklep z biżuterią.

Od kwietnia 2018 roku Robinson Crusoe 389 znów mieści się przy İstiklal. Ale czy na pewno? Burçin nie jest przekonany.

– Jesteśmy na czwartym piętrze budynku galerii SALT Beyoğlu. Już nie wchodzi się do nas z ulicy, nie mamy witryny, w ogóle nas nie widać. Może to i lepiej… Będąc usytuowanym przy İstiklal, musisz dopasować ofertę do przechodzących nią ludzi. Ten tłum tak bardzo się zmienił, że musielibyśmy dokonać radykalnej reorientacji. A nie po to otwieraliśmy Robinsona. Przez te wszystkie lata oferowaliśmy książki ważne, a niekoniecznie te, które najlepiej się sprzedają. – Jego słowa płyną teraz bez ani jednego zacięcia czy zająknięcia, które przerywają większość jego zdań. – Ta misja pozostaje aktualna, ale mamy poważne problemy finansowe. Nie wiem, co będzie dalej, ale wiem, że nigdy nie chciałem być pracownikiem księgarni-sieciówki, takim, który stoi za kasą i nabija.

Nigdy nie był. Z czasów, kiedy studiowałam w Stambule, pamiętam, że wizyty w Robinsonie nie polegały na dokonaniu błyskawicznej transakcji. Miały w sobie coś z rytuału, a na pewno nauki cierpliwości. Trzeba było poczekać, by o coś zapytać, bo klienci długo rozmawiali z obsługą, wspólnie z nią przeglądali pozycje dostępne i niedostępne. Trzeba było poczekać, by móc książkę obejrzeć, bo często zamawiano ją z drugiego końca świata. Nieraz inną, niż klient planował, bo te rozmowy i wspólne przeglądanie weryfikowały wiele decyzji.

To chyba ta sama cierpliwość, której w Robinsonie wszyscy wzajemnie się od siebie uczyli, przeprowadziła Burçina przez czas, gdy księgarnia była tymczasowo zamknięta. Mam wrażenie, że poprowadzi go dalej, a cokolwiek by czekało Robinsona, Burçin wyjdzie z tego bez szwanku. W końcu jest nie tylko księgarzem z krwi i kości, ale i akrobatą.

*

Emek, Kelebek Korse, İnci Pastanesi, Robinson Crusoe 389 – dziś można byłoby pójść na długi spacer śladami podobnych miejsc. Powstała nawet oprowadzającą po nich mapa. Przygotowało ją Stowarzyszenie Sprawiedliwości Przestrzennej (Mekanda Adalet Derneği, MAD), zaznaczając na niej nieistniejące już miejsca, których wartość znacznie wykraczała poza generowane przez nie zyski. Na mapie nazywano je „miejscami pamięci", bo nawet po likwidacji bądź przeprowadzce wciąż żyją w zbiorowej świadomości stambulczyków.

Nazım mówi wprost: Jeśli ich nie bronisz, tracisz część siebie.

Deniz nic nie mówi. Wpatruje się w ostatnie piętro centrum handlowego Grand Pera, trzymając transparent: „To nie jest prawdziwe kino Emek. Społeczeństwa, które nie szanują swojego dziedzictwa, zginą". Stoi tak zaledwie pół godziny, potem odjeżdża w radiowozie. Ale wtedy jego transparent w tym samym miejscu rozwija Mücella Yapıcı, niestrudzona szefowa Izby Architektów.

– Taksim, İstiklal i Beyoğlu to jeden organizm. Serce i dusza tego miasta – podkreśla Mücella. Co do tego zgodziłby się z nią nawet prezydent Erdoğan. „Beyoğlu widziało już zagorzałych zwolenników Starej Turcji, widziało demonstrantów Gezi. Teraz będzie miejscem, od którego zaczniemy budowę Nowej Turcji" – obwieścił w 2015 roku. Wszyscy już wtedy wiedzieli, że budowa dawno się już rozpoczęła. Zainaugurowały ją parkingi.

– Podziemne, z sześcioma lub siedmioma poziomami. Miały powstać pod nowymi budynkami w znajdującej się obok Taksimu dzielnicy Tarlabaşı oraz pod centrami handlowymi Demirören i Grand Pera na İstiklal. A że nie było jak do nich dojechać, to nakreślono plan przebudowy Taksimu, w ramach którego pod placem zaplanowano drogi prowadzące do galerii handlowych, a na placu jeszcze jedno centrum, w formie koszar. Oficjalnie nazwano to przekształceniem Taksimu w przestrzeń dla pieszych. Nie wzięto pod uwagę tylko jednego. Pieszych. – Mücella odwraca wyświetloną na monitorze mapę w moją stronę i zawisa nad biurkiem. – Patrz, tego chodnika nie ma na żadnym planie. Kiedy się zorientowali, że zapomnieli

go zaplanować, zaczęli wycinać pod niego drzewa w parku Gezi. – Mücella mówi to tak, jakby jednocześnie śmiała się i płakała.

Epilog tej historii jest jednak inny niż ten, który pisali rządzący.

W komercyjnej odsłonie İstiklal coś zgrzyta, chrobocze, nie działa.

Wydarzenia promujące wielkie otwarcie Demirörena mieli uświetnić tureccy celebryci. Ale oni zaproszenia odrzucili. Zamiast nich przyszli protestujący. Dlatego oficjalnego otwarcia Grand Pery nie było wcale. Spróbowano innego sposobu.

„Najpiękniejszy dla Stambułu czas” – głosi hasło Istanbul Shopping Fest, Stambulskiego Festiwalu Zakupów, który oficjalnie obiecuje „przekształcić Stambuł w światowe centrum zakupów, rozrywki i kultury”. Wzorowany na Layali Dubai, analogicznym festiwalu organizowanym w Dubaju, przez czterdzieści dni pozwala klientom do późnych godzin nocnych korzystać z wyprzedaży we wszystkich galeriach handlowych. A i to na nic.

Najwyższe piętra Demirörena do dziś są zamknięte. Bywały sezony, gdy zimą nie opłacało się włączać w budynku ogrzewania. Podobnie jest w Grand Perze. Trudno nie zastanawiać się, czy przypadkiem nie weszło się do galerii dopiero szykującej się na otwarcie. Podświetlane ruchome schody wożą tylko swoją samotność.

Przebudowa

Dawno, dawno temu byli sobie Karagöz i Hacivat. Pracowali przy budowie Wielkiego Meczetu w Bursie, pierwszej stolicy imperium osmańskiego. Nie lada stało przed nimi zadanie. Trzeba było wznieść dwadzieścia kopuł i dwa minarety, a najsłynniejsi kaligrafowie imperium tylko czekali, by rozpocząć pracę nad blisko dwustoma monumentalnymi inskrypcjami, które miały ozdobić wnętrze.

A jednak Karagöz i Hacivat niespecjalnie się przejęli. Chętniej niż pracy oddawali się żartom i słownym potyczkom, które przyciągały tłumy gapiów. Budowa się opóźniała. Kiedy sułtan się o tym dowiedział, wpadł w gniew tak srogi, że rozkazał stracić żartownisiów.

Swojej porywczości szybko pożałował. Po mieście poniósł się pomruk niezadowolenia, a pozostali robotnicy uczcili pamięć kolegów, przyjmując ich dowcipny sposób bycia. Zrozpaczony władca posłał po szajcha Küşteriego, duchownego i uczonego, który dobrze znał straconych budowniczych. Żeby pocieszyć sułtana, szajch rozciągnął białe płótno, ustawił za nim świece i ściągnąwszy z nóg sandały, odegrał jedną z ich komicznych rozmów.

To chyba najpopularniejsza z licznych wersji legendy o powstaniu *karagöz*, tureckiego teatru cieni. Opowieści łączy jedno – są mocno na bakier z prawdą historyczną, bo sułtan Orhan Gazi, który miał rozkazać stracenie Karagöza i Hacivata, zmarł ponad trzydzieści lat przed rozpoczęciem budowy Wielkiego Meczetu, a sam teatr prawdopodobnie zrodził się na indonezyjskiej Jawie lub w Egipcie. Dla mieszkańców Bursy nie ma to jednak większego znaczenia. W mieście do dziś znajdują się groby legendarnych budowniczych, a stela nagrobna Karagöza została

umieszczona w tutejszym muzeum. Co roku odbywa się tu też międzynarodowy festiwal *karagöz*.

Karagöz i Hacivat wciąż bawią i uczą tureckie dzieci w całym kraju. Czego uczą? A to już zależy od *karagözcü*, lalkarza przygotowującego i wystawiającego sztukę. Jednym z nich jest Emin Şenyer.

Wszędzie grube tomy. Stertami zalegają na podłodze w całym mieszkaniu. Okulary, drobna postura i granicząca z wycofaniem łagodność pięćdziesięciopięciolatka sprawiają, że do twarzy mu z tymi stosami. Ale po żadną z tych lektur Emin w najbliższym czasie nie sięgnie. Ich karty służą za miejsce leżakowania dla kolorowych figurek. Na wpół przezroczyste, przypominają małe witraże wykonane z wielbłądziej lub krowiej skóry, która teraz suszy się i prostuje.

– Coraz trudniej ją dostać. Jest już tylko w jednym sklepie w Stambule i w atelier w Tokat, na północy Turcji, droga jak czort! – Emin pochyla się nad miedzianym tygielkiem. Zanim umoczy pędzel, pociągnie z niego łyk, dla smaku. W tygielku zaparzył hibiskus, służy za czerwoną farbę. Obok parują wywary z szafranu oraz z indyga. Z tych trzech kolorów Emin uzyskuje wszystkie inne barwy.

Jego ojciec był szewcem, został nim i Emin. Ale gdy w 1994 roku Turcją wstrząsnął kryzys finansowy, stracił pracę. Szukając nowej, za pomocą narzędzi do szycia butów zaczął robić kukiełki na sprzedaż. W ten sposób w jego domu na dobre zagościli bohaterowie, którzy sztywnieją teraz między kartkami książek. Leżą tak wiele tygodni, najczęściej w kawałkach. Oddzielnie korpus, oddzielnie kończyny, oddzielnie głowy. Cierpliwie czekają, aż Emin je pomaluje, a następnie pozszywa specjalnymi żyłkami, dzięki czemu będą mogły się ruszać. Do pełni szczęścia potrzeba im już tylko patyków do sterowania. Jeden wtyka się w dziurkę w korpusie, drugi w tę część ciała, która ma być najbardziej ruchoma – najczęściej głowę, czasem rękę. Choć w czasach imperium osmańskiego, kiedy teatr ten cieszył się największą popularnością, były i bardziej osobliwe rozwiązania.

W organizowanej w okolicach portów specjalnie dla żeglarzy wersji *karagöz* ruchomą częścią kukiełek był wielki penis.

– Przełóż patyki do jednej ręki. Jeden opierasz o kciuk i nadgarstek, drugi na trzech palcach, którymi operujesz – instruuje mnie Emin, patrząc, jak niezdarnie próbuję poruszać ruchomą ręką Karagöza. – To akurat podstawowy ruch, bo tą ręką Karagöz często wali Hacivata po głowie!

Trzymając patyki w jednej ręce, Emin może sterować jednocześnie dwiema kukiełkami. To ważne, bo w odróżnieniu od innych *karagözcü*, którzy często pracują w zespołach, Emin zawsze staje za sceną sam. Sam też zajmuje się oprawą muzyczną – śpiewa poetyczne utwory, *gazele*, i użycza głosu całej plejadzie bohaterów, z której prym wiedzie dwóch, dobrze wszystkim znanych.

Karagöz to niewykształcony człowiek z ludu. Wciąż wpada w tarapaty. Prostolinijny i szczery, nie wie co to takt, a co pomyśli, od razu powie. Na wszelkie trudności ma jedną odpowiedź: rozbrajający humor. Można go rozpoznać po turbanie, który często spada mu z głowy, obnażając łysinę i wywołując salwy śmiechu małoletniej publiczności.

Hacivat to wyedukowany w muzułmańskiej szkole teologicznej erudyta. Zna zasady etykiety. Kalkuluje każdy swój ruch, kierując się głównie własnym interesem. Posługuje się lirycznym językiem i obco brzmiącymi wyrazami, których Karagöz za grosz nie rozumie. Stąd też ciągłe nieporozumienia. Ironia, podwójne znaczenia, cięty język, ich dialogi przypominają odbijanie piłeczki.

Choć Eminowi trudno zliczyć kraje, w których wystawiał swoje sztuki, to pokaz, który najbardziej zapadł mu w pamięć, odbył się w Stambule. W przestrzeni galerii SALT Beyoğlu, przygotowany we współpracy z włoskim artystą Mariem Rizzim. – Nie znałem go. To on się ze mną skontaktował. Zaproponował, byśmy wystawili sztukę polityczną. O tym, co dzieje się nad Bosforem. Było o tym głośno daleko poza granicami Turcji – wspomina Emin. Nie zastanawiał się długo. Wszak w *gazeli* otwierającej większość przedstawień Hacivat informuje widzów, że to, co zaraz obejrzą, nie będzie jedynie teatrem cieni, ale lustrem wiernie

odbijającym rzeczywistość. Postawionym przed nimi po to, by wyciągnęli wnioski na przyszłość.

Do tej sztuki Emin przygotował specjalną scenografię. Z jednej strony ekranu umieścił tradycyjne niskie domki z rudymi dachówkami, z drugiej wielopiętrowe nowoczesne budynki, dopiero co oddane do użytku. Hacivat chce kupić jeden z tych lśniących nowością budynków. Karagöz próbuje go od tego pomysłu odwieść. Bo pod ich budowę najpierw wyburzono te niziutkie, a mieszkańców omamiono wcześniej obietnicami bez pokrycia i wyrzucono na bruk. A żeby nikt ich nie bronił, opinię publiczną nakarmiono bajkami o czyhających tu niebezpieczeństwach. Karagöz staje po stronie dawnych mieszkańców. Hacivat zupełnie go nie rozumie. Według niego miasto tworzą nie ludzie, a wielki kapitał.

Co z tego wynikło? Kto kogo przekonał do swoich racji? Emin tylko się uśmiecha. – Po co pytasz? Przecież znasz finał tej historii – odpowiada.

Domy ze sztuki Emina istnieją naprawdę. To Sulukule, stambulska dzielnica, przez wielu uznawana za symbol trwającej obecnie przebudowy kraju.

Nowe budynki stoją tu od dobrych kilku lat. Niskie, do czterech pięter, mają przywodzić na myśl stylistykę domów z czasów imperium osmańskiego. Nowość drewnianych paneli, którymi wykończono ściany, już się zużyła, lakier nadgryzają przebarwienia i zacieki z klimatyzacji. Na niektórych wiszą banery „na sprzedaż” i „do wynajęcia”, na innych szyldy powiązanych z rządem organizacji. Wejścia na osiedle strzegą bramy i stróżówki, ogrodzenie zwieńcza pozwijany w koła drut kolczasty. Jego zimna precyzja kontrastuje z figurkami kotków i kolorowymi wstążkami zdobiącymi przylegające do mieszkań malutkie ogródki.

Naprzeciwko historyczne bizantyjskie mury oddzielają nowe i stare Sulukule.

Stare Sulukule to kilka parterowych domków, jakby przeoczonych przez machinę miejskiej transformacji. Bieda aż piszczy, pod nogami plączą się kury. Wysepka z innego świata. Dalej kilkupiętrowe bloki. Przed nimi gwar.

Dorośli toczą na schodkach zażarte dyskusje, nastolatkowie przybijają sobie piątki, z piskiem przebiegają zgraje dzieciaków. Dziewczynki noszą mocny makijaż, torebki i obcasy, chłopcy – złote łańcuchy, czapki z daszkiem i za duże ciuchy. Od razu widać, czego słuchają. Zresztą wysprejowane jest to na ścianach bloków. Tahribad-ı İsyan i Asil Slang – krzyczą w uwielbieniu mury.

Asil ma dwadzieścia osiem lat, ale pozostało w nim coś z łobuza. Przez całą naszą rozmowę buja się na kawiarnianym krześle i co chwilę wymienia porozumiewawcze spojrzenia z młodszym od niego o rok Zen-G. Kumple ze szkolnej ławki, w której jakoś nigdy nie mogli wysiedzieć. Bo jak tu się skupić, gdy w przewieszonych przez szyję wielgaśnych słuchawkach na Asila czeka Michael Jackson, a na Zen-G'ego Eminem i 2Pac? Kiedy znajomy poznał ich z VZ, kolegą z dzielnicy, założyli we trójkę zespół Tahribad-ı İsyan, co znaczy „bunt zrodzony z destrukcji". – Aspirujący mali gangsterzy, rapujący o problemach z dziewczynami i nauczycielami – podsumowuje te początki Zen-G. Litera „G" to pamiątka po tych czasach, skrót od „Gangsta". – A potem pojawiła się Funda *abla* i wywróciła nam wszystko do góry nogami.

Abla to starsza siostra, zwrot używany nawet wobec nieznajomych, by okazać życzliwość i szacunek. *Ablą* chłopaków z Tahribad-ı İsyan została Funda Oral, która właśnie rozstała się ze swoją karierą w zarządzaniu biznesem. – Tempo, rywalizacja, wyścig szczurów. Nagle dotarło do mnie, co ja w ogóle robię ze swoim życiem. Zaczęłam szukać sensu – opowiada mi. Poszukując, zaangażowała się w obywatelską kampanię na rzecz ocalenia historycznych promów, które przeprawiają stambulczyków przez Bosfor. Władze miasta planowały wymienić je na nowe, przeszklone i nowoczesne. – Miałam wrażenie, że każda osoba, którą poznaję w czasie protestów, ma w sobie to poczucie sensu, które ja zupełnie straciłam. Zaczęłam się z nimi trzymać, coraz aktywniej działać. Tak trafiłam do Sulukule.

W tym czasie w dzielnicy odkupywano już od mieszkańców domy za kwoty tak niskie, że trudno je nawet nazwać symbolicznymi. Ale

mieszkańcy sprzedawali. Jasno powiedziano im, że jeśli się nie zgodzą, po prostu zostaną wywłaszczeni. Część do opuszczenia domów zmuszono, wykorzystując to, że nie mają aktów własności. Skąd mieliby je wziąć – bronili się. Żyli tu z dziada pradziada. Sulukule to jedno z pierwszych na świecie miejsc, gdzie wędrowni Romowie osiedlili się na stałe, jeszcze za czasów Bizancjum.

Teraz znów mieli rozpocząć tułaczkę. Obiecane im nowoczesne budynki na nich czekały, ale na dalekich przedmieściach, w Taşoluk. Nie było tam nic poza autostradą, żadnych sklepów, szkół, transportu publicznego. Jak mieli znaleźć tam bazary i klientów obwoźnej sprzedaży, którą się trudnili? Jak zapłacić wysoki czynsz? Mieszkańcy Sulukule zrozumieli, że stracili wszystko.

– Diamenty! To była moja pierwsza myśl, gdy przyjechałam do Sulukule. Tamtejsze dzieciaki sprawiły, że oniemiałam, nie widziałam jeszcze takich talentów muzycznych. Większość nie chodziła do szkoły, pomagała rodzicom w pracy. W tej dzielnicy dorosłość wkracza w życie wcześnie i często brutalnie. – Funda poczuła, że nie może ich tak zostawić. Przy współpracy z kilkoma uniwersytetami założyła w Sulukule muzyczne atelier. Na dziewięciu metrach kwadratowych zgromadzono całe mnóstwo profesjonalnych instrumentów, a akademicy zaczęli udzielać lekcji i prowadzić rozmaite warsztaty, jednocześnie scalając rozpadającą się wspólnotę i jej kulturę.

Tahribad-ı İsyan przychodzili do atelier pracować nad swoimi piosenkami, ale czasem zostawali i dłużej, na angielskim czy korkach z matmy. Plan zajęć rozszerzono ze względu na skalę potrzeb niewidzialnej dla państwa społeczności.

– To dzięki Fundzie *abli* zrozumieliśmy, że nie chodzi o przebudowę miasta, ale o wyczyszczenie go z brudu, za jaki nas uważają – mówi Zen-G. Jego pogląd uznałabym za radykalny, gdyby nie to, że specjaliści od *kentsel dönüşüm*, przebudowy Turcji, od lat mówią wprost, że działania tureckich władz przypominają czystki etniczne. Bo *kentsel dönüşüm* najczęściej zaczyna się w dzielnicach zdominowanych przez mniejszości.

W sąsiadującej z Taksimem dzielnicy Tarlabaşı żyli głównie Kurdowie, Romowie, Afrykanie, transseksualiści. Jak alarmowała Amnesty International, wielu z nich po powrocie z pracy po prostu znalazło swoje rzeczy na ulicy.

O tym wszystkim zaczęli rapować Tahribad-ı İsyan.

– Chłopaki współpracowali ze sobą w absolutnej harmonii. To było niezwykłe, bo w romskiej kulturze każdy chce się wyróżnić, być solo w świetle reflektorów. Zauważyłam, że w hip-hopie liczy się coś zupełnie innego. Zaczęłam zapraszać do atelier raperów. I tak Tahribad-ı İsyan dostali zaproszenie do Londynu na Breakin' Convention. – Śnieżnobiały uśmiech nie schodzi z twarzy Fundy.

Festiwal będący marzeniem każdego hip-hopowca okazał się punktem zwrotnym.

– Dla nas i dla naszych rodzin – podkreśla Zen-G. – Moja matka kocha muzykę. Kiedy zmywa naczynia, śpiewa tak pięknie, że gdy kończy, sąsiedzi walą w ściany, by śpiewała dalej. Ale hip-hopu zrozumieć nie umiała. A ojciec… – Zen-G ledwo hamuje śmiech. – Jednego dnia miał mnie odebrać ze szkoły. Miałem wtedy na sobie płaszcz XXL, na płaszcz zarzuconą jeszcze większą bluzę z kapturem, na głowie bandanę, a w uchu kolczyk. Jak ojciec mnie zobaczył, odwrócił się na pięcie i poszedł. No to ja za nim, krzyczę: „Tato, stój!”. A on do mnie: „Nawet za mną nie idź, kiedy tak wyglądasz”. Hip-hop zaakceptowali dopiero, gdy dostaliśmy zaproszenie do Londynu.

W oczach dzieciaków z Sulukule Tahribad-ı İsyan szybko urośli do rangi gwiazd. I sami zaczęli dawać lekcje w atelier. Jak pisać, by teksty komentowały rzeczywistość. Jak to ma wybrzmieć, by przeszyło na wskroś.

– Hip-hop miał w tym drugorzędne znaczenie. To tylko środek do tego, by przekazać im, jak zachować godność i charakter – podkreśla Asil.

Tyle że ten ich hip-hop o drugorzędnym znaczeniu zaczął nieść się po sieci.

Zaczęło się od *Ghetto Machines*. W teledysku występują na tle Sulukule, zarówno tego wyburzanego, odchodzącego w zapomnienie, jak i tego

nowego, dopiero wznoszonego. Kolejny był *Wonderland*. Tu też jest Sulukule, tym razem z lotu ptaka. „Dzisiaj Sulukule, jutro Balat, Okmeydanı, Tarlabaşı, park Gezi” – padają nazwy kolejnych stambulskich dzielnic. „*Kentsel dönüşüm* to upadek tego miasta” – rapują, stojąc na historycznych murach.

Ten klip wyświetlono na stambulskim Biennale. Wyróżnienie tak duże, że przyniosło im kontrakt na płytę. Chyba dopiero po jej wydaniu w pełni zdali sobie sprawę z tego, jak wiele osób utożsamia się z ich tekstami. Promujący ją kawałek *Suç mu? – Czy to zbrodnia?* – trzy lata od premiery ma na YouTubie ponad trzy miliony wyświetleń.

W nowych klipach nie ma już VZ. Odszedł z Tahribad-ı İsyan. – To była nasza wspólna decyzja. Nikt do nikogo nie żywi urazy – ucinają moje pytania Asil i Zen-G. Za to jedno chcą podkreślić niepytani. Że artystów zrobiło z nich dopiero Gezi.

– Zagraliśmy w parku dwa koncerty. Wtedy po raz pierwszy powiedzieliśmy to, co powinniśmy wykrzyczeć, jak tylko zaczęli majstrować przy naszej dzielnicy. – Asil poważnieje. Na potwierdzenie jego słów Zen-G pokazuje wytatuowaną na ręce maskę gazową. Kolorowy tatuaż rozbudowywał dwa lata. Sięga mu od dłoni aż do ramienia. – Moja historia. *Tuval gibi*, jak na płótnie. Historyczna wieża Galata. Brukowana droga, po której w stronę tej tutaj dzielnicy jedzie buldożer. Tu druty kolczaste, z których wyrastają trzy róże. A nad wszystkim górują te nowe, gówniane budynki.

Pytam ich, czy nie boją się, że mogą mieć takie nieprzyjemności jak Ezhel, raper zatrzymany pod zarzutem propagowania w swoich piosenkach używek. Ostatecznie został uniewinniony, ale swoje przeszedł. Tureccy artyści odebrali to jako ostrzeżenie. A przecież *kentsel dönüşüm* to lód jeszcze cieńszy niż kawałki o trawce. – W hip-hopie twórczość i aktywizm idą ramię w ramię, równiutko. Hip-hop to twoi ludzie, twoja społeczność. Zawsze będziemy jej głosem – mówi z powagą Asil.

Rok po naszej rozmowie Tahribad-ı İsyan udowadniają, że nie rzucali słów na wiatr.

We wrześniu 2019 roku Turcja oszalała. „Słyszałaś *Susamam*?” – w dniu premiery piosenki dostaję chyba dziesięć wiadomości tej treści. Blisko piętnastominutowy kawałek o znamiennym tytule *Nie mogę milczeć* to rezultat współpracy osiemnastu artystów. Mocnym bitem wylewa się z mieszkań i zza uchylonych szyb samochodów, a na YouTubie dobija do czterdziestu milionów wyświetleń. Czołowi politycy dostają piany na ustach i wściekle komentują go przed kamerami, a do domów kilku raperów wchodzi policja. Jeszcze raz spotykam się z chłopakami z Tahribad-ı İsyan.

– Zwykle kiedy przychodzi propozycja współpracy nad wspólną produkcją, najpierw zadajesz pytanie, kto jeszcze bierze w tym udział. Tym razem nawet nie zapytaliśmy, od razu powiedzieliśmy, że w to wchodzimy, a na warsztat bierzemy Stambuł – mówi Zen-G.

Artyści sami mieli zaproponować, o którym z problemów Turcji chcą opowiedzieć. *Susamam* jest ich wstrząsającą zbitką – od zanieczyszczenia środowiska, przez przemoc wobec kobiet, po upadek demokracji i początek faszyzmu – a zarazem wezwaniem do działania. Swój fragment klipu Tahribad-ı İsyan nakręcili w Sulukule.

Slang wciąż mieszka w starym Sulukule, przy ulicy zdającej się znajdować w bezpiecznej odległości od nowego osiedla, choć bezpieczeństwo jest w tym kontekście pojęciem umownym. Zen-G wielokrotnie się już przeprowadzał, ale do Sulukule często przyjeżdża. Razem z Asilem wciąż prowadzą warsztaty dla tutejszych dzieciaków, obaj aktywnie działają też w tych stambulskich dzielnicach, które niedługo podzielą los ich własnej, na przykład w Tarlabaşı.

Z całej ekipy uczęszczającej do atelier Fundy tylko oni zrobili karierę. – To dlatego, że tylko od nas rodzice nie oczekiwali z tego pieniędzy. Inne dzieciaki uczyły się grać na skrzypcach czy innych instrumentach, żeby potem zarabiać na nich na ulicy. My mogliśmy robić to z miłości. – Zen-G wydaje się trochę speszony swoim wyznaniem. Ani w nim, ani w Asilu

nie ma cienia gwiazdorstwa, które przy takiej popularności wydawałoby się nie do uniknięcia.

Atelier Fundy już nie istnieje. Wraz z wyburzeniem kolejnych domów przeprowadzało się z budynku do budynku, ale ostatecznie padło pod naporem *kentsel dönüşüm*.

Mieszkańcy wyburzonej części starego Sulukule przenieśli się na jego obrzeża, często mieszkając kątem u krewnych i przyjaciół, reszta rozpierzchła się po mieście, z wieloma urwał się kontakt. Gdzieniegdzie zostały po nich kolorowe karuzele na kółkach. Zawieszone na długich łańcuchach krzesełka jeszcze niedawno wynosiły dzieciaki pod samo niebo. „Któreś nie ma butów, któreś ma złotą bransoletkę. Dzieci Stambułu, zupełnie jak tęcza” – śpiewał o tutejszych mniejszościach etnicznych, religijnych i wszelakich zespół Baba Zula. Dziś karuzele stoją zaparkowane przy śmietnikach, łańcuchy od krzesełek mają pozwijane w żelazne supły. Pewnie niedługo zostaną wywiezione.

W nowym Sulukule żyją dziś głównie Arabowie, nieznający historii dzielnicy. Turcy mieszkanie w budynkach wybudowanych na ludzkiej krzywdzie traktują jak piętno.

*

Nagły wstrząs wytrąca z równowagi jak cios niewidzialnej pięści. Dwie, trzy sekundy i znów, cios za ciosem, człowiek w zamroczeniu rzuca się do ucieczki. Biegnie na oślep, przewraca, gdy kolejne wstrząsy usuwają ziemię spod nóg. Budynki pękają i padają z hukiem zagłuszającym krzyki przerażenia. Czterdzieści pięć sekund walącego się świata. A potem już tylko pył. Spowija wszystko gęstą, szarą ciszą. Jak cierpki knebel przemocą wetknięty w usta, wdziera się coraz głębiej, w przełyk i płuca, blokuje nos, zamyka piekące powieki. Zanim opadnie i ukaże rozmiar zniszczeń, unosi się nad gruzem, jakby chciał dać umysłowi chwilę na zrozumienie, co w ogóle się stało.

17 sierpnia 1999 roku o godzinie 3.02 nad ranem mieszkańców regionu Marmara ze snu wyrwały wstrząsy o magnitudzie 7,5. Oficjalne statystyki: 17 480 zabitych (nieoficjalnie nawet 45 tysięcy), 23 780 rannych (nieoficjalnie – znów 45 tysięcy), 600 tysięcy bez dachu nad głową. W największej rozpaczy pogrąża się Izmit, miasto położone około 100 kilometrów na wschód od Stambułu.

To nie koniec.

12 listopada 1999 roku, godzina 18.57, magnituda 7,2, 30 sekund. Bilans ofiar: 845 zabitych, 4 948 rannych. Tym razem epicentrum jest w Düzce, 220 kilometrów na wschód od Stambułu.

Te tragiczne wydarzenia utorowały drogę *kentsel dönüşüm*, wielkiemu planowi przebudowy i rewitalizacji, w ramach którego nieodporne na wstrząsy budynki w całym kraju mają zostać wzmocnione. W praktyce oznacza to wyburzenie i budowanie od nowa. Trzysta tysięcy bezpiecznych budynków rocznie – to cel minimum ministerstwa środowiska i urbanizacji. Szacuje się, że w samym tylko Stambule taki los może spotkać aż trzy czwarte budynków. Wszystko po to, by oszukać przeznaczenie.

Profesor Ziyadin Çakır wkłada pięść pod biurko i wali w blat od dołu. – Pierwszy wstrząs. Od niego będziemy mieć zapewne od trzech do pięciu sekund. Co zdążymy zrobić w tym czasie? Teraz profesor Çakır niemal cały chowa się pod biurkiem w swoim gabinecie na wydziale geologii Stambulskiego Uniwersytetu Technicznego. – Będziemy mieli szczęście, jeśli zdążymy wbiec pod biurka. To najbezpieczniejsza opcja. Najgorszą jest ucieczka z budynku. W zeszłym tygodniu wybrali ją wszyscy nasi studenci, a nawet i profesorowie. Wiedza wiedzą, ale zadziałał instynkt.

Spotykamy się na początku października 2019 roku, nieco ponad tydzień po trzęsieniu ziemi o magnitudzie 5,8, które nawiedziło Stambuł. Naszą rozmowę profesorowi Çakırowi co chwilę przerywają telefony. Wszyscy dzwonią, by zapytać czy to już *kader*, przeznaczenie, przepowiadany kataklizm. Profesor niby uspokaja, ale bardziej jednak przygotowuje: – To trzęsienie, na które czekamy, wydarzy się niedługo. Kiedy? Może jutro, może za dwadzieścia lat. W istocie jest już bardzo spóźnione.

Wszystko przez uskok północnoanatolijski, geologiczną granicę między dwiema płytami tektonicznymi. Ciągnie się przez całą północną Turcję, przez półtora tysiąca kilometrów. Zachodni fragment przebiega zaledwie dwadzieścia kilometrów od Stambułu i średnio co dwieście pięćdziesiąt lat urządza miastu okrutne spektakle. Ostatnio w 1509 i 1766 roku. Czas na kolejny. Profesor Çakır szacuje, że jeśli trzęsienie osiągnie siłę 7,4 stopnia, zginie co najmniej sto tysięcy osób. Inni eksperci podają liczby jeszcze wyższe. Co do jednego nie mają wątpliwości: to nie kwestia „czy", ale „kiedy".

Po ostatnim trzęsieniu ziemi stambulczycy bez reszty poddali się panice. Obawiając się, że to zapowiedź oczekiwanego potężnego trzęsienia, wielu zdecydowało się spędzić noc w tak zwanych *afet toplanma alanı*, miejscach zgromadzeń w razie katastrof. To otwarte przestrzenie, gwarancja, że człowieka nie zmiażdżą walące się ściany budynków. Niektórzy, kiedy zorientowali się, ile czasu potrzebują, by dobiec do najbliższego z nich, wpadli w jeszcze większy popłoch. Według opublikowanego w 2019 roku raportu partii CHP w mieście zabudowano już czterysta szesnaście z czterystu dziewięćdziesięciu trzech miejsc zgromadzeń w razie katastrof, głównie centrami handlowymi, rzadziej apartamentowcami. Dane te potwierdza stambulski oddział Izby Inżynierów Budowlanych. Ale urząd do spraw katastrof i zarządzania kryzysowego (AFAD) zapiera się, że w mieście wciąż jest takich miejsc blisko dwa i pół tysiąca. Na ich listę wpisano nawet podwórka meczetów, place zabaw oraz stacje benzynowe.

Co do jednego sporów nie ma: Stambuł nie jest przygotowany na trzęsienie ziemi. To konsekwencja kilku dekad błędów i zaniedbań, począwszy od lat pięćdziesiątych, okresu mechanizacji rolnictwa i industrializacji Turcji, kiedy nad Bosfor w poszukiwaniu pracy napływały rzesze migrantów, głównie z anatolijskich wsi. Na obrzeżach miasta zaczęły wtedy wyrastać slumsy, zazwyczaj jednopiętrowe domy, budowane bez pozwoleń i na szybko. Władze przymykały na to oko, a jeśli dom wzniesiono w ciągu jednej nocy, nie mogły go zburzyć. Stąd też ich nazwa – *gecekondu*, „zbudowane nocą". Budynków z roku na rok

przybywało, a po latach mieszkańcy dobudowywali do nich kolejne piętra. Politycy dostrzegli w tym potencjał. Tuż przed wyborami do kolejnych *gecekondu* doprowadzali prąd i wodę, licząc na głosy. Jak szacuje Murat Gül, profesor architektury ze Stambulskiego Uniwersytetu Technicznego, o ile liczba wybudowanych w ten sposób budynków w 1950 roku sięgała około ośmiu tysięcy, to w połowie lat osiemdziesiątych było to już pół miliona.

Według podobnych schematów firmy budowlane wznosiły dzielnice kilkupiętowych bloków. Zupełnie legalnie, choć często legalność zapewniały łapówki. Ekipy budowlane tworzono z niewykwalifikowanych pracowników sezonowych. Każdy otrzymywał szybkie przeszkolenie w jednej czynności – jeden mieszał cement, inny kładł cegły, trzeci tynk. Budynki rosły w oczach. Często stosowano materiały kiepskiej jakości, beton mieszano z pełnym muszli piaskiem z plaż, nie przykładano wagi do solidnych fundamentów i pomijano kosztowne metody gwarantujące trwałość i bezpieczeństwo budynków. Na domiar złego budowano gdzie popadnie, bez analizy gruntu, który niekiedy pod budowę zwyczajnie się nie nadawał. Architektów i inżynierów na place budowy zapraszano co najwyżej sporadycznie.

Dziś zwiastunem zmian jest blacha falista. Błyszcząca albo matowa, szczelnie odgradza place budowy od ciekawskich oczu. Pojawiła się, gdy tylko AKP doszła do władzy. Nowy rząd postawił na gospodarkę, uznając, że nic nie napędzi jej tak, jak sektor budowlany. Uruchomiono wszelkie możliwe mechanizmy, by go pobudzić. Ryzyko trzęsienia ziemi potraktowano jak dar od niebios.

Mechanizm jest prosty. Dany teren zostaje uznany za zagrożony katastrofą. Termin ten nie został jednoznacznie zdefiniowany, więc można nim objąć absolutnie wszystko. Właściciele dostają ofertę sprzedaży swoich domów bądź mieszkań firmie realizującej całe przedsięwzięcie. Nie do odrzucenia, bo jeśli się nie zgodzą, są wywłaszczani. Za odszkodowaniem, ale dużo niższym niż cena rynkowa mieszkania i wypłacanym w sposób utrudniający kupno nowego lokum – jedna szósta bezzwłocznie, reszta

w ratach rozłożonych na pięć lat. Wyburzone mogą zostać nawet budynki postawione niedawno, zgodnie z technologiami zapewniającymi bezpieczeństwo (ma to służyć zapewnieniu „integralności projektu”), bądź budynki o wielkiej wartości historycznej, jak dziewiętnastowieczne kamienice w Tarlabaşı.

Jeśli zaś chodzi o budynki mogące stanowić rzeczywiste zagrożenie, niedługo przed wyborami w 2018 roku rząd umożliwił legalizację części z nich. Najważniejszymi warunkami skorzystania z ogłoszonej wówczas amnestii było wniesienie opłaty rejestracyjnej oraz zapłacenie podatków. Eksperci ostrzegali, że takie rozwiązanie problemu ludzie przypłacą życiem. Nie trzeba było nawet trzęsienia ziemi, by okazało się, że mają rację. W lutym 2019 roku w stambulskiej dzielnicy Kartal zawalił się siedmiopiętrowy blok, tuż po zalegalizowaniu jego trzech bezprawnie dobudowanych pięter. Zginęło dwadzieścia jeden osób.

*

Wszystko lśni. Makieta osiedla, reklamujące ją foldery i oczy Aslana, który oprowadza mnie po Avrasya Konutları, Euroazjatyckich Domach, jednym z zamkniętych osiedli w stambulskiej dzielnicy Gaziosmanpaşa.

– Parking naziemny, podziemny, centrum handlowe, restauracja, kawiarnia, dwa baseny, siłownia, sauna, dwa centra fitness, mnóstwo kamer wewnątrz i na zewnątrz kompleksu – zachwala. Deweloper, dla którego pracuje, klientów wyłapuje już na lotnisku, prosi tylko o numer telefonu i adres, pod który ma wysłać kierowcę. Jeśli tylko chcą, w jeden dzień obwiezie nawet po czterdziestu podobnych projektach. – Protesty? Kontrowersje? Kto ci naopowiadał takich rzeczy?! – Aslan śmieje się tak, że aż musi się zaprzeć o balustradę. – Powiedz lepiej, czy zamierzasz rzeczywiście tu mieszkać, czy jak inni będziesz przyjeżdżać tylko na dwa miesiące w roku?

Kiedy opowiadam o tym spotkaniu Korkmazowi, ten momentalnie posępnieje. Upewnia się, że nie podam jego nazwiska. I tak jest już na

świeczniku. Koordynuje pozwy mieszkańców Gaziosmanpaşa przeciwko władzom.

– Decyzję o planach wyburzenia naszych domów opublikowano w *Resmi Gazete*, dzienniku ustaw. To jedyny sposób, w jaki nas poinformowano. Nikt się nie zorientował, a na odwołanie się od decyzji przysługuje tylko miesiąc od publikacji – opowiada. Sam dowiedział się przypadkiem, trzy miesiące później. Postanowił zawalczyć w sądzie. – Zbyt wiele osób rezygnuje. Po puczu z walki o swoje domy wycofali się wyborcy AKP. W obliczu groźby obalenia rządu uznali, że wspieranie go jest ich obowiązkiem. Kwestionowanie jakiejkolwiek rządowej decyzji urosło do rangi zdrady. Najbardziej korzystają na tym bogacze z państw Zatoki. – Na szyi Korkmaza widać niespokojny puls.

Rzeczywiście, Arabowie chętnie inwestują w budowane nad Bosforem rezydencje. Zachęcają ich do tego same tureckie władze. W poszukiwaniu remedium na spadek lokalnego popytu poluzowały prawo regulujące zakup nieruchomości przez obcokrajowców. Zniosły warunek wzajemności (uprawniał do zakupu jedynie przedstawicieli tych państw, które pozwalają Turkom nabywać posiadłości na swoim terytorium), a do nieruchomości o wartości powyżej dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów dorzuciły tureckie obywatelstwo.

– Dla nich to wakacyjne rezydencje, na miesiąc, dwa w roku. Nowy Stambuł będzie zabawką bogaczy. Dla obecnych mieszkańców pozostaną co najwyżej peryferie – kwituje z goryczą Korkmaz.

Tuż obok Euroazjatyckich Domów kilka lat wcześniej z jeszcze większym rozmachem wybudowano Avrupa Konutları, Europejskie Domy. Trzydzieści sześć bloków, każdy po piętnaście pięter. – Są tu nawet boiska do koszykówki, siatkówki, squasha i korty tenisowe. Wszystko za ogrodzeniem, bramy otwiera się specjalną kartą. Możesz tam spędzić życie bez żadnego kontaktu ze światem zewnętrznym. Nawet prywatny bus dla mieszkańców zatrzymuje się wewnątrz kompleksu. – Architektka Sinem Boyacı zna Europejskie Domy od podszewki. Jej rodzice kupili tam

mieszkanie, a ona zamieszkała tam z nimi. Chwilowo, na czas wykrystalizowania się życiowych planów.

Zamknięte blokowiska zaczęły powstawać w Turcji w latach osiemdziesiątych, ale dopiero za rządów AKP stały się wszechobecne. Sinem przezywa je TOKİ-landami. Tablice z napisem TOKİ trudno w Turcji przeoczyć. Widnieją przy inwestycjach powstałych, powstających i tych, które dopiero powstaną. TOKİ to utworzona w latach osiemdziesiątych agencja budownictwa socjalnego. W 2004 roku, niespełna rok po objęciu władzy, Erdoğan uczynił ją bezpośrednio podległą urzędowi premiera i dał jej szerokie uprawnienia. Dziś to potęga, która zmienia krajobraz Turcji nie do poznania.

Sinem dobrze pamięta, co się działo, kiedy zlikwidowano prywatny bus zatrzymujący się wewnątrz kompleksu Europejskich Domów i zastąpiono dodatkową linią transportu publicznego. Na mieszkańców padł blady strach. Przystanek był teraz po drugiej stronie bramy. Na zewnątrz. Jeśli chcieliby skorzystać z autobusu, musieliby dzielić go z sąsiadami. – Głównie ubogimi Kurdami, którzy długimi latami nie mogli doprosić się regularnego transportu publicznego. A tu nagle tym z Europejskich Domów podstawia się pod nos autobusy. Tak na wszelki wypadek, bo przecież i tak wszyscy jeżdżą samochodami. Nie zdążą pomyśleć o tym, czego im potrzeba, już to mają. Coś wtedy pękło, wylała się frustracja, poczucie niesprawiedliwości, może nienawiść? W ruch poszły kamienie – wspomina Sinem.

Może właśnie dlatego Sinem obecnie zajmuje się projektowaniem domów, które mają łączyć, a nie dzielić. Ich założenie jest proste, ale rewolucyjne: a gdyby tak zamiast zamykać Turków w idealnych rezydencjach, z góry projektując i zaspokajając ich potrzeby, pozwolić im najpierw opowiedzieć, jak chcieliby mieszkać? Razem ze swoimi kolegami po fachu Sinem przeprowadziła konsultacje z mieszkańcami sześćdziesięciotysięcznego Düzce. Czego by sobie życzyli? Okazuje się, że czegoś zupełnie innego, niż spodziewaliby się rządzący.

Po pierwsze, przestrzeni do wspólnego prania dywanów. Zaskakujące? Sąsiedzi szorujący razem rozłożone na chodniku dywany to nie tak rzadki widok w tureckich wsiach i miasteczkach. To szorowanie to zresztą jakby czynność poboczna, pretekst do rozmów i plotek. Ach, gdyby mieć do tego specjalne miejsce!

Po drugie, poprosili o wspólny dla całego osiedla ogród. Taki, w którym mogliby razem uprawiać warzywa. Na tyle duży, by starczyło ich dla wszystkich i jeszcze zostało na sprzedaż na pobliskim bazarze.

Po trzecie, dwa balkony. Niech będą nawet i malutkie, byle dwa. Jeden niejako publiczny, do pogawędek z sąsiadami i doglądania dzieci na podwórku. Drugi bardziej prywatny, najlepiej od strony sypialni, do wywieszania prania.

I najważniejsze: żeby bloki miały nie więcej niż trzy, maksymalnie cztery piętra. W takich można żyć bez strachu. Albo chociaż ze strachem znośnym, oswojonym. W wyższych budynkach strach przejmuje kontrolę. Nagania do domu i głowy dawne traumy. Te najczarniejsze, z czasu kiedy trzęsienie ziemi w 1999 roku na swoje epicentrum wybrało Düzce. Budynki złożyły się wtedy jak domki z kart, a rozsypana talia gruzu wielu odebrała bliskich i dorobek życia. Oraz nadzieję, która długo ociągała się z powrotem do Düzce.

Niektórzy z poszkodowanych na lata zamieszkali w dostarczonych przez rząd namiotach i kontenerach. O ile właściciele nieruchomości musieli zacisnąć zęby do czasu, aż państwo odbuduje ich domy, o tyle najemcy mogli czekać w nieskończoność. Przez cztery lata próbowali wymusić pomoc, demonstrując na wszelkie możliwe sposoby. Zorganizowali nawet dwustuczterdziestokilometrowy przemarsz sześciuset pięćdziesięciu osób do Ankary, po którym przez sto siedemdziesiąt sześć dni okupowali tamtejszy park. Ale kiedy i to nie przyniosło rezultatów, chwycili się ostatniej deski ratunku. W 2003 roku założyli kooperatywę.

Sinem wyjaśnia, że chcieli skorzystać z istniejącego wówczas prawa, pozwalającego zrzeszonym w kooperatywie najemcom na uzyskanie ziemi pod budowę nieruchomości. Rząd nie chciał na to przystać, więc sprawa

trafiła do sądu. Batalia trwała blisko dekadę. Zakończyła się zwycięstwem kooperatywy. Ale w wyroku był haczyk. Kooperatywa dostała rok na rozpoczęcie prac budowlanych i dwa lata na wylewkę fundamentów. Dla jej członków budowlanka była czarną magią, więc wystosowali apel o pomoc do profesjonalistów. Napłynęły dziesiątki odpowiedzi. Architekci, planiści, prawnicy i inni specjaliści bezpłatnie oferowali swoje wsparcie. Pomogli pozyskać zniżki na produkty budowlane i zagraniczne granty. Korzystali też z rad podobnych kooperatyw, które wcześniej przetarły im szlaki (między innymi w wioskach Aksu, Hacısüleymanbey i Çay, które wspólnie, własnym wysiłkiem odbudowały po trzęsieniu ziemi pięćdziesiąt siedem domów). Członkowie kooperatywy musieli pobrać kredyty na dokończenie budowy, ale koniec końców w Düzce stanęło dwadzieścia dziewięć niskich bloków, nazwanych Umut Evleri, Domami Nadziei.

Ich mieszkańcy dobrze wiedzą, że w Domach Nadziei więcej jest utopijnego szaleństwa niż realnej alternatywy dla obecnego modelu przebudowy Turcji. Ale i tak nie zamieniliby swoich wspólnie pranych dywanów na prywatne autobusy, korty tenisowe ani baseny.

*

Najwięcej wsparcia dla budowy Domów Nadziei przyszło od stowarzyszenia 1 Umut, Jedna Nadzieja. Jego członkowie uważają, że legenda o Karagözie i Hacivacie rozgrywa się właśnie od nowa.

Członkowie 1 Umut zbierają się w każdą pierwszą niedzielę miesiąca przed stambulskim liceum Galatasaray, najstarszą i zarazem najbardziej prestiżową szkołą średnią w Turcji, umiejscowioną przy alei İstiklal. Nazywają to czuwaniem, *nöbet*. Rozkładają transparenty i zdjęcia. Wydrukowane w dużym formacie, wszystkie w czarnych ramach. Pod każdym imię i nazwisko, wiek oraz miejsce wypadku. Dostawiają małe plastikowe stołeczki oraz głośnik. Część osób siada, część staje za nimi. Włączają mikrofon i zaczynają mówić.

Gdy przemawia, İdris Çabuk cały się zapala. Słowa padają szybko, są twarde i ostre jak kamienie. Jest w nich gniew, siła, jest gotowość do walki. Hacer Erdem kurczowo trzyma się wtedy stołeczka, na którym siedzi. Wciska w niego palce tak mocno, że aż sinieją. Zaciska usta i z widocznym trudem przełyka ślinę. Zupełnie jakby łykała ból, który stanął jej w gardle lata temu i ugrzązł na dobre. Nigdy jeszcze nie pozwolił jej powiedzieć na *nöbet* ani słowa. Odkąd w 2012 roku do nich dołączyła, nie opuściła ani jednego.

Wszystko zaczęło się w styczniu 2008 roku. W fabryce fajerwerków w stambulskiej okolicy Davutpaşa dochodzi do wybuchu. Ginie dwudziestu jeden pracowników, wśród nich żona İdrisa, stu trzydziestu zostaje rannych. Wychodzi na jaw, że fabryka nie miała licencji, nie spełniała żadnych norm. Nie miała nawet prawa istnieć. Miesiąc później İdris odebrał telefon. Prawnicy dzwonili do rodzin ofiar poinformować, że mają prawo domagać się ukarania osób winnych nieprawidłowości, które doprowadziły do tragedii. Zabrzmiało to trochę jak żart. Wszyscy dobrze wiedzieli, że Temida odwraca się od tego typu spraw, zwłaszcza jeśli część winy leży po stronie władz.

– Podobne wypadki znikały w ciszy. Próby ich wyjaśnienia, jeśli w ogóle do nich dochodziło, były fasadowe. Rodziny ofiar nawet nie śledziły procesów. Po co, skoro wiadomo, jak się zakończą? Mimo wszystko postanowiliśmy się spotkać. – İdris zaczesuje za uszy przerzedzone już półdługie włosy.

Zbierali się co tydzień na Taksimie. Tam z uporem głośno i jasno komunikowali: nie zaakceptujemy ekspertyz stwierdzających, że nie ma podstaw do wszczęcia postępowania karnego. Ani tego, że winni zasłaniają się immunitetem. Sprawa ma zostać wyjaśniona.

Dopiero po trzydziestu pięciu tygodniach zapadła decyzja: będzie proces. Od tego momentu zaczęli zbierać się rzadziej, raz w miesiącu. Wspólnie łatwiej śledzić przebieg sprawy, reagować, jakoś się trzymać. Do *nöbet* dołączały kolejne rodziny. Między innymi Hacer, której ból po stracie córki do dziś odbiera mowę.

Co roku doliczają się około dwóch tysięcy śmiertelnych wypadków w miejscach pracy. Do większości dochodzi na stambulskich budowach. W statystykach nie ma tych, którym życie odebrały choroby zawodowe spowodowane warunkami pracy. Jeśliby je uwzględnić, to według szacunków Światowej Organizacji Zdrowia liczbę tę należałoby pomnożyć nawet sześć razy. Ale na choroby zawodowe oficjalnie w Turcji nie umiera nikt.

Szczegóły wypadków publikują co roku w *Almanachu morderstw w miejscach pracy*. Tytuł nieprzypadkowy. Według nich to nie wypadki, lecz składanie ofiar na ołtarzu Nowej Turcji.

Większości tragedii można było uniknąć. Nieprawidłowości widniały w raportach, kłuły w oczy i uszy, gdy pracownicy zgłaszali je pracodawcom. Bywało, że wielokrotnie, jak w przypadku problemu z windą na budowie wieżowców Torun Center w stambulskiej dzielnicy Mecidiyeköy. Robotnicy twierdzą, że w ciągu dwóch lat budowy winda spadała co najmniej sto razy. Zazwyczaj z niskich wysokości, więc nikt nie odnosił poważniejszych obrażeń.

Naprawy i procedury bezpieczeństwa to czas, czas to pieniądz, a czasu brakuje, bo Nowa Turcja ma rosnąć w oczach. We wrześniu 2014 roku szwankująca winda na pnącym się w górę Torun Center spadła po raz kolejny, tym razem z trzydziestego czwartego piętra. Dziesięciu robotników zginęło na miejscu. Sąd zadecydował, że nie ma potrzeby stawiania komukolwiek zarzutów.

Rodziny ofiar z rozpaczą niosą apelacje przez coraz to wyższe instancje, a czterdziestodwupiętrowe Torun Center widoczne jest nawet z odległych dzielnic miasta. Jego elewację zdobi czerwona pionowa linia, jakby wytyczała ostatnią drogę dziesięciu robotników.

Członkowie stowarzyszenia każdy dzień rozpoczynają od wertowania gazet. – Są najczęściej na trzeciej stronie. Krótkie, podawane w tabloidowy, sensacyjno-makabryczny sposób. Wzmianki o podobnych wypadkach. Zbieramy je, weryfikujemy, docieramy do rodzin ofiar. Mrówcza robota – mówi Eylem Can z 1 Umut.

Tak powstaje *Almanach*. Dostępny jest w księgarniach w największych miastach Turcji. Niektóre z publikowanych w nim historii to zaledwie hasło: imię, nazwisko, wiek i krótka adnotacja o okolicznościach śmierci. Bywa, że nie udaje się zebrać nawet tak podstawowych danych. Przy nazwisku bądź wieku danej osoby staje znak zapytania.

Braki są też widoczną częścią *nöbet*. Na niektórych z rozłożonych na ziemi portretach zamiast podobizny widnieje czerwony goździk. Część rodzin po prostu nie posiada fotografii osoby, która zginęła. Na aparaty nie było ich stać, komórki mieli stare, nie dało się nimi zrobić zdjęcia.

W dzieleniu się historiami to nie brak zdjęć przeszkadza im najbardziej. Uczestnicy *nöbet* mają fizycznie utrudniony dostęp do tych, którzy chcieliby ich posłuchać. Co miesiąc czekają na nich policyjne barierki, wyznaczające niewielki teren, na którym mogą zorganizować swoje czuwanie. Czekają też policjanci. Ci w cywilu są chyba liczniejsi od tych w mundurach. Stają za barierkami od strony wiecznie zatłoczonej alei İstiklal, tworząc w ten sposób ludzki mur, ścianę numer jeden, która wszystko zasłania. Zaciekawieni przechodnie z trudem znajdują miejsce, by przystanąć i zobaczyć, co się dzieje. Stają na palcach, wyciągają szyje. Na zaspokojenie swojej ciekawości mają najwyżej kilkanaście sekund. Potem ściana numer jeden odwraca się w ich stronę i pokazuje „iść dalej, iść”.

Ci, którzy chcą posłuchać o wypadkach i procesach, muszą wejść na ogrodzony teren. Kilku policjantów, gotowych przeszukać potencjalnych chętnych, tworzy bramę. Kontrola przebiega sprawnie, ale rzadko. Wchodzi tylko garstka dziennikarzy i dwóch policjantów w cywilu. Łatwo ich rozpoznać, na dłonie wsunięte mają niewielkie kamery. Wyraźnie znudzeni, filmują wszystko i wszystkich.

Więcej chętnych nie ma. Nic dziwnego. Kiedy wchodzi się do środka, na barki wsiada ciężkie, niepokojące poczucie uwięzienia w metalowej klatce. Ciasnej i zamkniętej, bo z tyłu stoi ściana numer dwa – dokładnie za plecami słuchaczy ustawiono gotową do uruchomienia armatkę wodną, a za nią kilka autokarów, które przywiozły na miejsce siły szybkiego reagowania. Ich funkcjonariusze to ściana numer trzy – w pełnym

uzbrojeniu, w kaskach, z karabinami i przewieszonymi przez paski maskami gazowymi oraz pałkami. Wspierają się na przezroczystych tarczach. W pełni przewidywalna jest tylko ściana numer cztery – szary mur banku Yapı Kredi, który sąsiaduje z liceum Galatasaray. Część rodzin opiera się o niego plecami. Chociaż niegroźny, to jednak blokuje możliwość ewentualnej ucieczki.

Wciąż jest to jedna z najbardziej uprzywilejowanych demonstracji w Turcji.

– To prawda, że nagrywają, dokumentują, również w miejscach poszczególnych tragedii, gdzie zbieramy się w ich rocznice. Co się z tym potem dzieje, do czego posłużą te materiały? Nie wiemy. Ale naszym problemem nie jest policja, a wymiar sprawiedliwości – podkreśla İdris.

Niespełna miesiąc po naszej rozmowie odbywa się ostatnie w tym miejscu *nöbet*. Nikt nie wie, jak długo potrwa ta przymusowa przerwa. Policja musi wykonać rozkaz: wszelkie zgromadzenia na alei İstiklal zostają zabronione. Jest to jedna z pierwszych decyzji, jakie zapadają po zniesieniu stanu wyjątkowego, które miało być powrotem do normalności.

Swoje *nöbet* przenieśli na tyły İstiklal, przed siedzibę stowarzyszenia. Tu nikt nie wyciąga szyj, ich słowa nie wpadną w przypadkowe uszy, w malusieńką uliczkę nikt nie zbłądzi. Towarzyszy im jedynie szum policyjnych krótkofalówek. Apele o pozwolenie na powrót na İstiklal odbijają się głuchym echem od ścian budynków.

Nadal pilnie śledzą swoje procesy, mimo że te zdają się ciągnąć w nieskończoność.

– Pracownicy sektora publicznego mają w Turcji immunitet. Żeby postawić ich przed sądem, trzeba uzyskać zgodę od ministerstwa, któremu podlegają. Te wydawane są niechętnie lub wcale – tłumaczy mi prawniczka Berrin Demir. Jej nazwisko, które po turecku oznacza żelazo, doskonale do niej pasuje. Trzeba być naprawdę twardym, by zająć się głośnym wypadkiem w kopalni w Somie na zachodzie kraju, w którym w maju 2013 roku zginęło trzystu jeden górników. Demir wchodzi w skład grupy prawników prowadzących tę sprawę. Przemawia na większości *nöbet*. –

Cały sektor budowlany cementują personalne powiązania deweloperów z konkretnymi ministrami, więc niemal wszystkie sprawy są przedmiotem silnych nacisków politycznych. Wyroki to kpina. Najczęściej zasądzane są kary poniżej dwóch lat pozbawienia wolności. Można zamienić je na karę pieniężną, równowartość od dwudziestu do czterdziestu tysięcy euro, rozkładaną na raty, na przykład na dwa lata. Wychodzi jak niski kredyt. Jeśli zabijesz obcą ci osobę na ulicy, idziesz do więzienia. Jeśli zabijesz swojego pracownika, po prostu dopisujesz sobie do miesięcznych wydatków kolejną kwotę – mówi Demir.

A jednak udało im się dokonać pierwszych wyłomów w murze. Doprowadzili przed sąd Murata Aydına, burmistrza dzielnicy Zeytinburnu, w której doszło do wypadku w Davutpaşy. Zresztą nie tylko jego. Przede wszystkim dodali ludziom odwagi do działania i jednoczenia się bez pomocy prawników.

Z rodzicami İdil spotykam się w kawiarni znajdującej się pośrodku parku Yoğurtçu w Kadıköy. Przynieśli ze sobą lampiony z kolorowej krepiny. Dziś 20 lipca, urodziny İdil, więc zaraz zaczną przystrajać nimi park.

Trudno nam się rozmawia, słowa przepadają w trybach machin budowlanych, siłę głosu trzeba dostosowywać do rytmu ich pracy. Kilkanaście metrów dalej, za ogrodzeniem, trwa przebudowa niewielkiego kanału.

– Pamiętam to jak dziś. Kiedy zadzwonił telefon, było po jedenastej wieczorem. Policja. Kazali pilnie stawić się na posterunku, nie chcieli wyjaśnić, o co chodzi. – Berdan Dere, ojciec Şule İdil Dere, siwy i rosły, przypomina sędziwy dąb. – Zirytowało mnie to. Przez burdel w papierach dzwonią nie do tych co trzeba, ciągają po nocach.

Co było zrobić, poszli. Tam im powiedzieli. W İdil wjechała ciężarówka budowlana. Nikt nawet nie wezwał karetki. Nie było po co. Zginęła na miejscu. Miała dwadzieścia trzy lata.

To jedna z głośniejszych tragedii. Być może dlatego, że Yoğurtçu to jeden z popularniejszych parków po azjatyckiej stronie miasta. Są tu przyrządy do

ćwiczeń, plac zabaw, boisko do kosza, całość otoczona bieżnią. W miesiącach letnich park pęka w szwach do późnych godzin nocnych. Tego wieczoru, kiedy İdil wracała ze spotkania ze znajomymi, nie było ani ogrodzenia, ani nawet znaku informującego o robotach.

– Zaczęły się z nami kontaktować osoby, które straciły bliskich w ten sam sposób. Byliśmy zszokowani skalą zjawiska. – Berdan delikatnie się garbi, jakby już czuł ciężar liczb, które zaraz pokaże mi w tabelkach. Według ich obliczeń tylko w następnym roku pod kołami ciężarówek budowlanych i betoniarek zginęło w Turcji co najmniej sto czterdzieści jeden osób, a czterysta pięćdziesiąt dwie zostały ranne.

Zaczęli prowadzić kampanię, by to zatrzymać. Przyjaciele İdil rozkręcili ją na Facebooku i Twitterze. W świecie realnym wsparli ich uznani graficy, projektując ulotki i plakaty. Na znak kampanii wybrali klepsydrę utworzoną z dwóch pinezek z Google Maps. Zamiast piasku wlali do niej krew.

Kampania opiera się na konkretach: relacjach z procesu i informacjach o kolejnych wypadkach. Opowiadają o niej także na *nöbet*. Zazwyczaj stoją z tyłu, w drugim rzędzie. Zupełnie niepozorni kronikarze betoniarek wiozących śmierć. Bywa, że zaszklą im się oczy. Nie tylko zresztą im. Nikt nie zwraca na to uwagi. W Nowej Turcji to częsty widok: wojownicy o szklanych oczach.

Duma

Po płycie lotniska pędzą konie. Jeźdźcy w pełnym cwale sięgają do przewieszonych przez plecy kołczanów i pewną ręką wypuszczają strzały z łuków. Trafiają w środek tarczy, ledwo widocznej wśród unoszącego się znad kopyt kurzu. Rozgrzany pył przesłania nawet lądujące kilkaset metrów dalej samoloty.

Afra Aydın szybko otrzepuje go z twarzy mankietem, ani na chwilę nie odrywając wzroku od wysypanego wprost na betonie padoku. Oddech ma płytki i szybki, uwagę wyostrzoną, nie umknie jej najmniejszy nawet ruch łuczników. Wie, co czują, dobrze zna te emocje. Bicie serca, co mało nie rozsadzi klatki. Adrenalinę blokującą ból. Sama nieraz poraniła sobie dłonie ostrzem wyjmowanych w galopie strzał. Zakrzepłą już krew zauważała dopiero po zejściu z konia. Dziś też wzięła ze sobą łuk i strzały, ale w zawodach nie wystąpi. Przyszła dla przyjemności, poćwiczyć i popatrzeć.

Szkolne wycieczki zwożone są z całego miasta już od rana. Festiwal Etnospor organizowany jest w Stambule już po raz czwarty, ale dopiero edycja w 2019 roku odbywa się w tak osobliwym miejscu – na dawnym lotnisku imienia Atatürka, które jeszcze rok wcześniej było piątym najbardziej ruchliwym portem lotniczym świata. Teraz na płycie wyrosły namioty i jurty, w których można sfotografować się z osmańskimi wojownikami, spróbować dań kuchni braterskich narodów tureckich – azerskiej, kazachskiej i innych – bądź kupić ich rękodzieło. Na powstałych wokół boiskach wymachujący osmańskimi flagami instruktorzy zachęcają do wzięcia udziału w *mas güreşi*, zawodach w przeciąganiu drążka: – To ulubiony trening dziedziców osmańskiego tronu, spróbujcie i wy! A potem idźcie podziwiać zmagania *pehlivanów*, wysmarowanych oliwą zawodników *yağlı güreş*, zapasów według reguł niezmiennych od wieków!

Do strzelania z łuku zachęcać nie muszą. Dla chętnych przygotowano kilkadziesiąt stanowisk, do wszystkich ustawiają się kolejki. Uczniowie mogą również spróbować trafić w tarczę z grzbietu mechanicznego konia na ruchomym wysięgniku, który imituje ruch prawdziwego zwierzęcia. To dla tych, co jak dorosną, chcą być jak Bilal. Syn prezydenta Erdoğana darzy łucznictwo, konne w szczególności, wielką miłością. On też pojawi się na festiwalu.

Afra łucznictwo trenuje od czterech lat, jazdę konną od trzech. Połączenie dyscyplin zasugerował jej instruktor. Łucznictwo konne to tradycja przodków, mamy ją we krwi! – przekonywał. Nie musiał jej tego tłumaczyć, miłość do historii rodzina wpajała jej od małego, więc doskonale wiedziała, że pochodzi z narodu, który żył na grzbietach koni. – Nasi przodkowie podbijali w ten sposób kolejne ziemie, a później, w czasach imperium osmańskiego zdobyli rozległe terytoria w Europie i na Bliskim Wschodzie. Ale potem te tradycje były stopniowo zapominane. Teraz, dzięki wysiłkom rządu, wracają – podkreśla Afra.

Łucznictwo poznała na studiach. Tradycja przodków tak ją zachwyciła, że spędzała na treningach każdą wolną chwilę. Zapragnęła dostać się do reprezentacji Turcji. Ale siła tego marzenia ją przestraszyła. Jak na celu tak ambitnym, a zarazem tak niepewnym, budować przyszłość? Musisz mieć zawód, pewne źródło dochodu – powtarzała sobie z nadzieją, że zejdzie w końcu na ziemię. Udało się. Głowę wypełniły jej inne, łatwo osiągalne cele. Kiedy kończyła architekturę, nie wypuszczała strzał z łuku nawet we snach.

Wtedy jednak anatolijskie stepy i imperium osmańskie same upomniały się o jej uwagę.

Na ekranach telewizorów pojawił się serial *Muhteşem Yüzyıl*, *Wspaniałe stulecie*, opowiadający o złotych czasach imperium osmańskiego. To, że nie był to serial, jakich wiele, jasne stało się w czasie Gezi. Aktor Halit Ergenç, serialowy sułtan Sulejman Wspaniały, wszedł wtedy w skład delegacji ruchu aktywistów Taksim Platformu, która miała spotkać się z Erdoğanem. Nieoczekiwanie park na Taksimie zszedł na dalszy plan, spotkanie

przerodziło się w egzamin. Ówczesny premier postanowił przepytać Ergença ze znajomości języka osmańskiego. Jak możesz tego nie wiedzieć?! Grasz Sulejmana! – Erdoğan nie krył oburzenia, że aktor nie potrafi przetłumaczyć podanych mu terminów. Powtórzył Ergençowi to, o czym mówił już od dawna: serial w ogóle jest nie do przyjęcia. Kto widział takie rozpustne obyczaje na sułtańskim dworze, takie dekolty u sukien. Reżyser powinien stanąć przed sądem!

Reżyser wprowadził do serialu poprawki. Telewizyjny Sulejman zaprzestał libacji i zapuścił brodę, kobiety w haremie przyodziały się, jak trzeba. Niedługo później Turcy dali się porwać losom sułtanki Köşem przedstawionym w sequelu *Wspaniałego stulecia*. Do grafików dnia mogli wpisać także:

Diriliş: Ertuğrul, serial o wojowniku, którego przybycie z Azji Centralnej do Anatolii dało początek tureckiej historii.

Kuruluş: Osman, fabularyzowane dzieje Osmana I, syna Ertuğrula i założyciela dynastii osmańskiej.

Payitaht: Abdülhamid, bohaterskie zmagania Abdülhamida II, ulubionego sułtana Erdoğana.

W 2018 roku w telewizji wyświetlano także spot wyborczy AKP, w którym wódz Alp Arslan przybywa do Anatolii, Mehmet Zdobywca wyrusza na białym koniu zdobyć Konstantynopol, Sulejman Wspaniały obiecuje odnosić zwycięstwa w najtrudniejszych nawet warunkach, a Erdoğan komentuje te sceny wezwaniem: „Hej Turcjo, znaj swoją przeszłość, by rozświetliła ci przyszłość!”. Na przedwyborczych wiecach pojawiły się fezy z napisem *Biz Osmanlı Torunluyuz*, Jesteśmy potomkami Osmanów, oraz flagi z podobizną Erdoğana na tle herbu imperium osmańskiego. W centrach handlowych fotografowie poustawiali garderoby pełne zdobnych kaftanów i turbanów, oferując pamiątkowe zdjęcie na tle fototapety z sułtańską komnatą, a Turcy na tylnych szybach i maskach samochodów przykleili sobie złote *tuğry*, kaligrafowane podpisy sułtanów.

Afra patrzyła na to wszystko i czuła, jak jej dawna pasja odżywa. Tym razem już nie oponowała. Miała dobrą pracę jako architektka i pewne

źródło dochodu, a co ważniejsze, miała też świadomość, że w tym sporcie chodzi o coś więcej. – *Geçmişin izlerini geleceğe taşıyoruz*, Niesiemy ślady przeszłości w przyszłość. To nasz slogan – wyjaśnia z uśmiechem. Obecnie jest członkinią jednego z klubów konnego łucznictwa. Bierze udział w zawodach krajowych, do międzynarodowych dopiero się przygotowuje. Te zawody to dla niej jednak tylko pretekst, by opowiadać o tureckiej historii i kulturze.

Rozmowy najczęściej zaczynają się od stroju. Dziś Afra ma na sobie rozcięty u dołu kubrak z mankietami obszytymi futerkiem, luźne spodnie, długie jeździeckie buty z brązowej skóry, na głowie chustę, a na biodrach kołczan ze strzałami. – To nie jest typowy osmański strój. Powinnam mieć czapkę i inne buty, poza tym stroje z czasów imperium osmańskiego były niezwykle barwne. Moje ubrania są w stonowanych kolorach, typowych dla czasów przedislamskich, kiedy jeźdźcy starali się wtopić w step. Po tych stepach jeździła jedna z najważniejszych kobiet w naszej historii, Tomris Hatun. – Afra wspomina opisaną przez Herodota królową plemion żyjących na terenach Azji Środkowej, która pokonała samego władcę Persji, Cyrusa Wielkiego. – Wojowniczka, której strzały zawsze dosięgały celu, a miecz wymierzał sprawiedliwość. Takie właśnie wzory oferuje współczesnym kobietom łucznictwo konne! W tym sporcie kobiety i mężczyźni zawsze byli sobie równi, ćwiczyli razem, tak jak i dziś razem rywalizują w zawodach – zachwyca się.

Przerywa jej ogłuszająca muzyka. Na padok wjeżdżają reprezentacje innych narodów tureckich, a akompaniuje im *Dombra*, melodia znana w całej Azji Centralnej. Turcja poznała ją na wiosnę 2014 roku, kiedy to sztab wyborczy AKP uczynił ją swoją piosenką wyborczą. „Reeeecep Tayyip Erdoğan” – refren o łatwej do zapamiętania treści rozlegał się z głośników wyborczych furgonetek niemal na każdej ulicy. Wielce rozgniewało to autora *Dombry*, Arslanbeka Sultanbekova. Początkowo odgrażał się pozwami, ale potem niespodziewanie pojawił się na jednym z wieców u boku Erdoğana, demonstrując radość i poparcie.

Afra ogląda pokaz woltyżerki z *Dombrą* w tle, a ja idę pod ustawioną nieopodal scenę. Stojący pod nią chłopcy zachwycają się postacią z serialu. Ertuğrul to, Ertuğrul tamto… Milkną dopiero wtedy, kiedy nad ich głowami rusza wehikuł czasu. Ogłuszające bębny i trąbki wraz z chóralnym śpiewem niskich męskich głosów przenoszą widownię w czasy zdobycia Konstantynopola.

– Bizantyjscy żołnierze na odgłos tych dźwięków odczuwali strach tak ogromny, że niektórzy porzucili obronę miasta i czmychnęli – opowiada mi po występie Mehmet Şükrü Alkan, szef zespołu. Oficjalnie nazywają się Istanbul Historical Turkish Music Ensemble, ale nawet w programie festiwalu figurują po prostu jako „Mehter". – Mehter to najstarsza orkiestra wojskowa na świecie. Wspierała armię w podbojach, co było szczególnie ważne w czasach imperium osmańskiego. Z naszego dziedzictwa czerpały wszystkie orkiestry świata. Mało tego, nasza muzyka inspirowała nawet Beethovena i Mozarta! – Mehmet opowiada jak w transie. Jako jedyny z trzydziestu sześciu członków zespołu nadal ma na sobie ciężki, czerwony płaszcz i wysoką czapkę. Pozostali zrzucili je natychmiast, gdy tylko weszli za kulisy. Kostiumy odwzorowano na podstawie miniatur, więc nie mają pewności, czy ich detale są zgodne z prawdą historyczną, za to doskonale wiedzą, jak trudno się w nich oddycha w pełnym słońcu. Jest początek października, ale spiekota wciąż nie odpuszcza.

Mehmet kieruje orkiestrą od 1991 roku, kiedy ministerstwo kultury podjęło decyzję o jej utworzeniu. Kryteria były wyśrubowane, wszyscy członkowie to profesjonalni muzycy. Bębniarz Ali Sinan Erdemsel to wśród nich młodzik, ma tylko dwadzieścia lat doświadczenia. – Obecnie w Turcji jest co najmniej siedemdziesiąt liczących się orkiestr mehterów. Najstarsza podlega tureckiej armii, to oni swoim występem uświetniają wizyty głów państw, które przyjmuje Erdoğan – Ali wchodzi w słowo Mehmetowi. O nowych, nieformalnych zasadach protokołu dyplomatycznego Turcji świat dowiedział się w 2015 roku, kiedy to prezydenta Palestyny Mahmuda Abbasa w pałacu prezydenckim w Ankarze przyjęło szesnastu wojowników

w hełmach i kolczugach, każdy z nich reprezentował inny okres w historii Turcji.

– My natomiast jeździmy z koncertami po całym świecie, od Rosji po Japonię – kontynuuje Ali. – Dzięki rządowemu finansowaniu od około pięciu lat koncertujemy też w szkołach i opowiadamy uczniom o historii. Tylko w zeszłym miesiącu daliśmy dziesięć koncertów. Wyobraź sobie, że niektóre ze szkół decydują się potem założyć swoje własne orkiestry mehterów! Dzięki temu dzieciaki zyskują podstawy, na których mogą budować. Dopiero kiedy poznasz własną kulturę, odkryjesz, kim jesteś. Ponowne połączenie z historią i tradycją to jak odnalezienie zaginionego brata, którego szukało się całe życie!

*

Malutki, wypełniony od góry do dołu książkami gabinet mieści się w labiryncie korytarzy stambulskiego uniwersytetu Sabancı. Trudno go znaleźć, więc profesor Akşin Somel może ze spokojem wczytywać się w kopie osmańskich dokumentów. W jego uprzejmym uśmiechu wyczuwam pobłażliwość.

– Naprawdę jesteście w Polsce dumni z bitwy pod Wiedniem? – Profesor Somel nie dowierza. – My też. Że tak daleko zaszliśmy, aż pod sam Wiedeń! Nie ruszyliśmy dalej tylko przez niedołęstwo wielkiego wezyra Kara Mustafy Paşy. Tutaj mało kto słyszał o waszym Janie Trzecim Sobieskim – mówi rozbawiony.

Skoro wyjaśniliśmy już sobie historyczne zaszłości, mogę zadać to jedno, kluczowe pytanie: dlaczego imperium powraca?

Profesor Somel ma proste wytłumaczenie: reformy Atatürka odcięły Turków od ich przeszłości jak nożyce. Weźmy alfabet. Oparty na spółgłoskach alfabet arabski rzeczywiście nie przystawał do rozkochanego w samogłoskach języka tureckiego, jednak sposób i tempo jego zmiany odebrały Turkom dostęp do wiedzy. Nie tylko na temat imperium, ale nawet

ich własnych rodzin. Dziś nie są w stanie odczytać napisów na nagrobkach swoich dziadków.

– Społeczeństwu brakuje fundamentów i głębi, jaką daje historia. Wiedza o imperium osmańskim przekazywana jest w szkołach następująco: najpierw okres ekspansji światowej potęgi, a potem czas upadku „chorego człowieka Europy”, którą to agonię bohatersko zakończył Mustafa Kemal, później nazwany Atatürkiem. Wiedza jest fragmentaryczna. Nic dziwnego, że ludzie wypełniają tę pustkę serialami. Nie wiedzą, że oglądają fikcję. O Ertuğrulu historycznie niemal nic nie wiemy, serial to przygody mafiosa w dziwacznym stroju!

Profesor Somel najwidoczniej ma naturę burzyciela iluzji, bo swoją odpowiedź uzupełnia jeszcze o błyskawiczne rozprawienie się z powszechnym na Zachodzie przekonaniem, że to Erdoğan podjął się misji wskrzeszenia imperium osmańskiego. – Ależ to się nie zaczęło za AKP! Pamiętajmy, że od momentu ustanowienia Republiki do tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku w Turcji obowiązywał system jednopartyjny, autorytarny reżim partii CHP, realizującej reformy Atatürka. Kiedy w latach pięćdziesiątych nadleciały pierwsze jaskółki demokracji, imperium osmańskie zaczęło nieśmiało o sobie przypominać. W największych gazetach pojawiły się komiksy o Barbarossie, zwycięskim admirale dowodzącym flotą Sulejmana Wspaniałego, a niedługo później królem tureckiej telewizji został Cüneyt Arkın…. – Profesor uśmiecha się znacząco. Arkın wcielał się niemal wyłącznie w bohaterów, którzy na końcu filmu umierali, zagrał w blisko trzystu niskobudżetowych produkcjach, a sławę zyskał dzięki tym historycznym, między innymi rozgrywającej się w imperium osmańskim *Malkoçoğlu Cem Sultan*. Przy jego nazwisku profesor Somel stawia kropkę.

Dużo mam już tych kropek – rozmów, opinii, obserwacji, wniosków. Tylko czy one połączą się w czytelny obraz? Niepewność pcha mnie dalej, każe mi jeździć od autorytetu do autorytetu. Trzy dni po rozmowie z profesorem Somelem siedzę więc w bliźniaczo podobnym gabinecie

profesora Edhema Eldema z Uniwersytetu Bosforskiego, który również wczytuje się w kopie osmańskich dokumentów.

– Historia na służbie władzy to śpiewka stara jak świat! Wykorzystywał ją i Atatürk, wpajający Turkom, że są potomkami Hetytów i Sumerów – podkreśla profesor Eldem. – Dzisiaj pomija się kemalistowską przeszłość i zamiast niej przywołuje imperium osmańskie. Początkowo wracano do złotych czasów Sulejmana Wspaniałego i Mehmeta Zdobywcy. To typowa narracja utraconego raju. Teraz wszystko kręci się wokół Abdülhamida Drugiego, sułtana niemal współczesnego Mustafie Kemalowi. Rządził pod koniec dziewiętnastego wieku, a więc w czasie, kiedy imperium osmańskie było przedmiotem ataków ze wszystkich stron, gdzie się nie obejrzysz, tam wojny, rebelie, naciski zewnętrzne… To idealnie rezonuje z tym, co mamy dzisiaj. Nacjonalizm nie działa bez wrogów, konieczne jest wykreowanie w społeczeństwie poczucia zagrożenia, a jeszcze lepiej paniki. Przywódca, który walczy o ocalenie państwa… Serial o Abdülhamidzie można czytać jako opowieść o Erdoğanie i współczesnej Turcji.

Tuğry na ulicach? Ludzie naklejają je na auta, przekonani, że to tuğra Abdülhamida. Nie potrafią jej przeczytać, więc nie wiedzą, że to podpisy innych sułtanów.

Herb imperium osmańskiego? Traktują go jako symbol imperium, przeświadczeni, że obowiązywał przez cały okres jego trwania. A tak naprawdę powstał dopiero u jego schyłku, pod koniec dziewiętnastego wieku. Abdülhamid poczuł się gorszy, że każda monarchia w Europie ma swój herb, a imperium osmańskie nie, więc go sobie wprowadził.

Popularność mehterów? Fascynująca fuzja orientalizmu i nacjonalizmu! Mehterzy nie używali nut, więc jedyna wiedza, jaką dysponujemy na temat ich muzyki, pochodzi od armii, przeciwko którym walczyli. O ile w ogóle możemy mówić o muzyce. Tak naprawdę były to po prostu przerażające dźwięki, które miały budzić grozę.

Ale to wszystko nie ma znaczenia.

Liczy się symbol.

*

Czerwiec 2018 roku, trzy dni przed wyborami parlamentarnymi. W Antalyi, kurorcie na południu Turcji, sezon w pełni. Słyszę, jak spod jednego z plażowych parasoli dobiega płaczliwy krzyk dwóch dziewczynek. Domagają się kredek. Mama nie ma ich przy sobie. Nie przewidziała, że dzieci w drodze między hotelem a plażą dostaną kolorowanki. Rozdaje je sztab wyborczy AKP.

Książeczki zatytułowane są *Büyük Usta'nın Eserleri*, Dzieła Wielkiego Mistrza. W rogu każdej strony mają symbol partii – świecącą żarówkę – a na górze napis: „Uczymy się przez kolorowanie".

Na stronie czwartej pod tablicą przylotów Japonka, Inuita, Indianin, Afrykańczyk, kowboj oraz szejk raczą się turecką kawą i herbatą. Niżej wyjaśnienie: „Największy projekt w historii Republiki, najpiękniejsze na świecie nowe lotnisko w Stambule".

Na stronie czternastej widok z lotu ptaka na dwa statki. Płyną ku sobie lądem, tnąc go dziobami i zostawiając za sobą wodę. „Strategiczny projekt, który spotęguje piękno Stambułu. Kanał Stambulski".

Na stronie dwudziestej czwartej most w formie dwóch rąk, które zaraz złączą się w uścisku. „Perła Bosforu, po raz trzeci łączy Anatolię z Europą. Most sułtana Selima I Groźnego".

Na stronie trzydziestej góra śmieci przysypała obywatela, wystaje z niej tylko ręka. Z góry sterczy tabliczka z napisem „Stary Stambuł". Nad nim z kolorowych kwiatów wyłania się druga tabliczka, „Nowy Stambuł", i dłoń Wielkiego Mistrza, która wyciąga obywatela z wysypiska. „Pamiętajcie! Chroniczne problemy z wodą i śmieciami, z jakimi borykał się nasz kraj, zostały rozwiązane. Stary i Nowy Stambuł".

Projekty z kolorowanki – lotnisko, kanał i most – Erdoğan nazywa „szalonymi" i jako takie są powszechnie znane.

Szalony ma być ich rozmach.

Nowe lotnisko otwarto w Stambule w dziewięćdziesiątą piątą rocznicę ustanowienia Republiki, 29 października 2018 roku. Tego dnia przyozdobiono je plakatami z podobizną prezydenta i sloganem: „To nie jest tylko lotnisko. To pomnik zwycięstwa”. Zastąpiło ono dotychczasowe lotnisko imienia Atatürka, to, które tymczasowo przejął we władanie festiwal Etnospor. Nowe, rozbudowywane przez kolejne lata, docelowo ma obsługiwać sto pięćdziesiąt milionów pasażerów rocznie – ponad dwukrotnie więcej niż londyńskie Heathrow – co uczyni je największym portem lotniczym świata pod względem liczby pasażerów.

Równoległy do Bosforu, blisko pięćdziesięciokilometrowy Kanał Stambulski ma połączyć Morze Czarne i Morze Marmara, zmieniając tym samym znaczną część Stambułu w wyspę. Oficjalnie po to, by ograniczyć ruch tankowców na Bosforze. Cieśnina jest jedną z najbardziej zatłoczonych dróg wodnych świata i wcale nie tak łatwą do nawigacji, o czym dobitnie przypomniał w październiku 2018 roku maltański statek kargo, wbijając się w osiemnastowieczną willę nad Bosforem. Z pomysłem przekopania kanału nosił się już sułtan Sulejman Wspaniały, który doprowadził imperium osmańskie do szczytu potęgi. Co nie udało się Sulejmanowi, ma się udać Erdoğanowi. Na razie prezydent zrealizował marzenie sułtana Abdülmecida i na dziewięćdziesiąte urodziny podarował Turcji Marmaray, kanał pod Bosforem – w kolorowance na stronie szóstej – który umożliwia podwodną podróż pociągiem z europejskiej do azjatyckiej części Stambułu w zaledwie cztery minuty.

Nazwany imieniem sułtana Selima I Groźnego trzeci most na Bosforze – ten, pod który kamień węgielny kładziono w czasie Gezi – to trzeci najwyższy i dziewiąty najdłuższy most wiszący świata.

Nie wszyscy doceniają to szaleństwo. Krytycy lotnisko nazywają nie największym, ale najniebezpieczniejszym. Trasy lotów przecinają się ze szlakami migracji ptaków, co skutkuje porozbijanymi kokpitami i awaryjnymi lądowaniami. Terminale wybudowano na terenach dawnych kopalni węgla, o czym przypomniała sama ziemia, otwierając się jak otchłań i pochłaniając tuż przed inauguracją fragment jednego z pasów

startowych. W dniu jego uruchomienia władze utrzymywały, że życie na budowie straciło dwudziestu siedmiu robotników, ale związkowcy mówili o stu pięćdziesięciu.

Nie wiadomo, jak Stambuł poradzi sobie bez płuc, jak mówi się na lasy porastające tereny na północ od miasta, których znaczną część wycięto pod budowę mostu, lotniska i łączących je dróg.

Możliwe skutki połączenia mórz różniących się stopniem zasolenia i temperaturą opisywane są w kategoriach wielowymiarowej apokalipsy – od zwiększenia ryzyka trzęsienia ziemi, przez wyginięcie endemicznych gatunków fauny i flory, aż po drastyczne spadki w zbiornikach miasta, co dla mieszkańców może oznaczać niedobory wody w kranach. Ale kto by tam myślał o mieszkańcach – komentują krytycy projektu – grunt, że na spekulacjach dotyczących trasy przebiegu kanału wzbogacił się kto trzeba, a sprzymierzone z rządem firmy budowlane już zacierają ręce.

Recep Tayyip z takiego biadolenia się śmieje. Nasza rozmowa nie zaczęła się najlepiej.

– To będzie twoja ostatnia książka. I twojego wydawnictwa też – oznajmił mi na wstępie. Odmówił zgody na publikację nazwiska, za to imiona – proszę bardzo. Zbieżność nieprzypadkowa, rodzice nadali mu je, by pamiętał, komu zawdzięcza najwięcej. Swoje proroctwo obwieścił mi przy obiedzie u wspólnej znajomej. – Naprawdę napiszesz, dlaczego popieramy Erdoğana? W Europie publikujecie tylko głosy szkalujące naszego prezydenta. Jeśli wyłamiesz się z tego schematu… – Tu nastąpiły przepowiednie końca, a po nich tylko machnięcie ręką.

Lepiej, żebym słuchała uważnie, bo powie tylko kilka zdań.

Gdzie nie spojrzeć, tam wielkość! Widzisz ją już na lotnisku w Stambule. Wysiadasz, jedziesz do centrum, a tam na wzgórzach po azjatyckiej stronie nowiutki meczet Çamlıca, największy w kraju, pomieści sześćdziesiąt tysięcy wiernych! Ale to jeszcze nic, pałac prezydencki w Ankarze to dopiero coś! Rezydencja na miarę silnego lidera, tysiąc sto pięćdziesiąt pokojów. „Szalone projekty” to znak rozwoju, o jakim nam się nie śniło.

Ich wagę zrozumiesz dopiero, gdy cofniesz się do początków rządów Erdoğana.

Gdy został burmistrzem Stambułu, na każdym kroku widział biedę z nędzą. Ale nie bał się jej, znał ją z dzieciństwa, pochodził przecież z Kasımpaşy, jednej z najuboższych dzielnic. Znał problemy ludzi, znał ich potrzeby. Zaczął działać, a im dłużej działał, tym i miasto lepiej działało.

Kiedy objął władzę jako premier, zrobił to samo dla całego kraju. Turcja była w zapaści gospodarczej, zadłużona. Każdy kolejny rząd patrzył tylko, jak tu wyrwać coś dla siebie. A tu wchodzi AK Parti, „biała partia", jedyna czysta. Koniec z korupcją! Koniec z zacofaniem! Kraj zmienia się nie do poznania, powstają drogi, szpitale, nowoczesne osiedla, wieżowce. Mieszkańcy konserwatywnej, wyśmiewanej Anatolii zmieniają się w klasę rodzimych przedsiębiorców. Świat mówi o nich z uznaniem: anatolijskie tygrysy! Gospodarka rusza z kopyta. Dziś nawet broń produkujemy sami. Odzyskujemy niezależność. Prowadzimy taką politykę zagraniczną, jaką chcemy, już nie tańczymy jak nam Zachód zagra. Unia Europejska od dziesięcioleci trzyma nas w przedsionku, uchylając drzwi, których nigdy nie zamierzała otworzyć. Dziś Bruksela rozumie, że to ona nas potrzebuje, nie my jej! To dlatego wszyscy nas atakują. Widzą, jak wzrastamy, i czują się zagrożeni!

Tyle ma mi wystarczyć. Recep nie wierzył mi, nie ufał, a poglądami podzielił się przez wzgląd na wspólną znajomą i chyba trochę z braku wyjścia, bo siedzieliśmy razem przy stole. Jego niechęć okazała się typowa dla całego środowiska prorządowego. Zachodni dziennikarz, reporter, pisarz to albo szpieg, albo działający na szkodę Turcji manipulator. Rozmowa z nim to jak zdrada stanu. Ci, którzy na Nowej Turcji zyskali najwięcej, okopali się w niewidzialnej twierdzy, a kiedy tylko wyczuwali wroga, podnosili mosty i zamykali bramy.

I tylko czasem – w chwili słabości, złości lub dobrego humoru – rzucali mi jakieś wspomnienie, opinię bądź myśl. A w nich powtarzało się kilka słów.

Międzynarodowy Fundusz Walutowy, MFW. Tę nazwę znają nawet ci, którzy edukację zakończyli na szkole podstawowej. Turcja zadłużała się w tej organizacji od 1958 roku, coraz bardziej i bardziej. AKP obiecała przerwać to błędne koło zależności. Z determinacją wdrażała dyktowane przez MFW reformy. One zaś do życia Turków wprowadziły nowość, o której w latach dziewięćdziesiątych mało kto słyszał – karty kredytowe. W pierwszych latach rządów AKP w miastach i miasteczkach zaroiło się od stoisk, na których pracownicy banków rozdawali je każdemu, kto podał swój numer dowodu osobistego i złożył pod nim podpis. Ludzie kupowali to, na co dotychczas nie było ich stać – jedni porządne jedzenie, inni telefony, jeszcze inni samochody. Wszyscy czuli, że przeskakują o jeden szczebelek wyżej na społecznej drabinie. To, że była to iluzja, a na spłatę rat musieli brać kolejne kredyty, nie miało znaczenia. Pozwalali się ponieść fali optymizmu. Na AKP głosowali nawet przedsiębiorcy, którym konserwatywny światopogląd był obcy. Przekonywał ich utrzymujący się przez początkowe lata rządów AKP wzrost gospodarczy na poziomie 7,5 procent – lepiej było nie sprawdzać, czy opozycja zdoła utrzymać ten trend. Ostatnią transzę długu AKP spłaciła w 2013 roku. Obecnie gospodarka znowu kuleje, ale wielu wierzy, że nie jest to wina rządzących, ale międzynarodowego spisku.

Korupcja. Przekroczenie dozwolonej prędkości, załatwienie sprawy w urzędzie, przyjęcie do szpitala – wszędzie trzeba było płacić. Nawet małe, rodzinne firmy już na etapie kreślenia kosztorysów rezerwowały na łapówki od kilku do kilkunastu procent swojego budżetu. AKP ukróciło ten proceder, przy drogach zamontowało fotoradary i system automatycznie rejestrujący piratów drogowych, a w miejscach znanych z obiegu kopert umieściło kamery. I choć skandale korupcyjne na szczytach władzy nie należą do rzadkości, to wielu Turków ma poczucie, że defraudowane pieniądze nie pochodzą bezpośrednio z ich kieszeni. Zresztą prorządowe media dbają o to, by afery przykryła cisza.

Infrastruktura. Czyli nowe szpitale, drogi, linie metra. Erdoğan buduje na potęgę, jego ekipa nie ma nawet kiedy otrzeć potu z czoła. Przyznają to

nawet jego przeciwnicy, od razu dorzucając jednak, że z rezultatów najwięcej korzystają ci, którzy oddali głos na jedynego słusznego kandydata. Mapa poparcia AKP pokrywa się z mapą inwestycji. Jeśli dane miasto lub dzielnica popiera opozycję, nie dostaje hali sportowej lub szpitala, a mieszkańcy muszą dojeżdżać do najbliższego nawet kilkadziesiąt kilometrów. Ta strategia nie jest nowością. W Stambule do dziś pamiętają, jak Turgut Özal, w latach osiemdziesiątych premier, a później prezydent Turcji, ukarał dzielnicę Kartal za to, że nie zagłosowała na jego ANAP[3] likwidacją przystani, wokół której kręciła się gospodarka całej okolicy. Nową wybudował w sąsiednim Pendiku. Do antyrządowych dzielnic Stambułu metro doprowadza dopiero opozycyjny burmistrz Ekrem Imamoğlu, który miastem rządzi od 2019 roku.

Podręczniki. Kto by pomyślał, że tak niewielki gest może tak dużo zdziałać. Za rządów AKP dzieci dostają je w szkołach za darmo. Mieszkańcy wsi w Anatolii i na południowym wschodzie kraju potrafią długo opowiadać, jakie to odciążenie dla ich wielodzietnych rodzin. Zdjęto nam z barków jeden z cięższych kamieni – przyznają z wdzięcznością.

Godność. W Turcji wiąże się ona z podziałem na dwa kolory. Biali Turcy, *Beyaz Türkler*, to prowadzący świecki styl życia, wykształceni mieszkańcy miast, zwłaszcza zachodniego wybrzeża. Czarni Turcy, *Kara Türkler*, to ci przywiązani do religii i tradycji, najczęściej z prowincji. Biali od lat patrzyli na Czarnych z pogardą. Aż tu wchodzi Erdoğan, cały dumny przyznaje, że i on jest Czarnym Turkiem! Pewnością siebie zawstydza nie tylko rodaków, ale i zagranicę. Potrafi przygadać czołowym liderom, i to w jakim stylu! Pokazał to chociażby na Światowym Forum Ekonomicznym w Davos w 2009 roku. „Minuta. Minuta. Minuta” – Erdoğan przerwał wypowiedź prezydentowi Izraela Szimonowi Peresowi i powtarzał to nieznoszącym sprzeciwu tonem, dopóki zdezorientowany moderator nie udzielił mu głosu. Erdoğan nie potrzebował nawet minuty. „Jeśli idzie o zabijanie, to wy doskonale wiecie, jak zabijać” – warknął do Peresa, a kiedy moderator próbował przywrócić prezydentowi Izraela głos gestem otwartej dłoni, Erdoğan odtrącił ją jak natrętną muchę i czerwony z wściekłości, wypalił

do niego: „Tobie już dziękujemy, Davos się dla mnie skończyło, więcej nie przyjadę”. Po czym wstał i w świetle reflektorów oraz transmitujących to na cały świat kamer wyszedł. Na lotnisku witały go potem tysiące zachwyconych zwolenników. Turcja wreszcie broni swoich interesów, staje się liczącym się graczem! Erdoğan jest w gazetach i na ekranach telewizorów od Australii po Gwatemalę, mówi o nim cały świat! A że negatywnie? To tylko dowodzi, jak bardzo się go boją.

Spisek. Wszędzie wrogowie. Wewnętrzni, zewnętrzni, ukryci, jawni. Atakują Turcję, by nie dopuścić do jej wzrostu i zmiany porządku światowego.

Fryzjer. Erdoğan wciąż chodzi do tego samego fryzjera, który strzygł go za młodu w dzielnicy Kasımpaşa – to od lat ulubiona anegdota zachodnich dziennikarzy. Nic dziwnego, że słynny fryzjer (ten prawdziwy, bo samozwańczych jest kilku) nie wita ich już inaczej niż szorstką odmową jakiejkolwiek rozmowy, a jego sąsiedzi na widok aparatu lub kamery od razu rzucają się z pięściami. W rzeczywistości Erdoğan w zakładzie zjawia się rzadko, za to często do fryzjera dzwoni. Nie zapomniał, skąd się wywodzi, wciąż jest jednym z nas – powtarzają wyborcy. Zresztą wystarczy go posłuchać. W przeciwieństwie do innych polityków mówi tak, że każdy zrozumie: prosta składnia, krótkie zdania, potoczny język, zdarza mu się nawet przekląć. Krążą słuchy, że nieposłusznym ministrom to i przywalić potrafi. Ponoć w pierwszych latach jego rządów doświadczeni dyplomaci z ministerstwa spraw zagranicznych długo nad nim pracowali, by ten styl bycia porzucał przynajmniej na czas zagranicznych wizyt. Do dziś jednak, przyjmując światowych przywódców, Erdoğan nieraz rozsiada się tak, jak robi się to w kawiarniach Kasımpaşy. Turcy oglądają zdjęcia z tych spotkań i widzą: władza go nie zmieniła. Słuchają, jak w przemówieniach atakuje elity, zupełnie jakby on i jego partia do nich nie należały, i mówią: on o nas nie zapomni. A prezydent ich w tym przekonaniu utwierdza. Osobiście odpowiada na prośby, jakie wysyłają do niego obywatele. A to przetransportuje chore dziecko do szpitala rządowym helikopterem, a to zaprosi do pałacu prezydenckiego staruszkę, która w czasie wiecu

wyborczego zapłakała o wsparcie. I nawet ci, którzy uznają to za populizm, przyznają, że na zbiorową wyobraźnię to działa.

Hidżab, islamska chusta zakrywająca włosy. Miałam o niej nie wspominać. Opisywana od dekad, przez wszystkich, na wszelkie sposoby, ile można?

Aż spotkałam Melek, która też kiedyś nie widziała powodu, by poświęcać uwagę chuście.

Długo się namyślała, zanim wybrała to imię. Zawiesiła długopis nad notesem, po czym zapisała mi je wraz z nowym, również fikcyjnym, nazwiskiem: Melek Ay. Tak zabezpieczona, chciała za moim pośrednictwem zapytać krytyków Nowej Turcji, czemu traktują jej wolność jako zagrożenie dla swojej wolności.

Zaczęła nosić hidżab, kiedy miała trzynaście lat. Na początku nie codziennie, a jedynie kiedy przyszła jej ochota, bo na przykład pasował do stroju. Tak jak tego letniego dnia, kiedy przechodząc przez jezdnię – na pasach i zielonym świetle – ledwo zdążyła uskoczyć przed rozpędzonym autem. Samochód z piskiem zahamował, a z okna wychyliła się kobieta o rozwianych włosach i wrzasnęła do Melek, żeby zamiast uczyć się, jak wiązać hidżab, nauczyła się przechodzić przez ulicę. Ten krzyk wywołał u Melek niepokój, który narastał przez kilka następnych tygodni, aż do momentu, gdy mama i brat musieli zawieźć ją do szpitala. Nie pamięta już, co dokładnie jej dolegało. Szczegóły zatarł ton lekarza, który oznajmił im, że nie udzieli Melek pomocy, bo obie z matką mają na głowie chusty. Rzecz zdarzyła się w państwowym szpitalu w Konyi, jednym z najbardziej konserwatywnych miast Turcji. Niepokój Melek zamienił się w pewność – ta ozdoba będzie miała swoją cenę.

Od tego czasu minęło dwadzieścia lat, ale wzburzenie Melek nie osłabło. A chusta wciąż zajmuje i określa Turków.

– To skutek laicyzmu. Atatürk oparł go na modelu francuskim, jednak nasza turecka wersja była nieporównywalnie bardziej ekstremalna od tej nad Sekwaną – zaczyna wyjaśniać Melek. Wykształcona i obyta, musi wiedzieć, że z tym ekstremalnym laicyzmem różnie potem bywało,

zwłaszcza za rządów premiera Adnana Menderesa w latach pięćdziesiątych, a potem Turguta Özala w latach osiemdziesiątych. Pierwszy przywrócił możliwość nauczania religii w szkołach i gdzie tylko mógł budował meczety. Drugi lekcje religii uczynił już obowiązkowymi, wspierał otwieranie nie tylko meczetów, ale i szkół typu *imam-hatip*, do kraju zaprosił kapitał z Arabii Saudyjskiej i z zadowoleniem obserwował postępujące zbliżenie między nacjonalistami i islamistami. Oprócz nich znalazłoby się jeszcze kilka osób, które usiłowały przywrócić religię do łask. Ale co innego wiedzieć, a co innego pamiętać.

Melek nie pamięta ani Menderesa, ani Özala. Pamięta za to ciemne, martwe korytarze, które zazwyczaj schodziły w dół. Prowadziły do odpychających pokoików z zatęchłym powietrzem i zaniedbanymi dywanami. Melek miała ochotę jak najszybciej z nich uciekać. Ale tylko tam jej rodzina mogła spotkać się z Bogiem. – Muzułmanie modlą się również w ciągu dnia. Nie zawsze jest czas, by przerwać pracę i pójść do meczetu. A oprócz meczetów niewiele było w przestrzeni publicznej pomieszczeń do modlitwy. Jeśli jakimś cudem umieszczono je, dajmy na to, w centrum konferencyjnym, znajdowały się w podziemiach. – Melek aż się wzdryga. Dziś pokoiki są przyjemne i schludne, ukryte nie w podziemiach, ale za zwykłymi drzwiami w centrach handlowych, na dworcach, lotniskach.

W pamięci utkwiła jej także boleść jej dziadka.

– Służył w armii. Kiedy w wojskowej łazience dokonał ablucji, nakazanego w islamie obmycia przed modlitwą, zakazano mu z niej korzystać, a jego imię i nazwisko zostały wypisane na ścianie. Ten stygmat już z nim pozostał.

Nie potrafi też zapomnieć peruk, choć były raczej incydentami, a nie normą. Niektóre studentki przychodziły w nich na uczelnie, buntując się przeciwko zakazowi noszenia chust na uniwersytetach, który wprowadzono w 1997 roku, jako postscriptum do zakazu obowiązującego już w instytucjach państwowych.

– Chusty po prostu zdzierano im z głów. Na oczach wszystkich. Przychodziły więc w perukach, rzadziej czapkach. I te im zdzierano – opowiada Melek z przejęciem, widać, że całym sercem jest po ich stronie. Nie wspomina, że były i muzułmanki cieszące się z zakazu, najczęściej te, którym chustę narzuciły rodziny. – Upokarzano też matki. Jak? Opowiem ci jedną z tych historii, które nazywamy pamięcią kolektywną. Nie musiałaś być jej świadkiem, by stała się twoim wspomnieniem. Wyobraź sobie matkę, której córka kończy uniwersytet z najwyższym wynikiem, jest najlepsza, z setek studentów właśnie ona! Córka kobiety, która sama nie ma wykształcenia, ani wielkich marzeń, zajmuje się domem i nie opuszcza swojej wioski. Matka zostawia więc ten swój dom i swoją wioskę, podenerwowana i szczęśliwa zarazem wsiada w autobus. Po osiemnastu godzinach dociera do Stambułu, by uczestniczyć w ceremonii wręczenia dyplomów. Jednak przy wejściu na uniwersytet zatrzymuje ją ochrona. „Ma pani na głowie hidżab. W hidżabie nie wolno”. Co robi więc matka? Wraz z synem idzie stanąć za płotem uniwersytetu. Najdumniejsza ze wszystkich matek, ta, która powinna siedzieć w pierwszym rzędzie pod sceną, by nie przegapić żadnej z łez wzruszenia córki, widzi tylko plecy setek rodziców innych studentów. Prosi syna, by ją podsadził. Tak właśnie ogląda ceremonię. Podtrzymywana pod pachy, wisi w powietrzu i obija nogami o płot.

Ten koszmar zaczynał się zresztą już wcześniej, w szkołach niższego szczebla. Uczniowie powyżej piętnastego roku życia mogli wybrać szkoły typu *imam-hatip*, które w swoim programie miały także edukację religijną. Musieli jednak liczyć się z tym, że przystępując do egzaminów na studia, będą mieli odjęte z tego tytułu punkty. Najlepsze uniwersytety i prestiżowe kierunki były poza ich zasięgiem. Na tych, na które się dostali, wielu wykładowców odejmowało im później punkty z kolokwiów.

Tutaj Melek swoją opowieść przerywa. Ma rację. I tak już za długo czekałyśmy. Mężczyzna przy stoliku obok niby czyta książkę, ale tak naprawdę nas podsłuchuje. Kiedy idę zapłacić, podchodzi do Melek i wypytuje ją, czy zdaje sobie sprawę z tego, że nie powinna ze mną

rozmawiać, i czy wie, kim naprawdę jestem. Ale Melek akurat wie, co robi. Jej prawdziwe imię pochodzi z arabskiego, jednym z jego znaczeń jest „ta, która inspiruje”. Idealnie ją opisuje: jest pewna siebie, nie waha się mówić, co myśli, i śmiało wytycza granice, również w naszej rozmowie: żadnego dyktafonu ani zbyt wielu osobistych pytań, niech czytelnicy skupią się na faktach dotyczących jej kraju.

Przenosimy się do innej kawiarni. Melek wraca do urwanej myśli.

Jedynym sposobem, by uniknąć upokorzeń, był wyjazd na studia za granicę. Sam Erdoğan wysłał swoje córki, Sümeyye i Esrę, do USA. Melek wyjechała do Dubaju. Kontaktu z krajem jednak nie straciła. Co roku wracała na wakacje do Turcji, więc wiedziała, co czują ci o konserwatywnych poglądach. Niektórzy lęk, inni pewność, że konsekwencje ich przekonań będą ich prześladować na zawsze. Aż władzę objęło AKP.

Zmian nie wprowadzono od razu. O tym akurat Melek mówić nie musi. Wiadomo, że Erdoğan był świadomy tego, że wszyscy, a już na pewno armia, bacznie go obserwują. Pamiętali wiersz, który publicznie zacytował w 1997 roku. „Meczety są naszymi koszarami. Minarety są naszymi bagnetami. Kopuły są naszymi hełmami. Wierni są naszymi żołnierzami” – za te słowa skazano go na dziesięć miesięcy więzienia. Na mocy amnestii wyszedł po czterech i najwidoczniej wyciągnął z tej lekcji wnioski. Kiedy w 2001 roku założył AKP, nie mówił zbyt wiele o religii, a pierwsze lata rządów poświęcił na liberalne reformy podyktowane przez Unię Europejską.

Uniwersytecki zakaz hidżabu AKP zniosła dopiero w 2010 roku, po ośmiu latach władzy. Dwa lata później zreformowała system szkolnictwa. Obowiązkową edukację wydłużyła z ośmiu do dwunastu lat, dzieląc ją na trzy czteroletnie okresy. Rodzice mogli wysłać swoje dzieci do szkół typu *imam-hatip* już po upływie pierwszego. W następnym roku zniesiono zakaz hidżabu w instytucjach publicznych.

Zachód zaczął wtedy mówić o islamizacji. Według Melek był to powrót do normalności, co uzasadnia kolejnym wspomnieniem: lincz w tureckim

parlamencie w 1999 roku – wypowiada to tak, jakby spotkał ją samą. Dotknął jednak inną kobietę, Merve Kavakçı. Melek oglądała ją na ekranie telewizora. Posłanka islamistycznej FP[4] przeszła przez salę plenarną pewnym krokiem, wyprostowana jak struna. A sala już drżała. Gardła posłów krzyczały, ich dłonie waliły w poselskie pulpity, układały się w gesty, gwałtowne i wypraszające, inne biły brawo. Merve usiadła na swoim miejscu i z podniesioną wysoko głową czekała, aż się uspokoją. Zamierzała złożyć przysięgę poselską. W chuście. Gardła jednak były coraz głośniejsze, buczały i wyły, a dłonie zbliżały się do Merve, wymachiwały jej przed nosem, aż chwyciły ją za ramiona i wyprowadziły ją i tę jej chustę z parlamentu. By nie próbowała wracać, pozbawiono ją mandatu i obywatelstwa. Merve wyjechała do USA, gdzie szybko zdobyła uznanie jako publicystka i pisarka broniąca praw muzułmanek. I mimo że znalazła się na liście pięciuset najbardziej wpływowych muzułmanów, gościła ze swoimi wykładami między innymi w brytyjskiej Izbie Lordów, na Uniwersytecie Harvarda i Yale, a Kongres uczynił ją swoją konsultantką w sprawach świata muzułmańskiego – w Turcji była nikim.

Zmieniła to partia Erdoğana. Po wyborach w 2015 roku poselskie przysięgi z zakrytymi głowami złożyło dwadzieścia jeden posłanek. Wśród nich Ravza Kavakçı Kan, siostra Merve. Na głowie miała ten sam hidżab, który szesnaście lat wcześniej zmusił jej siostrę do opuszczenia parlamentu. Sama zaś Merve nie tylko odzyskała obywatelstwo, ale została mianowana ambasadorką Turcji w Malezji.

Melek po skończeniu studiów wróciła do Turcji. Z roku na rok oddycha tu coraz swobodniej. Od niedawna również i latem, bo kolejne miejscowości i kurorty otwierają plaże tylko dla kobiet. Mężczyźni nie mają na nie wstępu, konserwatywne muzułmanki mogą się odkryć, a nawet rozebrać do naga. Jeśli jednak chcą pozostać zakryte, nie brakuje miejsc, gdzie mogą kupić burkini, zakrywające całe ciało stroje kąpielowe. W Stambule specjalnie z myślą o nich otwarto nawet Zeruj Port, centrum handlowe dla kobiet. Mężczyźni mogą tu wejść, ale działów męskich nie znajdą. W asortymencie nie ma żadnych szortów ani bluzek na ramiączkach, tylko

długie spódnice, płaszcze i suknie do ziemi oraz paleta hidżabów. Galeryjna muzyka pięć razy dziennie cichnie, by ustąpić miejsca płynącemu z zamontowanych na dachu głośników ezanowi. Na ceremonii otwarcia wśród kilkunastu osób przecinających czerwoną wstęgę złośliwi doliczyli się jedynie dwóch kobiet.

– Wciąż wiele jest do zrobienia – komentuje to Melek. – Stereotyp kobiety w chuście nadal ma się świetnie. To bez znaczenia, jakie masz kwalifikacje, ile zdobyłaś tytułów naukowych, ile znasz języków. Hidżab to wszystko przykrywa. W większości firm nie znajdziesz w zarządzie kobiety w chuście. Te, którym się udało, podejrzewane są, że osiągnęły sukces dzięki powiązaniom z AKP. Odczułam to na własnej skórze. – Nie chce wchodzić w szczegóły, uzasadnia, że narracja ofiary do niej nie pasuje. Pracuje jako wolny strzelec, realizuje projekty biznesowe. Hidżab to dla niej przede wszystkim symbol wolności i feminizmu. – Pozwala mi stawiać granice i daje poczucie bezpieczeństwa. Dzięki niemu nie jestem przyciągającym męskie spojrzenia obiektem, ale szanowaną i pełną godności kobietą – mówi.

To dlatego w noc nieudanego puczu Melek wyszła na ulicę jeszcze przed apelem Erdoğana, kiedy tylko zrozumiała, że wojsko próbuje obalić rząd. Jej mama i siostra postanowiły tej nocy zatrzymać czołgi własnymi ciałami. Melek ledwo je dogoniła, złapała za ręce i uczepiła się ich całym ciężarem ciała, powstrzymała je siłą. Ale w głębi serca doskonale rozumiała, dlaczego wolały zginąć, niż wrócić do czasów, w których hidżab oznaczał brak oddechu.

[3] Partia Ojczyźniana, Anavatan Partisi.

[4] Partia Cnoty, Fazilet Partisi, zdelegalizowana w 2001 roku przez Trybunał Konstytucyjny.

Głód

Ich kamizelki widać z daleka. Czerwone, z żółtymi napisami, podobne do tych, które noszą drogowcy, tyle że bez odblasków. Litery układają się w żądanie: *İşimi geri istiyorum*, Chcę wrócić do pracy. Siedzą na murku na Kızılayu, w centrum Ankary. Czekają. Kiedy wskazówki zegara pokażą pełną godzinę, wstają. Rozwijają transparent, wychodzą na środek chodnika, w krążących między knajpami ludzi. Ledwo otworzą usta, już otacza ich grupa gapiów. Ostry głos megafonu – rozejść się, rozejść! I jak się nie rzucą! Najpierw na plakaty, potem na nich samych. Każdy wie, kogo i jak ma złapać. To policjanci w cywilu. Scenę zdążył już otoczyć kordon ich umundurowanych kolegów. Torują sobie drogę tarczami, napierają do przodu, by nikt nie mógł się zbliżyć ani zrobić zdjęć. Patrzę, jak wciągają protestujących do nieoznakowanej furgonetki. Drzwi się zatrzaskują, samochód odjeżdża.

Sięgam po telefon i wchodzę na Facebooka, żeby zobaczyć, co dzieje się w aucie. Trzydziestosześcioletnia Gulnaz trochę rozmazuje się w kadrze. Furgonetka jedzie przez miasto, przyspiesza, zwalnia, hamuje. Nad głową kobiety na ciemnoszarej ścianie auta można dostrzec biały, starannie wykonany napis: *İşkence yapmak şerefsizliktir*. Trzeba nie mieć honoru, by torturować ludzi. Wypisała go Nazan, jej siostra, która siedzi teraz naprzeciwko i robi relację na żywo.

Nazan sama bywała główną bohaterką takich relacji. Widziałam te zdjęcia. Pierwsze: oczy zamknięte, lewa powieka krwawi, lewy policzek krwawi, czerwona strużka spływa aż do brody. Drugie: krwi już nie ma, ale oko spuchnięte, od strony wewnętrznego kącika całe czarne. Trzecie: Nazan siedzi na szpitalnym wózku inwalidzkim, czeka na tomografię. Obok niej koleżanka, obie robią znak „V”. *Kazanacağız,* wygramy. A potem operacja,

rekonstrukcja zmiażdżonych kości twarzy. Teraz nie ma po tym śladu, Nazan cała uśmiechnięta.

Jasnowłosa Gulnaz też miała okazję poznać policjanta, który wymierzył Nazan cios w twarz. Ta sama ręka chwyciła jej długie do pasa włosy, owinęła je wokół palców i zaczęła szarpać. Z taką siłą, że część pukli w pięści już została. Pozwały tego policjanta, czekają na proces.

Teraz obie jadą nieoznakowanym radiowozem na komisariat.

Po południu wszyscy są już wolni, znowu na murku, możemy porozmawiać. Ale droga do ich opowieści jest zawiła. Ileż oni zadają mi pytań! Jakby role się odwróciły, już nie wiem, kto tu jest reporterem. Jeszcze nie tak dawno w Turcji do ludzi po prostu się zagadywało i opowieści toczyły się same. Teraz tureccy znajomi na hasło „wywiad" cofają swoje zaproszenia, a znani mi eksperci rzucają zalęknione „nie dzwoń więcej".

Co konkretnie zamierzam pisać, a o czym jeszcze, na jak długo przyjechałam, gdzie się zatrzymałam, dokąd pojadę później – niby tłumaczę się tak codziennie, a jednak Gulnaz odciąga mnie od najbardziej ciekawskiej kobiety.

– Nie rozmawiaj z nią. Przyjeżdża, siada z nami, solidaryzuje się, spoufala, ale do protestu jeszcze nigdy nie wstała. Nie wiemy, kto to jest. Sądzimy, że agentka – ostrzega.

Zaraz znów znajdą się w furgonetce, więc szybko umawiam się z nimi na następny dzień.

*

Spotykamy się w pobliskiej siedzibie KESK, Konfederacji Związków Zawodowych Pracowników Publicznych. Tutaj mają swoje zaplecze – aneks kuchenny i salę, gdzie mogą usiąść, odpocząć i obgadać protesty. Przychodzą całą grupą. Siadamy i wracamy do czasu, kiedy to wszystko się zaczęło.

Był listopad 2016 roku, w Ankarze niby wciąż słonecznie, a jednak przeszywający wiatr kazał już Turkom kulić się i chować głowy w kołnierzach. Dopiero co przedłużyli stan wyjątkowy – po raz pierwszy.

Nuriye stała na Kızılayu. Trzydzieści pięć lat, szczupła sylwetka, krótkie, ciemnorude włosy, zaczesana na bok grzywka przewiązana kolorową bandanką. Szeroki uśmiech zmieniał jej oczy w figlarne półksiężyce. Nawet kiedy później przesłoniła go białą maseczką chirurgiczną, te półksiężyce zdradzały, że uśmiech wciąż tam jest. Na brystolu koślawymi literami napisała markerem: „Zostałam wyrzucona z pracy. Żądam przywrócenia". Transparent rozwinęła przed pomnikiem kobiety czytającej położoną na kolanach książkę. Nuriye trzymała swój manifest tak, aby przechodnie dobrze go widzieli. Ale ich oczy szybko od niej uciekały. Demonstrować w czasie stanu wyjątkowego? Trzeba upaść na głowę, wiadomo, że zainterweniuje policja.

Policjanci działali sprawnie, raz, dwa i Nuriye patrzyła przez okno radiowozu na wyrzeźbiony na stronicach książki tytuł, *Powszechna deklaracja praw człowieka*. Napis stawał się mniejszy i mniejszy, aż zniknął zupełnie.

Nuriye wróciła do domu z mandatem. Nazajutrz znów poszła ze swoim transparentem pod pomnik. Po kilku godzinach ponownie trafiła do radiowozu, nieco bardziej obolała niż poprzedniego dnia. Z komisariatu wyszła z kolejnym mandatem. Rano znów stanęła pod pomnikiem. Schemat powtarzał się codziennie.

Po dwóch tygodniach dołączył do niej Semih. Nieco pucołowaty, dwudziestoośmioletni brunet miał już postępujące zakola, które rekompensował bujnym wąsem. Jego wąskie oczy patrzyły przez okulary z dużymi szkłami. Dodawałyby mu powagi, gdyby nie to, że i on nie przestawał się uśmiechać. On też przyniósł transparent, oklejony taśmą na wypadek deszczu. Od tej pory każdego ranka razem zjawiali się pod pomnikiem. Razem też zabierali ich policjanci.

Ona jeszcze do niedawna wykładała literaturę na jednym z uniwersytetów, on uczył w szkole podstawowej. KHK – i wszystko

prysło. Trzy złowrogie litery, skrót od *Kanun Hükmünde Kararname*, dekretu z mocą ustawy, stosowanego w czasie stanu wyjątkowego do zamykania instytucji powiązanych z ruchem Fetullaha Gülena oraz usuwania ze stanowisk powiązanych z nim osób. W praktyce wykorzystywany był także do pozbywania się osób podejrzewanych o związki z kurdyjskimi nacjonalistami i radykalną lewicą. Takich jak Nuriye Gülmen i Semih Özakça, którzy swoich lewicowych poglądów nie kryli, ale rzekomym powiązaniom z Gülenem przeczyli. Próżny trud i zapierania, nazwisko na KHK jest jak wyrok, od którego nie ma odwołania. Proces apelacji jest iluzoryczny. Tylko garstka ludzi odzyskała stanowiska.

Nikt nie mógł przypuszczać, że Nuriye i Semih będą pierwszymi kostkami domina, w którym każda kolejna osoba poruszać będzie następną.

Acun Karadağ uczyła nauk społecznych w jednej z ankarskich szkół średnich. Okulary w okrągłych oprawkach, ścięte na kilka centymetrów włosy oraz energiczne, a zarazem pełne łagodności ruchy – wszystko w niej wyrażało spokój i stanowczość. Po zwolnieniu jak gdyby nigdy nic przyszła do pracy, ale do budynku nie weszła. Rozwinęła transparent i zaczęła jednoosobową demonstrację, z której uczyniła codzienną praktykę, przerywaną jedynie policyjnymi interwencjami. W czasie jednego z protestów Acun zasłabła. Serce. Konieczna była operacja. Po niej Acun potrzebowała czasu, by dojść do siebie. Stanęła na nogi mniej więcej wtedy, kiedy Semih przysiadł się do Nuriye. Acun z rozrusznikiem w sercu przyjechała pod Pomnik Praw Człowieka.

Zjawił się tam i Veli Saçılık, lekko siwiejący socjolog tuż po czterdziestce, zazwyczaj w koszulce polo. Były urzędnik, w ministerstwie polityki społecznej zajmował się sprawami osób z niepełnosprawnościami. Twierdzi, że KHK spadło na niego, bo zamiast członkostwa w AKP wybrał działalność w lewicowym związku zawodowym.

Następny pojawił się Mehmet Dersulu, nauczyciel z Adany, choć on przychodził tylko w weekendy. Gdyby nie okazał wsparcia przyjaciołom, nie potrafiłby spojrzeć w lustro. Sam pracę miał, ale wiedział, że długo to

nie potrwa, skoro zdecydował się tu przyjeżdżać. Nie mylił się, po trzech miesiącach był już bezrobotny.

Potem przyszła Nazan Bozkurt, ta, której będą rekonstruować kość pod okiem. Dołączyła, kiedy KHK zatrzasnęło jej przed nosem okienko, zza którego wydawała Turkom dowody osobiste. Zupełnie nie przejmowała się tym, że nie zna nikogo z protestujących.

Ich manifestację dokumentowała jej siostra, Gulnaz. Towarzyszyła im, kiedy miała wolne. Jej blond włosy rzucają się w oczy. Policjanci rozpoznali je natychmiast, kiedy tylko mignęły im na szpitalnej stołówce, gdzie jedli bezpłatne posiłki. Na Gulnaz wpłynął donos. Jeden, drugi. Po trzecim usłyszała od dyrekcji szpitala, że redukują zespół. A że na jej miejsce z marszu przyjęto innego pracownika, Gulnaz na odchodne wycedziła przez zęby, że wie, z jakiego powodu ją zwolnili, i jest z tego dumna. Odtąd pojawiała się pod pomnikiem codziennie.

Potem z pracy wyrzucili Esrę, żonę Semiha, dwudziestoośmioletnią nauczycielkę z urodą tak delikatną, że wygląda bardziej na uczennicę. Dołączyła do protestu.

Kontakt ze sobą złapali momentalnie, bo i podobnie patrzyli na świat. Ktoś czytał Pabla Nerudę, ktoś skrycie – ktoś otwarcie – marzył o socjalizmie. Razem dzień w dzień domagali się przywrócenia do pracy. Policja niespodziewanie im na to pozwoliła. Bez słowa wyjaśnienia zaprzestała codziennych zatrzymań, jedynie okazjonalnie zaznaczając swoją obecność. Może sądzili, że się zmęczą i sami zrezygnują?

Zmęczenia jeszcze długo nic nie zdradzało. Nie było go widać, kiedy co rano zmieniali białe kartki z cyframi odliczającymi dni ich protestu, nie było go widać, kiedy w końcu wypisali liczbę 100. Świętowali tę setkę. Stanęli w rzędzie, ramię przy ramieniu, rozpromienieni, że wytrwali tak długo. Z małych palców zrobili haczyki, sczepili dłonie, ciała delikatnie pochylili do przodu i już – noga w przód, w tył i w prawo, cały rząd ruszył, uformował krąg, coraz szybciej, skoczniej, weselej, głośniej, pięta, palce, ręce w górę! *Halay*, tradycyjny anatolijski taniec, uwielbia radość, najczęściej tańczony jest na weselach.

Kiedy przyjechała policja, ani myśleli się rozejść, nawet nie zareagowali. Zabawę zakończył dopiero gaz łzawiący.

Trzy tygodnie później kolejne wielkie święto. Zaplanowali to tak: na *akşam sofrası*, uroczystą kolację, zniosą najsłodsze potrawy, takie, co rozpływają się w ustach i pozostawiają uczucie błogości. Rozłożą na ziemi obrusy. Każdy przechodzień będzie mógł się przysiąść, skosztować, pogadać. Uczta odbędzie się 11 maja, specjalnie dla Nuriye i Semiha. Wtedy też dwójka akademików, którzy puścili w ruch machinę protestu, publicznie ogłosi swoją decyzję: idą o krok dalej. Rozpoczną protest głodowy.

Dwa dni przed planowaną kolacją Nuriye i Semih zostali zatrzymani. Nie wrócili na noc do domów.

Pod pomnikiem poruszenie, mobilizacja, gniew. Powstał grafik, by zawsze ktoś tam był. Za dnia śpiewali piosenki, nocą palili świece. Nuriye i Semih rozpoczęli głodówkę w areszcie. Kiedy po pięciu dniach zostali zwolnieni, z niesłabnącym uporem i słabnącymi ciałami wrócili pod pomnik. Przyjmowali tylko płyny: herbaty ziołowe, wodę – z cukrem, solą i cytryną – oraz witaminę B, by kiedyś móc to wszystko wspominać. W Turcji niejednemu głodującemu brak tiaminy na zawsze odebrał pamięć, a niektórym wraz z pamięcią i życie. Lekarze nazywają to zespołem Wernickiego-Korsakowa.

Kilka dni głodówki przerodziło się w kilkanaście. Pojawiły się demonstracje poparcia, solidarnościowe głodówki i banery z podobiznami Nuriye i Semiha. Największy rozwinęli ultrasi Çarsı na meczu Beşiktaşu (za co później postawiono im zarzuty propagandy terrorystycznej). Wyrazy wsparcia zaczęły spływać też z zagranicy. CNN uznało Nuriye za jedną z ośmiu najważniejszych kobiet 2016 roku. Politycy próbowali to bagatelizować. Opowiadali, że kiedy Nuriye i Semih wracają wieczorem do domów, podjadają, oszukują.

Kilkanaście dni zamieniło się w kilkadziesiąt. Twarz Nuriye stała się nienaturalnie pociągła i szara, cienie pod oczami zataczały coraz większe kręgi. Rysy Semiha zupełnie złagodniały, wąs opadł, z postawnego,

emanującego siłą mężczyzny, zmienił się w postać drobną i kruchą. Ale im było ich mniej, tym więcej ludzi przychodziło na aleję Yüksel.

Tuż przed świtem siedemdziesiątego piątego dnia głodówki Nuriye i Semiha ze snu wyrwał huk wyważanych drzwi. Gdy policjanci wywlekali ich z łóżek, pomnik zaczytanej w prawa człowieka kobiety był otaczany barierkami, by nikt już nie organizował w jej towarzystwie żadnych manifestacji.

*

Na pytanie, co było dalej, Veli, socjolog w koszulce polo, wyjmuje telefon. W skupieniu ściąga brwi, porusza wąsem. Znalazł. Pokazuje zdjęcia. Na pierwszym strasznie go szarpią, on, zgięty wpół, stara się zapierać. Jeden z rękawów szarego rozpinanego swetra telepie się, przeszkadza. W środku nie ma ręki, został tylko kikut. Dla policjantów to kłopot, za uciętą w połowie ramienia rękę nie ma jak złapać.

Na kolejnym Veli pokazuje ślady po gumowych kulach, czerwone i opuchnięte. Pokrywają mu całe plecy. Te ujęcia widziałam już wcześniej, debatowano o nich nawet w parlamencie. „Jak wyjaśnicie tak jawne łamanie praw człowieka?” – grzmiała z mównicy posłanka opozycji Zeynep Atınok.

Turcja dobrze zna Veliego. Rękę stracił w lipcu 2000 roku, w więzieniu, do którego trafił – niesłusznie, co przyznano dopiero po latach – za udział w demonstracjach skrajnej lewicy. W czasie odsiadki wraz z dziesięcioma innymi więźniami odmówił stawienia się na sądowe przesłuchanie. Trzy miesiące wcześniej – uzasadniali więźniowie – w drodze powrotnej z pierwszego przesłuchania eskortujący ich strażnicy dotkliwie ich pobili. Nie chcieli znów oberwać, więc zabarykadowali się w celi. Następnego ranka przed więziennym murem stanęło czterystu piętnastu funkcjonariuszy oraz buldożer. Maszyna rozbiła mur, ale na widok Veliego się nie zatrzymała. Veli został bez ręki. Nawet nie próbowali mu jej przyszyć,

wyrzucili do kontenera na śmieci. Znalazła się potem w pysku bezdomnego psa.

Z Velim rozmawiam dzień wcześniej niż z resztą protestujących, w jednej z kawiarni na Kızılayu.

– Pod Pomnikiem Praw Człowieka nie walczyliśmy o posady, ale o przestrzeganie prawa. Przynieśliśmy prosty postulat: niech osądzi nas niezależny sąd. Skaże lub przywróci do pracy – opowiada.

Kiedy zatrzymali Nuriye i Semiha, Esra, żona Semiha, oraz Sultan, jego matka, rozpoczęły strajk głodowy, a pozostali zaczęli przenosić swoją demonstrację z miejsca na miejsce. A to kilkadziesiąt metrów w tę, a to kilkaset w tamtą, bo przysłane na miejsce posiłki oraz barierki wokół wykutej w brązie kobiety blokowały im do niej dostęp. Być może już wtedy założono, że barierki zostaną z nią na dłużej, bo wybrano najpraktyczniejsze, rozkładane jak harmonijka, dzięki czemu celę wyrzeźbionej zakładniczki można było dowolnie zwiększać lub zmniejszać. Nie przewidziano jednak, że mają poważną wadę – pomiędzy szczebelki idealnie wkładało się kwiaty. Mieściły się też liściki. Większość jednozdaniowa: „Wolność to jedyna droga”, „Ta blokada też przeminie”, „Wiosny nie zablokujecie”.

Był maj, wiosny rzeczywiście zablokować się nie dało, ale tę kwiatową pocztę już tak. Policja odcięła aleję Yüksel, a w razie potrzeby odcinała i przylegające do niej uliczki. Zdezorientowani mieszkańcy stolicy kluczyli pomiędzy nimi, niepewni, którędy dostać się do własnych domów. Knajpy, bary i restauracje otwierane były co rano, ale skoro ulice odcięte, to świeciły pustkami, nikt nie mógł do nich dotrzeć. Ich właściciele zasypali burmistrza Ankary skargami i znieśli restauracyjne stoliki pod policyjne barierki. Demonstracyjnie grali przy nich w *tavle*, tryktraka, popularną grę planszową. Po tygodniu mogli odtrąbić sukces. Blokada została cofnięta, stoliki wróciły na miejsce.

Nuriye i Semih czekali w więzieniu na proces. Ciążyły na nich zarzuty członkostwa w organizacji terrorystycznej oraz propagandy na jej rzecz. Nic niezwykłego, takie oskarżenia dostaje niemal każdy, kto ląduje za

kratami w Nowej Turcji. Ile prawdy jest w opiniach, że rzeczywistym powodem ich zatrzymania był strach, że zagłodzą się na śmierć, a to spowoduje antyrządowy zamęt? Więzienni lekarze mieli czuwać, by żyli.

Oboje stracili już ostrość widzenia i regularność rytmu serca. Raziło ich światło, choć już nie tak boleśnie, bo do cel wpadało go niewiele. Męczyły biegunki, bóle mięśni, nerek, a czasem całego ciała, jakby rozpadało się komórka po komórce. Oddechy stały się ciężkie, płuca łapały je z trudem. Nuriye musiała włożyć kołnierz ortopedyczny, bez niego nie była w stanie siedzieć. Chodzić nie mogła już od dawna, poruszała się na wózku inwalidzkim. Coraz trudniej było jej utrzymać otwarte oczy, głowa ciążyła, świadomość dopadało zmęczenie. Szarość więziennych ścian rozmazywała się, odpływała. Dopadały mdłości, w uszach szumiało jak na pełnym morzu. Palce dłoni się wydłużyły, skóra między paliczkami zapadła. Wyostrzyły się krawędzi kości, zwłaszcza przegubów rąk, jakby chciały przeciąć skórę i wydostać się na zewnątrz.

Strażnicy wchodzili nocami do ich cel. Stawali przy pryczach i obserwowali, czy ich piersi wciąż się poruszają. Nuriye musieli budzić. Nie umieli ocenić, czy nadal żyje.

*

– Jak skała. Gdy tylko dostrzeżesz w sobie pierwszą myśl o podjęciu głodówki, już wtedy musisz być jak skała, której nic nie skruszy. Bo być może będziesz musiał przejść przez piekło. Nie wiesz, na jak długo cię ono pochłonie, ani czy wyjdziesz z niego żywy. – Głos Mahira Kılıça brzmi, jakby wpadał do studni. Czarna broda, czarne oczy i głębia głosu to wrażenie jeszcze potęgują. On też jest częścią *Yüksel Direniş¸* jak przyjęło się określać ich protest. Wypytuję ich, jak to się wszystko toczyło. Razem sobie to przypominają, razem się w tym gubią. W kwestii głodu Mahir się nie gubi, jego ciało dobrze go pamięta. – Nuriye tłumaczyła swojemu umęczonemu ciału: „Potem ci to wynagrodzę. Tylko przetrwaj, proszę.

Przeżyj, a niedługo znów się tobą zajmę”. To samo swojemu ciału mówiłem i ja. – Poziome bruzdy na jego czole jeszcze się pogłębiają.

Protestował w Izmirze, uznawanym za najbardziej liberalne z tureckich miast, a zarazem bastion opozycyjnej CHP. Jego to ona, a nie AKP, pozbawiła pracy. – Z urzędu miasta, rządzonego przez CHP, wyrzucono dwieście pięćdziesiąt siedem osób, ja byłem ostatni – wspomina Mahir. Miesiąc później, kiedy wszystko już zawiodło, pod tym samym urzędem rozpoczął głodówkę. Prowadził ją przez siedemdziesiąt osiem długich dni, które nic nie zmieniły. Czy to rozpacz, czy chłodna kalkulacja pchnęły go do Ankary, pod główną siedzibę CHP? Czasami przychodził i na aleję Yüksel. – Tu zobaczyłem, że mój głód jest dla rządzących prezentem. Protest wymierzony w opozycję? Proszę bardzo, żaden policjant nie przeszkodzi. Protest wymierzony w rząd? Tylko się waż. – Bruzdy na czole znów chodzą niespokojnie.

Był skałą przez sto osiemdziesiąt cztery dni. Przerwał protest, kiedy otrzymał pismo z obietnicą przywrócenia na stanowisko. Chyba przesłali je ze względu na wybory – tak myśli. Przywrócenia jak nie było, tak nie ma.

Mimo że głód zna od podszewki, nie chce opowiadać, jak zmieniał mu ciało, jak wnikał mu w duszę. Co będziemy gadać o nim samym, to bez znaczenia, co się z nim działo. Mówmy o rzeczach ważnych, o ich wspólnej walce, której stał się częścią, której częścią są Nuriye i Semih, której częścią są wszyscy tu siedzący. Tak właśnie się z nimi rozmawia. Jakby ich samych tu nie było, jakby była tylko walka.

Nie oni ją rozpoczęli. Są jedynie jej kontynuatorami, kolejną falą sztormu, który zaczął się ponad trzydzieści lat wcześniej w tureckich więzieniach. Po zamachu stanu w 1980 roku zapełniły się one więźniami politycznymi, nierzadko wtrącanymi do nich nawet bez sporządzenia aktów oskarżenia. Skupieni w celach liczących do stu osób, nasiąkali w nich radykalizmem. Kiedy po latach wychodzili na wolność, wielu z nich dołączało do organizacji skrajnej lewicy. W odpowiedzi turecki rząd rozpoczął reformę więziennictwa. Kilkudziesięcioosobowe cele miały zostać zastąpione małymi, od jednej do trzech osób, by ograniczyć

więźniom możliwość wzajemnego kontaktu i zapobiec indoktrynacji. Osadzeni odczytali to jednoznacznie – w małych celach nadużyciom i torturom nie będzie końca, a izolacja sprawi, że zostaną zapomniani. Im mniej osób o nich wie, im mniej się o nich upomina, tym większe ryzyko, że spędzą za kratami resztę swoich dni.

Ich sprzeciw był daremny. Pierwsze pilotażowe więzienie nowego typu otwarto na początku 1991 roku w Eskişehir. Transfer więźniów na szeroką skalę planowano rozpocząć pięć lat później. Osadzeni zdecydowali się na protest głodowy. Jeśli to konieczne, aż do śmierci. Nie blefowali. Dwunastu z nich zmarło. Inaugurację nowego systemu odroczono.

Cztery lata później Turcja nowych zakładów karnych miała już wiele, a władze w Ankarze zapowiedziały, że na jesieni 2001 roku zacznie działać pierwsze więzienie typu F – o zaostrzonym rygorze i pełne izolatek. Wtedy głodówkę podjęło dwustu pięciu więźniów zrzeszonych w organizacjach radykalnej lewicy.

Nie zamierzali ustępować. Rząd też nie, więc negocjacje szybko się załamały. W grudniu 2000 roku do dwudziestu więzień w całym kraju wkroczyło dziesięć tysięcy policjantów. Mieli zapobiec śmierci głodowej osadzonych. Stąd i nazwa operacji: *Hayata Dönüş Operasyonu*, Powrót do Życia. W jej wyniku zginęło trzydziestu więźniów i dwóch funkcjonariuszy, a protest głodowy rozszerzył się poza zakłady karne. W okolicy Küçük Armutlu w Stambule protestujący zamienili kilka domostw w domy oporu. Głodujący – część z nich stanowili byli więźniowie, kontynuujący swój protest na wolności – mogli w nich liczyć na opiekę i wsparcie kolegów w trwającej miesiącami agonii. Czerpali z doświadczeń swoich poprzedników z 1996 roku. Dzięki nim wiedzieli, ile przyjmować soli, ile cukru, a ile wody, by jak najbardziej opóźnić śmierć. Policja wkroczyła zlikwidować domy oporu w listopadzie 2001 roku, po śmierci czterdziestego drugiego protestującego.

Nowe więzienia, w tym również te typu F, zapełniono więźniami zaraz po zakończeniu operacji Powrót do Życia. W proteście na śmierć zagłodziły

się sto dwadzieścia dwie osoby. A głód na dobre stał się orężem radykalnej lewicy.

*

„Apelujemy, by państwo podjęło niezbędne kroki, by mogli wrócić do nauczania, a ich życie trwało dalej. Tego wymaga sprawiedliwość i demokracja". Na sto jedenasty dzień głodówki Nuriye i Semiha stu jedenastu tureckich intelektualistów – sławy takie, jak pisarze Ayşe Kulin, Ahmet Ümit i Aslı Erdoğan – podpisało apel opublikowany w gazetach „Hürriyet", „Cumhuriyet", „Evrensel" i „BirGün". Tytuł dano w trybie rozkazującym: *Nuriye i Semih ölmesin*, Niech Nuriye i Semih nie umierają.

Co sobie myśleli o sprawiedliwości i demokracji, kiedy dwa dni przed rozpoczęciem rozprawy zatrzymano adwokatów mających ich bronić?

– Prawnikom postawiono zarzuty członkostwa w organizacji terrorystycznej. Jeśli rządzący myśleli, że nikt już nie znajdzie w sobie odwagi bronić Nuriye i Semiha, to następny dzień musiał być dla nich jak spotkanie z hydrą. – Nazan każde kolejne zdanie wypowiada głośniej i szybciej. – Zgłosiło się dwustu pięćdziesięciu adwokatów, a jeszcze więcej osób szykowało się na demonstrację poparcia. Rozprawę przeniesiono więc z centrum Ankary do więzienia Sincan, w którym przebywali. Ci, którzy postanowili tam pojechać, byli wyłapywani po drodze, zatrzymywano autobusy z protestującymi. Nielicznych, którzy zdołali dotrzeć na miejsce, powitały armatki wodne. Ostatecznie Nuriye i Semiha broniło około trzydziestu adwokatów. Wśród stłoczonych w malutkim salonie w Sincan nie było ani Nuriye, ani Semiha.

Zarządzono, że będą zeznawać na odległość, za pośrednictwem wideokonferencji, znanej w Turcji pod akronimem SEGBİS. Nie chcieli się na to zgodzić, domagali się zeznań przed obliczem sądu. Wideokonferencje słyną z „usterek technicznych". Połączenie przerywa, albo nie łączy się wcale, odbiera prawo do obrony. Poza tym odcina od poparcia tłumów, które przychodzą na rozprawy i wlewają w oskarżonych energię i wiarę.

W ich przypadku ekran pokazujący tylko twarze spełni jeszcze jedną funkcję. Pozwoli ukryć, w jak strasznym są stanie – uważali. Nuriye przypominała już szkielet. Kiedy dwa tygodnie później, dwieście drugiego dnia protestu głodowego, tuż przed kolejnym przesłuchaniem przymusowo przewożono opierającą się Nuriye do szpitala, wszyscy musieli zachodzić w głowę, skąd w tym przygasłym, umęczonym życiu wciąż jest tyle siły i woli walki.

*

– Sam wybierasz sobie celę. Nie ma krat, murów, sam określasz jej wielkość, sam wytyczasz granice. Nie są na stałe, możesz je przesuwać, ale nie wiesz, jak bardzo. Nie ma strażników, sam decydujesz, co i gdzie robisz. Chodzisz wolny, ale z myślami na smyczy. – Historię ciągnie teraz architektka Alev Şahin. Smycz jest krótka, myśli krążą nisko, przy stopach, wokół lampek. Bo każdy krok uruchamia lampkę. Zielona: dobrze, jesteś bezpieczny. Żółta: uwaga, próg celi jest blisko. Czerwona: przekraczasz próg, cofaj się, bo zaraz rzuci się na ciebie cerber. Cerbera wpuściło do twojej głowy państwo, zakładając ci opaskę monitorującą.

Turecka nazwa noszonego na kostce lokalizatora to *elektonik kelepçesi*, elektroniczne kajdanki. Nuriye nie wyraziła na nie zgody, została więc w więzieniu. Semih też nie chciał opaski z cerberem, ale w końcu uległ. Z przeniesieniem go do aresztu domowego był jednak jeden problem: cerber chodził już przy nogach innych protestujących, nie miał jak zająć się Semihem.

– Ostatnią z wolnych opasek założyli mnie. Za mało ich było dla nas wszystkich – mówi Nazan. Kiedy i innym protestującym zasądzono areszt domowy, pod pomnikiem zaczęło ubywać ludzi. To wtedy architektka Alev przyjechała do Ankary z Düzce, dwieście pięćdziesiąt kilometrów. Chciała pomóc, zapewnić ciągłość protestu, w czasie gdy inni zajmują się cerberem.

Mehmet Dersulu i jego koleżanka po fachu Nazife Onay cerbera odganiali kijem, odmówili noszenia opasek. Zostali więc zatrzymani. Ku ich

zdumieniu Mehmeta puszczono wolno. – Czasem nawet w naszym kraju prawo znajdzie drogę, by zadziałać – śmieje się. Do Nazife drogi nie znalazło. Jest w więzieniu.

W czasie jednego z protestów Acun i Nazan demonstracyjnie zdjęły swoje opaski. Nazajutrz tłumaczyły się z tego przed obliczem sądu, na tyle przekonująco, że ten poluzował im niewidzialne pęta. Opaskę monitorującą zamieniły na cotygodniowy meldunek na posterunku.

Opaska Nazan powędrowała do Semiha.

*

Sześć lat? – stara się przypomnieć sobie Nazan. Tyle dostała Nuriye? Wyrok jeszcze nie jest prawomocny, w sądzie czeka apelacja, więc za bardzo się do niego nie przywiązują. W opowieści o przebiegu procesu dominuje oburzenie. *İftiracı*, ten, który oczernia, obrzuca kalumniami – tak mówią o głównym świadku.

– Semih w życiu nie widział go na oczy. A ten zeznaje, jak się z nim spotykał, podaje daty. „Jak mogłem się z nim widzieć, jeśli odbywałem w tym czasie służbę wojskową?” – bronił się Semih. O Nuriye *iftiracı* opowiadał, jak to razem z nią, w jej domu, przygotowywali ładunki wybuchowe. Ale na pytanie, gdzie jest ten dom, już nie potrafił odpowiedzieć. Sam został skazany za członkostwo w organizacji terrorystycznej, więc poszedł na układ. Złożenie kompromitujących dla Nuriye i Semiha zeznań miało odczarować jego los – poczucie niesprawiedliwości w głosie Nazan góruje nad całą historią jak groźna teoria spiskowa, które w Turcji tak wszyscy uwielbiają. Tym bardziej, że wiele z nich po latach okazuje się być prawdą.

Gdy ogłaszano wyrok, oprócz ogólnokrajowego stanu wyjątkowego w Ankarze obowiązywały szczególne środki ostrożności. Burmistrz stolicy wprowadził trzymiesięczny zakaz organizowania jakichkolwiek demonstracji. Koncert, transparent, piknik – wszystko zakazane, by nie

zakłóciło porządku publicznego ani nie stało się celem ataku grup terrorystycznych, jak oficjalnie uzasadniono.

Semih został uniewinniony. Nuriye oczyszczono z zarzutów organizowania nielegalnych protestów, ale uznano za członkinię organizacji terrorystycznej. Kara: sześć lat i trzy miesiące. Na rozpatrzenie apelacji czeka na wolności.

Tuż po ogłoszeniu wyroku Komisja Stanu Wyjątkowego – jedyne ciało władne przywracać zwolnionych pracowników na stanowiska – rozpatrzyła ich wnioski. Odmownie. Wtedy w domu Semiha i Esry w Ankarze zwołali konferencję prasową. Najwytrwalsi protestujący, wszyscy w maseczkach chirurgicznych, usiedli na kanapie, część stanęła za nimi.

Czterysta czterdzieści cztery dni protestu, w tym trzysta dwadzieścia cztery dni głodu. Wystarczy. Nuriye i Semih oznajmili koniec głodówki. Ona ważyła wtedy zaledwie trzydzieści cztery kilogramy, on czterdzieści sześć.

– Już bez lęku, że Nuriye i Semih nie przeżyją, czerpiąc z ich odwagi, będziemy kontynuować protest przy alei Yüksel – zakończyła konferencję Acun.

*

Acun mówi, że robi to dla nastoletniej córki. Veli mówi, że dla córki przestał.

Na informację, że spotkałam się też z Velim, powietrze w sali w ułamku sekundy tężeje. Zawisają w nim oddechy, zawisa cisza, przeszywana tylko szybkimi, porozumiewawczymi spojrzeniami.

– Mówi, że rzadko, bo rzadko, ale czasem wciąż dołącza do protestów – rzucam pomiędzy te spojrzenia.

– Nie dołącza – odrzucają. Pomiędzy nami wyrasta ciężka, niewidzialna zasłona, więcej słów się nie przedostaje.

*

– Jest w Turcji takie przysłowie: *Süngüyle her şeyi yaparsın ama üzerine oturamazsın*. Bagnetem możesz wiele zwojować, ale na nim nie usiądziesz – mówił mi Veli dzień wcześniej, opuszczając wzrok na blat kawiarnianego stołu. Chyba bardzo już potrzebował usiąść, wojuje, odkąd wszedł w dorosłość. Miał osiemnaście lat, kiedy trafił do więzienia po raz pierwszy.

– Za młodu byłem jednym z aktywniejszych członków DİSK, Konfederacji Rewolucyjnych Związków Zawodowych. Chętnie wychodziliśmy na ulice. A że był to czas, gdy na ulicach swoją obecność zamachami zaznaczały organizacje terrorystyczne radykalnej lewicy, to fakty te powiązano. Uznano, że wspieram komunistów i zamachowców. Nawet jeśli światopoglądowo do komunistów było mi wtedy bliżej niż dalej, to do żadnej związanej z nimi organizacji nie należałem, co dopiero terrorystycznej – wspomina.

Na wolność wyszedł po trzech miesiącach, ale nie cieszył się nią długo. Władze nadal uważały go za wywrotowca, więc wrócił za kraty, na dwa lata i trzy miesiące. To z tej odsiadki wyszedł bez jednej ręki.

Sporo czasu minęło, zanim się z tego dźwignął. Zrobił dyplom z socjologii, zdał egzamin dla urzędników państwowych, dostał pracę w ministerstwie polityki społecznej. – Aktywizmu się nie wyzbyłem, byłem członkiem KESK. Do tej układanki dochodzą jeszcze dwa puzzle. Nie byłem członkiem AKP. I zgłaszałem przełożonym to, z czym przychodziły do mnie osoby z niepełnosprawnościami. Czyli nieprawidłowości i nadużycia ze strony instytucji państwowych. Pchałem to dalej, pokazywałem, gdzie państwo nie działa. A państwo ma działać…

Resztę historii znamy. Demonstracje pod pomnikiem, przemoc, zatrzymania, grzywny. Czterysta czterdzieści siedem dni protestu.

Kiedy Nuriye i Semih ogłosili, że kończą głodówkę, i on odłożył swój bagnet. – Nie, to nie ja chciałem usiąść. Chciałem, by usiadła moja córka. Ma siedem lat, a potrafiła ponaglać mnie przy śniadaniu. „Tato, pospiesz

się, spóźnisz się na protest”. Dzieci rozumieją więcej, niż nam się wydaje. Musimy chodzić z nią do psychologa.

Veli przerywa, zaciska usta.

– Policja dwukrotnie zaatakowała moją matkę – kontynuuje po chwili. – Ktoś zrobił zdjęcie, jak wleką staruszkę po ziemi. Rozniosło się po sieci. Internauci zorganizowali wielką akcję wsparcia, pisali „to też moja mama”. A tak prosiłem ją, by nie przychodziła na nasze protesty…

Żony nawet prywatne firmy boją się przyjąć do pracy. Odrzucają jej kandydaturę natychmiast, kiedy zorientują się, kogo ma za męża.

Żadne z nas nie może wyjechać za granicę, zabrali nam paszporty. Zupełnie jakby pozbawili nas obywatelstwa… Nawet jako uchodźcy mielibyśmy w tym kraju więcej praw. Próbujemy wyrwać się z tej matni. Dwa tysiące trzysta głosów więcej i byłbym posłem HDP[5]. Zabrakło, więc zostaliśmy na razie w tej próżni.

Z czego żyje się, gdy się w nią wpadnie? Z pomocy rodziny i przyjaciół. Z oszczędności. Ze sprzedaży majątku. Z zapomóg wypłacanych przez związki zawodowe. Z wpłat sympatyków. Z umiejętności odmawiania sobie kolejnych rzeczy, kto by pomyślał, że kiedyś wydawały się tak niezbędne. Z coraz to nowych pomysłów. Ktoś się z kimś skrzyknie i zaczną sprzedawać używane książki. Ktoś będzie słał rozpaczliwe odpowiedzi na ogłoszenia pracy w całym kraju, aż trafi mu się łut szczęścia. Ktoś spróbuje założyć własny biznes. Najczęściej ze wszystkiego po trochu.

Veli opowiada bez wielkich emocji. Nawet kiedy się śmieje, to głównie oczami, gdzieś w głębi zapalają mu się w nich iskierki. Jak chochliki, choć i one jakieś takie stonowane, jakby cieszyły się na wspomnienie dawnych figli, ale na nowe nie miały już siły.

Rezygnacja krąży wokół niego jak sęp, a jednak wciąż nie ma do niego dostępu. Coś go broni i pcha do przodu.

– Nadzieja. Gdyby nie ona, nie dałoby się tu żyć. Wierzę, że kiedyś to znów będzie nasza ojczyzna.

*

Veli już nie liczy, ale pozostali tak.

Czterysta trzydzieści dni. Tyle za barierkami spędziła zaczytana w prawa człowieka kobieta. Teraz, niby już wolna, za plecami ma posterunek. Czytając, niemal opiera się o przesłonę, za którą policjanci czekają w pełnej gotowości na pojawienie się protestujących. Ci wciąż przychodzą dwa razy dziennie, dwa razy dziennie odjeżdżają w furgonetce. Dziewięćset, tysiąc, tysiąc sto dni z rzędu i końca nie widać.

*

W siedzibie KESK rozmawiamy już ponad cztery godziny. Zmęczenie daje się we znaki, opowieść zmierza ku końcowi. Teraz opowiada Alev.

„Alev. Widziałaś to? Uważaj na siebie" – jej serce biło szybko i niespokojnie, kiedy klikała w przesłany przez przyjaciółkę link. Artykuł już od kilku godzin hulał po sieci i budził święte oburzenie. Alev nie wstała do hymnu. Więcej – nie wstała do hymnu śpiewanego ku pokrzepieniu serc tureckich żołnierzy prowadzących bohaterską interwencję na obcej ziemi, w syryjskim Afrin, by umocnić pozycję Turcji w regionie.

– Rzecz działa się w Düzce, gdzie mieszkałam, pracowałam i pracę straciłam. Siedziałam na ulicy z transparentem z żądaniem przywrócenia do pracy. Jak spod ziemi obok mnie wyrosła demonstracja nacjonalistów. I zaczęła śpiewać hymn. Czy była to wymierzona we mnie prowokacja? Wierzę, że tak, bo jeszcze tego samego dnia, ledwo przeczytałam artykuł, już byłam w celi. Tam całą noc w kółko puszczali mi hymn… Teraz rozumiesz, dlaczego nadal codziennie protestuję, czemu wszyscy ciągniemy to dalej? Na szali leży nie tylko nasz dorobek zawodowy. Idzie o godność. Chcą z nas zrobić zdrajców szargających wszystkie świętości. Nie mamy wyboru. – Alev zerka na zegarek i przerywa. – Zostały dwie minuty – rzuca. Każdy dzień z chirurgiczną precyzją ma skrojony według protestów. Cztery dni w tygodniu protestuje w Düzce, trzy dni w Ankarze. Wybiega, wróci za godzinę.

W progu mija się z Perihan Pulat. Emerytowana sędzina jest jak kolorowy ptak. Spod jej barwnej chusty wylewają się długie siwe włosy z niesfornymi, falującymi końcówkami. Wszystkie koszule ma w kratę, zarzuca je jedną na drugą, część rękawów podwinięta, część zakrywa dłonie. Te kilka warstw to skutek głębokiego namysłu, kalkulacji i doświadczenia. Odejmują siły żelaznym uściskom policjantów i chronią przypinki, schowane tuż przy sercu. Spogląda z nich Behice Boran, która począwszy od lat trzydziestych przez całe życie próbowała krzewić w Turcji marksizm. Przypłaciła to odsiadkami, a potem emigracją.

– Faszyzmu, który później ogarnął świat, nie zatrzymała, ale nauczyła nas, jak z nim walczyć. Do ostatniego tchu. – Każdemu zdaniu Perihan towarzyszy długi, taneczny krok. A to powolutku się obróci, a to podniesie rękę ruchem baletnicy. Ma siedemdziesiąt osiem lat, emeryturę, mogłaby celebrować jesień życia w spokoju i beztrosce. Wybrała inaczej. Kiedy tylko może, przychodzi na protest. Bywa, że codziennie. – *Son nefese kadar*, do ostatniego tchu. – Puszcza oko i łagodnie odpływa z sali.

Mehmet w mig rozwiewa tę łagodność, pełne sprzeciwu słowa wyrzuca z siebie jak karabin. – Dyktują ci do głowy myśli, a jeśli się z nimi nie zgadzasz, mówisz, że nie twoje, to nie przynależysz już do tego kraju. To faszyzm. Zaczął się w Turcji na długo przed puczem, na długo zanim AKP przejęła władzę. Walczymy o to, by nie oddać swoich myśli, o to, by w głowie nie została już tylko posłuszna pustka.

*

Jakże chciałabym porozmawiać o tej walce z Nuriye i Semihem. Na aleję Yüksel przychodzą od wielkiego dzwonu, głodówka wyniszczyła im ciała, muszą się nimi zająć, tak jak to obiecała Nuriye. Wciąż są częścią protestu, biorą udział w wydarzeniach organizowanych przez protestujących: wystawach, wykładach, piknikach – zapewniają ich koledzy. Pomyślałam, że tak najłatwiej będzie uchwycić Nuriye.

Jej wykład zapisałam sobie w kalendarzu na czerwono, podkreśliłam trzy razy, wyczekałam. Odwołano go w ostatniej chwili. Władze wciąż mają na nią baczenie, potrafią zatrzymać pod byle pretekstem, jak i tym razem. Dzień czy dwa dni później była już wolna. Minęło kilka tygodni, jest i kolejne spotkanie. Znów wpisałam, podkreśliłam. Sprawdzam, czy nie odwołane. Nie! Jadę.

Miejsce jest szczególne: stambulska dzielnica Okmeydanı. To tu w czasie Gezi w drodze po chleb trzynastoletni Berkin Elvan dostał w głowę pojemnikiem po gazie łzawiącym. Okmeydanı położona jest centralnie, ale ideologicznie na lewo, a bardziej na lewo niż w İdil Kültür Merkezi już się nie da. To malutkie centrum kultury i kawiarnia w jednym, prowadzone przez sympatyków Grupy Yorum. Portrety muzyków dumnie spoglądają ze ścian, choć oni sami nie mają tu wstępu. Ani tu, ani w żadne inne miejsce na tureckiej ziemi, bo rząd wyznaczył za nich nagrodę. W latach osiemdziesiątych wyśpiewywali niechęć kapitalizmowi, imperializmowi i tureckim władzom, czasem po kurdyjsku, języku wówczas zakazanym. Swój przekaz wzmacniali, pojawiając się na protestach robotników i studentów. Płacili za to aresztowaniami, a ich płyty rozstrzelaniem. Od 2016 roku znów są na cenzurowanym. Część członków zespołu ukrywa się za granicą, część przebywa w tureckim więzieniu, część podejmuje głodówki, domagając się uwolnienia kolegów i cofnięcia zakazu koncertowania. To ich piosenki śpiewają w radiowozie protestujący z Ankary. Wybijają rytm, waląc w ściany otwartymi dłońmi.

W dniu spotkania z Nuriye przed wejściem do İdil Kültür Merkezi jeździ wóz opancerzony. Co kilka minut, w tę i z powrotem. – Pokaz siły, tu nawet kilkuletnie dzieci czytają takie sygnały – mówi mi pracująca tu Özge. Ale dlaczego Nuriye nie przyjechała, już nie chce mi powiedzieć, nie chce też pomóc mi do niej dotrzeć.

Nuriye przyjdzie na naszą rozmowę – obiecali protestujący przy alei Yüksel. Nie mogła przyjść – przeprosili. Może następnego dnia? Może. Znów nie mogła się zjawić. Tak samo z Semihem. Wszelkie próby kontaktu

zawiodły. Nie wiem, czy to przypadek, czy może chronią wciąż słabe ciała kolegów.

W końcu, jak podkreślają, najważniejsza jest wspólnota. O solidarności opowiadają przerywane policyjnym megafonem słowa, które starają się dokrzyczeć do końca, zanim zamkną się drzwi radiowozu. O solidarności prawią ich transparenty: z nazwiskami przebywających w więzieniach kolegów oraz adwokatów, którzy chcieli ich bronić, a teraz sami potrzebują obrony.

– Kiedyś wszyscy byliśmy sobie bliscy, a nasz kraj bogaty ludźmi, ich różnorodnością. A potem za drogowskaz obrano hasło *Tek millet, tek bayrak, tek vatan, tek devlet,* Jeden naród, jedna flaga, jedna ojczyzna, jedno państwo. Wszyscy mają być tacy sami, a myśli jednakie. – Alev kończy swoją opowieść po powrocie z protestu. – Ci, którzy się w tym nie mieszczą, pozamykali się w domach, a domy obarykadowali strachem, marazmem, próbą przeczekania. Nie chcemy tak żyć.

*

„Nie chcemy tak żyć”. Z tym stwierdzeniem na ustach kolejni protestujący gotowi są walczyć do ostatniego tchu.

Dwudziestoośmioletni Mustafa Koçak podjął głodówkę, kiedy skazano go na dożywocie za dostarczenie broni mordercom Mehmeta Selima Kiraza, prokuratora prowadzącego dochodzenie w sprawie śmierci Berkina Elvana. Mustafa domagał się prawa do uczciwego procesu. Jak podkreślał, obciążające siebie zeznania złożył dwunastego dnia tortur.

Zmarł w kwietniu 2020 roku, dwieście dziewięćdziesiątego siódmego dnia głodówki.

Jego rówieśniczka, solistka Grupy Yorum, Helin Bölek, została aresztowana w czasie jednego z policyjnych nalotów na İdil Kültür Merkezi. Oskarżono ją o członkostwo w grupie terrorystycznej. Głodówkę rozpoczęła w czerwcu 2019 roku, żądając zwolnienia z więzienia wszystkich członków zespołu, zniesienia zakazu koncertów i zaprzestania

represji. Pięć miesięcy później wyszła na wolność, ale protestu nie przerwała.

I ona zmarła w kwietniu 2020 roku, dwieście osiemdziesiątego ósmego dnia głodówki.

Na jej pogrzebie gitarzysta Grupy Yorum İbrahim Gökçek w wygłoszonej z wózka inwalidzkiego przemowie obiecał jej, że zwyciężą. Powiedzenie zaledwie kilku zdań zupełnie go wycieńczyło. Głodował razem z Bölek. Protest rozpoczęli tego samego dnia, w ostatnich miesiącach prowadzili go, jak kiedyś ich poprzednicy, w domu oporu w Küçük Armutlu.

Miesiąc później Gökçek w liście otwartym zaapelował do tureckich intelektualistów i artystów, by wstawili się za Grupą Yorum u prezydenta i w odpowiednich ministerstwach. Apele znów popłynęły, w biurze burmistrza Stambułu złożono wniosek o zgodę na koncert. „Osiągnęliśmy polityczne zwycięstwo. Cały świat dowiedział się o naszym proteście. Mam nadzieję, że uzyskamy zgodę na zorganizowanie koncertu” – ogłosił Gökçek, tym samym kończąc głodówkę po trzystu dwudziestu trzech dniach.

Dwa dni później, na początku maja 2020 roku, zmarł.

Nie wiadomo, czy ani kiedy postulaty Grupy Yorum zostaną spełnione. A jednak ci, którzy kontynuują protest, już teraz mówią o zwycięstwie. Uzasadniają to krótko: Mustafa Koçak, Helin Bölek i İbrahim Gökçek odeszli prawdziwie wolni. Nie umarli, stali się nieśmiertelni.

[5] Demokratyczna Partia Ludów, Halkların Demokratik Partisi.

Niepewność

Najpierw mówi, że jest młodszą siostrą Hasana Ocaka. Dopiero potem wypowiada swoje imię: Maside.

Powinna ginąć w tłumie. Ma nieco ponad metr sześćdziesiąt wzrostu, nosi jeansy i bluzki w stonowanych kolorach, prawie się nie maluje, a delikatnie rozjaśnione gęste włosy przewiązuje opaską i puszcza luźno. A jednak się wyróżnia. Ludzie do niej lgną, zbierają wokół niej jak petenci i czekają na swoją kolej, by ją zaczepić, porozmawiać, przedstawić swoją sprawę. Poczuć się przy niej bezpiecznie i zaczerpnąć jej siły.

Ona nie marnuje ani sekundy. Nawet wychodząc na papierosa, pozwala się zagadywać, odpowiada na każde przywitanie i pytanie. Czasem zwięźle, ale zawsze z szacunkiem, uważnością i uśmiechem.

Przemówienie, które zaraz wygłosi, potrwa około dziesięciu minut. Każdej soboty odczytuje je inna rodzina. Zazwyczaj jest to historia zaginionego, wypisana na odwrocie jego zdjęcia. Jeśli bliscy nie mogą się stawić, to zastępuje ich najczęściej Maside.

Historię Hasana czyta w sobotę przypadającą najbliżej 21 marca. To czas Newrozu, kurdyjskiego Nowego Roku. Ocakowie są rodziną alewickich[6] Kurdów, a Newroz to dla Kurdów najważniejsze święto. Symbol nowego początku, radości, ale i oporu. Maside nie wybrała tej daty sama. 21 marca to urodziny ich siostry, Aysel. Co roku świętowali je tak samo, wszyscy razem – trzy siostry, dwóch braci i rodzice – przy uroczystej kolacji w domu w stambulskiej dzielnicy Avcılar. Aż na dwudzieste drugie urodziny Aysel Hasan nawalił. Miał kupić świeże ryby, specjalnie po to urwał się z pracy. I przepadł jak kamień w wodę. Wszystko gotowe, tort i pół lodówki napojów, tylko tych ryb brakuje, a on nie wraca. I nie ma jak do niego zadzwonić. Jest 1995 rok, nie mają jeszcze komórek. Czekają.

Najpierw myśleli, że to znowu przez cukierki. Hasan wypychał sobie nimi całe kieszenie i idąc ulicą, rozdawał dzieciakom. Często przystawał na dłużej, by się z nimi pobawić. Nic nie potrafił na to poradzić, kochał dzieci jak głupi. Dlatego został nauczycielem w szkole podstawowej.

Ale takiego dnia chyba by nie zaniedbał. Każde spotkanie z rodziną było dla niego świętem. Co niedzielę, po wspólnym obiedzie siadali w jego pokoju, który wówczas dzielił jeszcze z Maside. Hasan zaczynał śpiewać, a oni patrzyli przez okno na jezioro i słuchali jak z lekko trącanych strun sazu niespiesznie wydobywa się radość. Hasan był strażnikiem ich spokoju, mediatorem, który wkraczał we wszelkie sprzeczki i roztapiał je śmiechem. Tak samo na osiedlu, jak tylko ktoś z kimś się pożarł, to kończyło się śmiechem Hasana.

Wstawał do pracy przed świtem. Szykując się, świecił po pokoju malutką latarką, którą kupił specjalnie po to, by światło nie budziło siostry. Maside nie zdołała mu przetłumaczyć, że nie musi tego robić. Ani też nie przekonała go, by w ciemnościach nie ścielił po sobie łóżka. Nalegania, by pozwolił się wyręczyć, zbywał żartami.

Siostry były dla niego wszystkim. Nie darowałby sobie, gdyby zepsuł urodziny Aysel.

Zaczęli się niepokoić.

Tak bardzo spóźnił się dotychczas tylko dwa razy. Dziewięć lat wcześniej, o piętnaście dni. Odnalazł się w areszcie, z którego wypuścili go dopiero dwa i pół miesiąca później. Rok później to samo.

W latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych podobne zaginięcia przydarzały się Kurdom często, odnalezienia – rzadko.

*

– Nic nie budziło w ludziach większego strachu niż niepewność. Władza o tym wiedziała. Dlatego właśnie z niepewności uczyniła politykę państwową. – Sebla Arcan jest jedną ze współzałożycielek Komisji do spraw Wymuszonych Zaginięć przy İHD, Stowarzyszeniu Praw Człowieka

(İnsan Hakları Derneği). Ma kruczoczarne włosy i przenikliwe spojrzenie, niezależnie, czy patrzy prosto w oczy, czy w dal. W stowarzyszeniu pracuje od samego początku. Założyły je w 1986 roku rodziny osób, które po zamachu stanu z 1980 roku padły ofiarą najcięższych represji. Jedną z nich był mąż Sebli, więzień polityczny. Na przestrzeni lat İHD stało się największą i najprężniej działającą organizacją broniącą praw człowieka w kraju. Kilkudziesięciu jej członków przypłaciło to życiem.

– Po zamachu stanu prześladowano każdego, kto domagał się przestrzegania podstawowych praw i wolności. Ogólny profil osób zaginionych: studenci, dziennikarze, prawnicy, lekarze, inżynierowie, działacze związków zawodowych – wymienia Sebla. – W przeciwieństwie do tego, co twierdziła władza, nie byli to żadni partyzanci, ale ludzie tacy jak ja lub ty. Osiemdziesiąt procent z nich było Kurdami.

O Kurdach utarło się mówić, że są największym narodem bez państwa. Żyją podzieleni pomiędzy Turcję, Irak, Iran i Syrię, około trzydziestu pięciu milionów ludzi, z czego najwięcej w Turcji – ponad czternaście milionów. Statystyki są jednak o tyle umowne, co sporne.

Wielu wciąż zastanawia się, jak do tego doszło. Przecież po zakończeniu pierwszej wojny światowej największe światowe potęgi złożyły im obietnicę. Autonomiczny Kurdystan, o którego ewentualnej niepodległości miał rozstrzygnąć plebiscyt, został zapisany na kartach zawartego pomiędzy aliantami a imperium osmańskim traktatu z Sèvres. Roponośnych terenów o wielkim znaczeniu strategicznym nie oddaje się jednak tak łatwo. Postanowienia z Sèvres nie weszły w życie. Zrewidował je podpisany trzy lata później traktat z Lozanny, którego stroną była już Republika Turecka. Kurdom nie składał on żadnych obietnic.

W nowym, doktrynalnie pojmowanym państwie narodowym, jakim była Republika Turecka, społeczeństwo miało być monolitem. Kurdowie dowiedzieli się, że są tylko góralami. Sprzeciw oznaczał represje, represje wzmacniały opór, opór zamieniał się w bunt, a bunty krwawo tłumiono. Z tej eskalacji w 1978 roku narodziła się PKK, marksistowska Partia

Pracujących Kurdystanu. Reprezentowała silne dążenia separatystyczne i nie miała oporów przed przeprowadzaniem zamachów.

Zdawało się, że zasada „oko za oko, ząb za ząb”, która obowiązywała niegdyś na pobliskich ziemiach starożytnej Mezopotamii, znów była w mocy. W 1983 roku tureckie władze przyjęły dekret numer 2932, który zabronił używania jakiegokolwiek innego języka niż turecki. Dla większości mieszkańców regionu oznaczało to zakaz mówienia, bo jedynym językiem, jaki znali, był kurdyjski[7]. W następnym roku oddziały PKK rozpoczęły przeciwko Turcji walkę partyzancką[8]. Ankara odpowiedziała z całą brutalnością. W 1987 roku prowincje na południowym wschodzie były już znane jako *OHAL bölgesi*, region objęty stanem wyjątkowym. Wprowadzony początkowo na cztery miesiące, po ich upływie został przedłużony na kolejne cztery. A potem znowu. I znowu. Czterdzieści sześć razy.

– W regionie stanu wyjątkowego Kurdów zmuszano, by zostawali *korucu*, prześladowcami swoich własnych wiosek – mówi Sebla. Opowiada o systemie ustanowionym w 1985 roku, który zakładał współpracę lokalnych kurdyjskich sił paramilitarnych z tureckim wojskiem. – Ci, którzy odmawiali pełnienia tej funkcji, najczęściej znikali, w drodze do pracy, albo nawet z domu, ostatni raz widywani najczęściej w towarzystwie nieznanych nikomu mężczyzn, wpychających ich siłą do białych Renault Toros. Dziennikarzy na te tereny nie wpuszczano, w mediach nie było nawet wzmianki o rozgrywających się tam wydarzeniach, więc znaczna część społeczeństwa nie miała o nich pojęcia. A tam szwadrony śmierci paliły całe wioski. Rodziny ofiar nie miały znikąd pomocy. Prawnicy gotowi udzielić im wsparcia byli prześladowani, wtrącani do więzień, mordowani. Lub przepadali bez wieści – zaznacza Sebla.

Zaginąć mógł każdy Kurd podejrzewany o związki z PKK i aktywność wywrotową.

Zaginąć mógł każdy Kurd.

Zaginąć mógł każdy.

*

Niecałe trzy miesiące przed dwudziestymi drugimi urodzinami Aysel zaginął ich sąsiad, dwudziestosześcioletni İsmail Bahçeci. Studiował na stambulskim uniwersytecie Marmara i przewodniczył federacji zrzeszającej studenckie stowarzyszenia, za co nieraz trafiał do aresztu. Tym razem jego bliskich poinformował jeden z przyjaciół İsmaila, który widział jego zatrzymanie.

Rodzina na każdym posterunku słyszała to samo: „U nas go nie ma". Gdy obeszli już wszystkie, uznali, że jedyną szansą na odnalezienie İsmaila jest presja. Rozpoczęli kampanię, aby nagłośnić sprawę.

Hasan i Maside ich w tym wspierali. Publicznie i prywatnie – gdy przychodził kryzys, odwiedzali i podnosili na duchu. Niby wiedzieli, że w ten sposób mogą na siebie ściągnąć niebezpieczeństwo, ale dopiero kiedy Hasan nie wrócił do domu, ta mglista myśl przybrała konkretny kształt.

Maside zaczęła łączyć fakty. Wydarzenia w *Gazi Mahallesi* – zaszumiało jej w głowie.

Tydzień wcześniej, 12 marca, w zamieszkanej głównie przez Kurdów i alewitów z klasy robotniczej stambulskiej dzielnicy Gazi nieznany sprawca ostrzelał z taksówki trzy kawiarnie i piekarnię, po czym poderżnął gardło kierowcy i zbiegł. Ranił dwadzieścia pięć osób, w tym – śmiertelnie – Dede Halila Kayę, duchowego przywódcę alewitów.

Alewici natychmiast wyszli na ulice. Hasan też. Pojechał do Gazi od razu.

Dzielnicę ogarnął chaos. Tłumy protestujących, interwencje policji i wojska, ranni, zabici, pogrzeby, zatrzymania, rozruchy, tortury.

– Hasan odprowadzał ofiary. Był w grupie, która na swoich barkach nosiła trumny do *cemevi*, domu modlitwy alewitów. Nie jestem pewna, czym jeszcze się tam zajmował, ale podejrzewam, że informował inne dzielnice o tym, co dzieje się w Gazi – opowiada Maside. Media o podobnych wydarzeniach wspominały wybiórczo i niechętnie, więc to za sprawą takich osób jak Hasan protesty rozlały się także na inne dzielnice Stambułu. Dotarły nawet do Ankary.

– Trzeciego dnia i ja pojechałam do Gazi, na pogrzeb jednej z ofiar, po którym odbył się marsz protestacyjny. Szłam obok Hasana i Süleymana Yetera, jego przyjaciela, działacza związków zawodowych. Za nami jakiś mężczyzna wznosił okrzyki. Agresywne, pełne nienawiści. „Meczet, wszyscy na najbliższy meczet! Jak zaatakujemy razem, to nic z niego nie zostanie”. Podburzał tłum. Hasan i Süleyman odciągnęli go na bok. Przeszukali. Znaleźli przy nim legitymację członkowską jednej z faszyzujących organizacji. We trójkę wyprowadziliśmy go z tłumu. Hasan z Süleymanem przyprowadzili go władzom dzielnicy. Przyszli po niego żołnierze, podziękowali i go zabrali. Dziś jestem pewna, że to był prowokator, a Hasan, a potem i Süleyman, zaginęli, bo udaremnili zaplanowaną przez państwo prowokację. Gdyby nie oni, wydarzenia w Gazi byłyby jeszcze bardziej krwawe – mówi Maside.

Tego wieczoru, kiedy Hasan nie wracał, nie miała jeszcze tej jasności, a jedynie złe przeczucia.

Zaczęli obdzwaniać szpitale. „U nas go nie ma”.

Następnego dnia poszli do *Emniyetu*, głównego departamentu policji. „U nas go nie ma”.

Potem chodzili już od posterunku do posterunku. Kilka dni i wszędzie „u nas go nie ma”.

Maside zdała sobie sprawę, że będą musieli podjąć działania bardziej radykalne od rodziny İsmaila Bahçeciego, bezskutecznie poszukującej go już czwarty miesiąc.

– Udaliśmy się do İHD. Stowarzyszenie pomogło nam zorganizować konferencję prasową. Potem razem z jego działaczami oraz przyjaciółmi Hasana rozpoczęliśmy naszą kampanię – opowiada Maside.

Na początek chcieli porozmawiać z burmistrzem oraz mediami. Dla urzędników, redakcji i stacji telewizyjnych problem nie istniał, nie zamierzali tracić czasu. Ocakowie przykuli się łańcuchami do siedziby burmistrza, żeby wychodząc z pracy, musiał ich przynajmniej zobaczyć, usłyszeć ich krzyk. Maside była przygotowana na to, że policjanci będą

próbowali ich usunąć, a jednak siła kopniaków i ciosów, jakie wymierzyli jej matce, była dla niej szokiem.

Rodzina się nie poddała. W podobny sposób zablokowała wejścia do redakcji i stacji telewizyjnych, które nie chciały ich wysłuchać. W końcu doprowadzili do spotkania z burmistrzem oraz częścią mediów, te zaś podały informację o poszukiwaniu Hasana. Była to rzecz bez precedensu. O ile na wschodzie Turcji problem zaginięć był dobrze wszystkim znany, to wielu mieszkańców zachodniej i środkowej części kraju usłyszało o nim po raz pierwszy.

Ocakowie postanowili rozszerzyć zasięg swoich działań, nie zważając na to, że zapłacą za to wysoką cenę. Kampania rozdzieliła rodzinę. – Ja, tata i siostra prowadziliśmy ją w Stambule – opowiada Maside – natomiast mama pojechała z moją siostrą i bratem do Ankary. W stolicy wspólnie z tamtejszą filią İHD zabiegali o spotkania z posłami, a wieczorami na alei Yüksel przy zdjęciach Hasana i innych zaginionych palili świece.

Kampania przerodziła się w działania na rzecz wszystkich zaginionych. Jej kluczowym elementem było wzajemne wsparcie. Dlatego kiedy Akın Birdal, ówczesny przewodniczący İHD, za swoją działalność na rzecz pokoju stanął przed sądem, na rozprawę przyszły też rodziny zaginionych.

– Gdy proces dobiegał końca, moja mama wstała i zwróciła się do sędziego, błagając go, by pomógł jej odnaleźć syna, którego szuka od dwudziestu dni. On za zakłócanie porządku obrad wymierzył jej karę miesiąca pozbawienia wolności. – Kąciki ust Maside drżą. – Kiedy mama wyszła z więzienia, przysiadła przy chodniku na kamieniu i zupełnie nieobecna powiedziała tylko: „Hasan chyba już nie żyje”.

*

Mieszkańcy wsi na obrzeżach lasu Beykoz na północy Stambułu znaleźli ciało. Mężczyzna przed śmiercią musiał być przesłuchiwany. Nie miał przy sobie dokumentów, zegarka, ani paska – przedmiotów, które w pierwszej

kolejności zabierano każdemu, kto trafiał na posterunek – a na opuszkach jego palców widać było ślady tuszu. Natychmiast zawiadomili żandarmerię.

W tym czasie Ocakowie rozpoczynali trzeci miesiąc swojej kampanii. Ponownie objeżdżali posterunki.

– Dotarliśmy do świadków. Ktoś widział podpis Hasana na liście zatrzymanych, ktoś widział go w celi, ktoś widział, jak wynoszono go z pokoju przesłuchań – opowiada Maside.

Zaczęli jeździć po kostnicach, w których umieszczano niezidentyfikowane zwłoki. Kiedy dowiedzieli się, że w Beykoz znaleziono ciało młodego mężczyzny, natychmiast pojechali tam razem z prawnikami.

– Mieszkańcy wsi powiedzieli nam, że w biurze miejscowej prokuratury powinny być zdjęcia – ciągnie Maside. – Rzeczywiście, na miejscu wręczyli nam teczkę. Otworzyłam ją. Fotografia ze zbliżeniem twarzy. Ale to nie była twarz Hasana. Ani trochę niepodobna. Zupełnie zmasakrowana. Aż dojrzałam pieprzyk. Ten sam. Ponowne spojrzenie na zdjęcie. Poczułam, że muszę wybiec i rzucić się pod samochód.

Maside wstrzymuje oddech, po czym wyrzuca z siebie: – Hasan został zamordowany piątego dnia po zaginięciu. Prawdopodobnie mieliśmy się o tym nigdy nie dowiedzieć. Jego zdjęcia udostępniono nam przez niedopatrzenie. Tego dnia w biurze doszło do zmian kadrowych. Nowy śledczy pełnił swoje obowiązki od kilku godzin. Nie zauważył, że teczka, którą nam wręcza, jest jedną z trzech teczek opatrzonych klauzulą „tajne”.

*

Niecałe dwa tygodnie później, 27 maja 1995 roku, pod liceum Galatasaray usiadła trzydziestoosobowa grupa. Głównie kobiety, wśród nich Maside Ocak i Sebla Arcan. Siedziały w zupełnej ciszy. Ani jednego słowa, ani jednego sloganu. Głos zabrały dopiero na chwilę przed rozejściem się.

Tydzień później usiadły znowu. Tym razem przyniosły dwa transparenty. Na jednym nazwisko Hasana Ocaka. Na drugim zaginionego Rıdvana

Karakoça, którego los wyjaśnił się w tym samym czasie. Dwie bliźniacze, nieme historie.

Trzeciego i czwartego tygodnia miały ze sobą także ich zdjęcia.

Policjanci nic z tego ich milczenia nie rozumieli. Piątego tygodnia wręczyli im ulotki z instrukcją, jakich formalności powinny dopełnić, by zorganizować protest. Na wszelki wypadek zdecydowali się do nich nie odzywać. Kiedy o tym mówi, w opowieści Maside pojawia się cień rozbawienia.

Ich inspiracją były Matki z Plaza de Mayo w Buenos Aires. Od 1977 roku w każdy czwartek zbierały się pod pałacem prezydenckim Casa Rosada. Głowy miały zakryte białymi chustami, na których wypisały imiona i daty urodzin swoich zaginionych dzieci. Domagały się ich odnalezienia.

Tureckie Cumartesi Anneleri, Sobotnie Matki, pojawiały się przy stambulskiej alei İstiklal, w każdą sobotę w samo południe. Niektóre z nich także miały białe chusty, chociaż ich wbrew pozorom nie zapożyczyły z Argentyny. Delikatna chusta z białego muślinu, często wykończona koronką, jest na południowym wschodzie Turcji tradycyjnie noszona przez zamężne kobiety. Ma też znaczenie symboliczne. Rzucona na ziemię, wzywa do zakończenia waśni i powstrzymania rozlewu krwi. Niesie pokój.

*

Maside: – Nasze postulaty były proste: państwo ma zaprzestać polityki zaginięć, wyjaśnić los zaginionych i zwrócić ciała rodzinom, a osoby odpowiedzialne za zaginięcia postawić przed sądem.

Sebla: – Policjanci początkowo jedynie nas obserwowali. Chyba zakładali, że szybko zrezygnujemy. Ale nas było coraz więcej. Niektóre z rodzin dołączały bez zapowiedzi. Po prostu siadały obok nas ze zdjęciem i słowami „nasz też zaginął”.

Maside: – Mieszkając w Stambule, byliśmy uprzywilejowani. Rodziny z południowego wschodu nie miały szans nagłośnić swoich tragedii. Dlatego zaprosiliśmy je do nas. Na nasze czterdzieste czwarte spotkanie

przyjechał cały autobus krewnych zaginionych osób z Diyarbakır, największego kurdyjskiego miasta. Informacja pojawiła się w prasie. Kolejne tabu zostało złamane.

Sebla: – Udało nam się na tyle nagłośnić problem, że w czasie oficjalnych wizyt zagranicznych i wielostronnych spotkań przedstawiciele tureckiego rządu musieli odpowiadać na niewygodne pytania. Mieli na nie tylko jedną odpowiedź: przemoc. Policja po raz pierwszy zaatakowała nas w lipcu dziewięćdziesiątego piątego roku. Nie zrezygnowałyśmy. Dziewięćdziesiąty piąty, szósty, siódmy, przychodziłyśmy tydzień w tydzień. Zaczęły się zatrzymania. Od sierpnia dziewięćdziesiątego ósmego roku zatrzymywano nas na każdym zgromadzeniu. Czasem na kilka godzin, czasem na kilka dni. Niektóre z nas straciły przez to pracę, inne zaniedbały dzieci. Najstarsze z Sobotnich Matek zaczęły mieć poważne problemy zdrowotne. Tak długa walka była ponad ich siły.

Maside: – Tymczasem liczba zgłaszanych do İHD zaginięć zaczęła spadać. Z blisko pięciuset zgłoszeń w dziewięćdziesiątym czwartym do sześciu w dziewięćdziesiątym dziewiątym roku. Wiemy, że miałyśmy na to duży wpływ, bo zaginieni po wyjściu na wolność relacjonowali, że ich oprawcy mówili im: „Ratują cię tylko Sobotnie Matki” lub „Gdyby nie fakt, że i twoja by do nich dołączyła, już nigdy by cię nie znaleźli”.

Sebla: – Na początku dziewięćdziesiątego dziewiątego roku brutalność policji tak przybrała na sile, że zaczęła bezpośrednio zagrażać życiu Matek. Były wśród nas osoby w podeszłym wieku, chora na raka, epileptyczka, astmatyczka. Policjanci spędzali je do policyjnych autokarów, zamykali okna i wpuszczali do środka gaz łzawiący… Kiedy wracałyśmy tydzień później, nasze rany nie były jeszcze zaleczone. Zorganizowałyśmy zebranie, w czasie którego powiedziałyśmy sobie jasno, że jeśli nadal będziemy się zbierać, w najbliższych tygodniach któraś z nas zginie.

W marcu 1999 roku Sobotnie Matki ogłosiły przerwę.

*

– Dwie pieczenie na jednym ogniu… – Sebla zawiesza wzrok gdzieś w przeszłości, po czym wyjaśnia: – W dwa tysiące ósmym roku rządząca od sześciu lat AKP wpadła na pomysł, by podporządkowując sobie armię, jednocześnie zapewnić opinię publiczną, że w ten sposób czyni Turcję bardziej demokratyczną. Zaczął się Ergenekon.

Tajna organizacja Ergenekon rzekomo planowała serię zamachów terrorystycznych, by pogrążyć kraj w chaosie i dać armii pretekst do odsunięcia AKP od władzy. W pokazowych procesach przed sądem stanęli między innymi wysocy rangą wojskowi. I choć po latach wyszło na jaw, że skazano ich na podstawie fałszywych dowodów, to Sobotnie Matki wiedziały, że niezależnie od politycznych rozgrywek, nie wszystkie z tych sumień są czyste.

– Wśród aresztowanych byli między innymi generałowie odpowiedzialni za zaginięcia. Postanowiłyśmy przypomnieć, że bez względu na to, czy rzeczywiście planowali zamach stanu, muszą odpowiedzieć przed sądem za poważne naruszenia praw człowieka. – Sebla mówi rzeczowo i bez emocji.

31 stycznia 2009 roku Sobotnie Matki wznowiły swoje spotkania. Licznik znowu ruszył. Bił nieprzerwanie przez kolejne dziewięć i pół roku. Aż do ich siedemsetnego spotkania.

*

25 sierpnia 2018 roku. Prom z azjatyckiej na europejską stronę Stambułu ledwo odbił od brzegu, a jeden z pasażerów wstaje i zaczyna przemawiać donośnym głosem:

– Od siedmiuset tygodni zbierają się pod liceum Galatasaray, by przypomnieć, że w tym faszystowskim kraju…

Fraza „faszystowski kraj” zwalnia blokadę boksu z panterą. Bo tak to wygląda: ułamek sekundy i skok – atak z niebywałą precyzją, w którym najbardziej przerażająca jest lekkość, z jaką został wyprowadzony, tak sprawnie i skutecznie, że kilka chwil później nie ma po nim śladu.

Pracownik promu już dopadł mówcę, wyzywa go i wymierza pierwszy cios. Towarzysząca przemawiającemu grupa rzuca się go bronić, ale inni członkowie załogi już ku nim biegną. Prom błyskawicznie zawraca do brzegu, na którym jak spod ziemi wyrastają policjanci. Pasażerowie zostają podzieleni na dwie grupy – uczestników incydentu i osoby niezaangażowane. Usiłowałam sfotografować tę scenę, więc nie jestem pewna, do której z nich zostanę przydzielona. Obie grupy proszone są o opuszczenie pokładu. Pierwsza znika prowadzona gdzieś przez policjantów, druga – w niej ja – może przesiąść się na drugi prom i kontynuować podróż. Do podobnych incydentów dochodzi w całym mieście.

İstiklal jest już poprzecinana szpalerami policji i obstawiona armatkami wodnymi. Jak sektory na stadionie przed koncertem – im bliżej sceny, tym większe napięcie. Tylko ludzi brak. Aleja opustoszała, po ziemi powoli sunie gaz łzawiący. W odległości kilkuset metrów od liceum Galatasaray jego stężenie jest tak wysokie, że moje ciało nie daje mi wyboru, muszę się wycofać.

Siedemsetne spotkanie Sobotnich Matek rozwiązano, zanim się zaczęło. Maside opowiada mi, że jej duszącą się osiemdziesięciodwuletnią matkę policja wlekła po ziemi jak worek kartofli, a ją samą zatrzymano. – Od tego momentu nie pozwalam matce dołączać. Wyjątek robimy tylko wtedy, gdy nalega i złości się tak bardzo, że ta złość staje się dla niej równie dużym ryzykiem.

Od tego spotkania Sobotnie Matki obowiązuje zakaz zgromadzeń pod liceum Galatasaray. Metalową klatkę (tę samą, w której przemawiali walczący o pamięć o ofiarach przebudowy przedstawiciele stowarzyszenia 1 Umut) zastąpiło imadło: zwarty szyk policjantów w pancerzu Terminatorów co sobota ustawia się kilkaset metrów dalej, przed siedzibą İHD. Trudno utrzymać od nich odległość choćby kilkunastu centymetrów. Pomiędzy zgromadzonymi dystansu nie ma wcale, ściśnięci przylegają jeden do drugiego. Części z nich do malutkiej uliczki na tyłach İstiklal nie udaje się wejść.

Maside ignoruje fakt, że przestrzeń się kurczy. Pali papierosa tuż przed podniesionymi lufami załadowanej gazem łzawiącym broni. Jej donośny głos odbija się od policyjnych tarcz.

*

12 października 2019 roku zaczęły przemawiać inaczej niż zwykle.

– Od siedmiuset pięćdziesięciu dziewięciu tygodni zwracamy uwagę opinii publicznej, że w Turcji dochodzi do poważnych naruszeń wartości humanitarnych oraz prawnych. Jako osoby, które doświadczyły konsekwencji polityki agresji i konfliktu, szukamy rozwiązań pokojowych. Zawsze chcieliśmy, aby Turcja rozwiązywała swoje problemy w sposób pokojowy, sprawiedliwy i za pomocą metod dopuszczalnych przez prawo. Wojna przynosi jedynie krew i łzy. Wojna to śmierć. Dlatego ludzkość odrzuca wojnę instynktownie. W Syrii…

Na słowo „Syria" – komendę dla pantery – policjanci ruszają na nich ze swoimi tarczami, a zgromadzeni momentalnie zaczynają się dusić. Skąd ten kaszel? Czemu nie mogą zaczerpnąć powietrza? Przecież nie odpalono gazu łzawiącego. Policjanci wpychają ich do budynku, słychać krzyk, któraś ze starszych matek słabnie. Zanosząc się kaszlem, Maside dyryguje ludźmi: wzywa, by się cofali i nie panikowali. Jest stanowcza i spokojna.

Po wszystkim długo dochodzą do siebie, oceniają obrażenia. Kiedy się rozchodzą, na chodniku zostają białe plamy. Pozostałości niepozornych kulek, do złudzenia przypominających kapiszony. Rzucone na ziemię uwalniają nie dźwięk, a biały pył, który natychmiast unosi się i wdziera w płuca, dużo agresywniej i zajadlej niż gaz łzawiący.

Trzy dni później pył wciąż siedzi na płucach Maside i wyżera jej narządy. Przyszła, utykając i ze zmienionym głosem, jakby chrypą, przez którą co chwilę odchrząkuje. Zanim zdąży go ukryć, sekundowy grymas twarzy zdradza, że noga boli ją nawet, kiedy siedzi. Spotkanie numer 759 jest na pierwszym miejscu w jej rankingu najbardziej traumatycznych. Wypadło tuż po rozpoczęciu tureckiej interwencji zbrojnej na północy Syrii.

– Operacja Źródło Pokoju, *Barış Pinarı*, to w istocie wojna. Od ćwierć wieku stoimy po stronie osób, które wskutek polityki wojennej straciły najbliższych. Apel o pokój był naszym obowiązkiem – wyjaśnia Maside. Musiała wiedzieć, że użycie słowa „Syria” nie mogło skończyć się inaczej. Wszyscy wiedzą, że to jeden z wielu tematów, których po prostu się nie komentuje.

To moje kolejne już spotkanie z Maside. W czasie naszej pierwszej rozmowy, odbytej w towarzystwie Sebli Arcan, była bardzo rzeczowa, skupiona na faktach i postulatach. Druga rozmowa trwała tak krótko, że w zasadzie się nie liczy – po sobotnim proteście czekało na nią zbyt wiele osób, by mogła poświęcić mi czas. Trzecia, 12 października, nie doszła do skutku ze względu na policyjną interwencję. Dopiero trzy dni później mogłam wreszcie zapytać ją o to, jakim bratem był Hasan. Nie wiedziałam, czy odpowie. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, że mogłaby opuścić gardę.

– Hasan… – zaczęła, ale przerwała. – Hasan… – Zamknęła oczy i spróbowała ponownie, ale spod powiek wypadły jej łzy. Nie popłynęły po policzkach, lecz spadły wprost na podłogę, rozsypały się jak zerwany sznur pereł.

Opowiedziała urwanymi zdaniami.

O niekupionych rybach. O śpiewie przy sazie. O latarce.

O sąsiadach, którzy dopiero po jego zaginięciu przyznali się, że codziennie rano znajdowali przed drzwiami butelkę mleka i bochenek chleba. Hasan myślał, że nie wiedzą, od kogo. A oni wiedzieli. I przyjmowali, z milczącym wstydem, że klepią taką biedę.

O tym, jak to mleko i chleb ją zdziwiły. Bo nie sądziła, że Hasan mógł mieć przed nią sekrety. Sama mówiła mu wszystko. Tylko jemu. Był jej jedynym powiernikiem.

Maside zmieniła się w małą, pociągającą nosem dziewczynkę. Jeszcze chwilę ze sobą walczyła, ale obie wiedziałyśmy, że więcej nie zdoła powiedzieć.

Teraz już łkała, a to jej łkanie było jak drzazgi wbijane pod paznokcie.

*

Czy łzy Erdoğana były równie szczere? Sebla Arcan im nie uwierzyła. Od początku uważała, że spotkanie z Sobotnimi Matkami to przedwyborczy spektakl, w którym ówczesny premier miał zaprezentować się jako lider zdolny rozwikłać nierozwiązane od dekad problemy. A jednak wzięła w nim udział.

Najważniejsza osoba w państwie miała ich osobiście wysłuchać i przyjąć od nich dokumenty, jakie udało im się zgromadzić w ich sprawach. To oznaczało jedno. Od tego momentu żadna władza, niezależnie od szczebla, nie będzie mogła twierdzić, że o niczym nie wiedziała.

W skład delegacji weszli przedstawiciele İHD oraz dwunastu rodzin, między innymi Hüseyin Ocak, starszy brat Maside. Salony stambulskiego pałacu Dolmabahçe dawno nie widziały takiego napięcia.

Sebla Arcan pamięta to tak:

Ministrowie Erdoğana wbili oczy w podłogę. Wyglądali, jakby wstrzymali oddech i bali się zaczerpnąć kolejny. Ona zaczęła. Od Międzynarodowej Konwencji ONZ w sprawie ochrony wszelkich osób przed wymuszonym zaginięciem. Przyjęto ją w grudniu 2006 roku, dwa miesiące później państwa członkowskie mogły składać pod nią podpisy. Był luty 2011 roku, a Turcja wciąż nie złożyła swojego. Erdoğan tylko się żachnął: „Mamy ku temu ważne powody". Odpowiedziała: „Nic nie może być ważniejsze od wypełnienia woli obywateli. Przyszłyśmy przypomnieć panu o pańskich obowiązkach". Jego ministrowie odruchowo zakryli twarze dłońmi. Erdoğan nie jest w stanie pohamować złości, gdy coś idzie nie po jego myśli. Nawet jeśli zwracać by się do niego jak do sułtana.

Głos zabrała Berfo Ana, matka zaginionego Cemila Kırbayıra, tak drobna, że niemal ginęła w swojej białej chuście: „Jeśli tylko będziesz chciał, z łatwością wyjaśnisz, co się stało z naszymi dziećmi. Odnajdziesz je albo ich groby". Mówiła z taką determinacją, jakby wlała w te słowa wszystkie siły, jakie jej pozostały. Nie była już w stanie nawet chodzić. „Przed

śmiercią mam tylko jedno, ostatnie życzenie: żebyś odnalazł mojego syna. Nie zostało ci wiele czasu”. Berfo Ana miała wtedy sto trzy lata.

Zaplanowane na czterdzieści pięć minut spotkanie przedłużyło się do czterech godzin. Premier do końca zachował spokój. Wysłuchał wszystkich rodzin, po czym zapewnił je o swoim wsparciu: „Wasze problemy są problemami mojego gabinetu”.

Gdy potem mówił o Berfo Anie w parlamencie, po jego twarzy płynęły łzy.

Erdoğan powołał parlamentarną komisję do wyjaśnia sprawy Cemila Kırbayıra. Stawili się przed nią wysokiej rangi wojskowi, oficerowie wywiadu, przesłuchujący Cemila policjanci, współwięźniowie, a nawet mężczyzna serwujący na posterunku herbatę. Rzecz bez precedensu, bo w sprawach zaginięć zeznań zazwyczaj się nie przyjmuje. Dzięki temu nie ma dowodów, nawet nie ma poszlak.

Komisja sporządziła raport. Stwierdziła w nim, że bezpośrednią przyczyną śmierci Cemila były tortury, jakim został poddany na posterunku, a także podała nazwiska osób odpowiedzialnych za jego zaginięcie. Przełom, radość, nadzieja. I trzask szuflady, do której trafił raport.

Berfo Ana zmarła dwa lata po spotkaniu w pałacu Dolmabahçe. Ciało Cemila nie zostało odnalezione. Żadna z osób wymienionych w raporcie nie usłyszała zarzutów.

*

Los większości dzieci Sobotnich Matek, w tym İsmaila Bahçeciego, nadal pozostaje nieznany. Ale one w głębi duszy wiedzą, co się z nimi stało. I choć ich sprawy są już bez szans – po dwudziestu latach ulegają przedawnieniu – to nie pochowały całej nadziei. Wierzą, że kiedyś w Stambule powstanie cmentarz, na którym spoczną ci, którzy zaginęli. Choćby w grobach nie było ich kości. Byle pokazać, że pamięci o nich nie sposób zatrzeć.

Dopóki nie mają możliwości pochówku najbliższych, tym miejscem pamięci jest niewielka przestrzeń przed liceum Galatasaray. Mówią, że tylko tu mogą spotkać się ze swoimi zaginionymi dziećmi. Dlatego do swoich postulatów, które od 1995 roku pozostały niezmienne, po siedemsetnym spotkaniu dodały jeszcze jeden: by pozwolili im się tam zbierać, by zwrócili im Galatasaray.

Na razie ściskają się w policyjnym imadle, zupełnie niewidoczne dla radosnej rzeki ludzi płynącej beztrosko przez aleję İstiklal. Ale nawet ci, którzy je dostrzegają, nie wiedzą jednego: jest ich tak wiele, że same też są jak rzeka. Te, które nie dołączają do sobotniego protestu, proszą o wybaczenie. Boją się, że jeśli przyjdą, to na ich dzieci i wnuki spadną konsekwencje. Jakie? Tego nie wiedzą i ta niepewność jest najgorsza.

– Historię piszą ludzie u władzy. Wskazują, kto ma prawo istnieć, a kto nie. Jeśli pozwolimy im o tym decydować, to ginąć będą kolejne osoby. I tak bez końca – mówi Sebla.

Maside rozwija tę myśl: – Po próbie puczu z dwa tysiące szesnastego w Turcji zaginęło dwadzieścia osiem osób. Ich bliscy zgłosili się do İHD z prośbą o pomoc. Ile rodzin postanowiło mierzyć się z niepewnością sam na sam? – Maside wie, że na to pytanie nikt nie zna odpowiedzi. W czasie gdy rozmawiamy, odnaleziono dwudziestu pięciu zaginionych. – Na posterunkach, lub precyzyjniej: tajnych centrach zatrzymań, w których przesłuchiwano i przetrzymywano domniemanych puczystów. To, czy są winni, powinien ustalić sąd. Tak jak i sąd powinien wymierzyć karę osobom odpowiedzialnym za zaginięcia. Dopóki pozostaną bezkarne, dopóty państwo będzie popełniać kolejne przestępstwa względem swoich obywateli. – Mała dziewczynka zniknęła, przede mną znów siedzi dorosła kobieta.

Gdy kończymy rozmawiać, Maside oczy ma jeszcze zaczerwienione, ale znów pełne światła. Żegna się ze mną wyprostowana, odchodzi pewnym krokiem. Z wypchanymi kieszeniami, zupełnie jak kiedyś Hasan. Kiedy wróci do domu, długo będzie wpatrywać się w zdjęcia brata. Jego roześmianą twarz porozstawiała po całym mieszkaniu. To pomaga jej

usunąć sprzed oczu tę drugą, z policyjnych zdjęć, której w pierwszej chwili nie rozpoznała. Białe plamy pojawiają się tylko na chodniku. W pamięci nie ma żadnych.

[6] Alewizm to związany z szyizmem odłam islamu. Szacuje się, że wyznaje go około trzydziestu procent ludności Turcji, głównie sympatyzujący z lewicowymi ruchami politycznymi Kurdowie.
[7] Dekret zniesiono w 1991 roku.
[8] PKK do dziś uznawana jest przez Turcję, UE oraz USA za organizację terrorystyczną.

Skrawki

Z samolotu już widać Diyarbakır. Maszyna zniża pułap, przelatuje nad miastem, mija je i leci dalej. Jakby zignorowała fakt jego istnienia. Kawałek za miastem jednak zawraca. Ląduje.

Końcówka trasy lotów z zachodniej Turcji do Diyarbakır, po kurdyjsku Amed, za każdym razem wydaje mi się symboliczna. Wielu chciałoby ominąć południowy wschód kraju i jego mieszkańców. Ale jakkolwiek usilnie by próbowali, nic z tego.

Kurdowie tam są i wciąż się śmieją. Śmiech mają w oczach, gestach, głosie, pod skórą. Nawet kiedy opowiadają o czymś z powagą, to i tak czuć, że radość tylko czeka, by się wydostać na zewnątrz. A niech usłyszą dźwięki bębnów i zurny, ich długiej trąbki, nogi same rwą się, by tańczyć skoczny *halay*!

Są jednak takie momenty, gdy ten ich śmiech, ta radość, ten taniec wydają się za szybkie. Jakby chcieli się nacieszyć na zapas. W końcu w języku tureckim marzenie i życie różni tylko jedna litera. A nawet mniej niż litera, malutka kreseczka. *Hayal* to marzenie. *Hayat* – życie. A pomiędzy nimi jest *kader* – przeznaczenie. Przekłada kreseczkę, sprowadza na twardą ziemię. Ile razy Kurdowie zadawali sobie pytanie: czy to aby na pewno *kader*, czy może jakaś inna siła?

*

Na zapuszczonym kamienistym podwórzu przed zniszczonym ostrzałem domem stoi lodówka. Jej widok w tym wymarłym miejscu budzi niepokój. Nastolatka o włosach splecionych w gruby warkocz nie wie, jak się zachować, waha się. Niepewnym krokiem podchodzi do lodówki. Powoli,

ostrożnie uchyla jej drzwiczki. Zagląda do środka. Sprawdza, czy zostało coś do jedzenia. Nic. Zamyka drzwiczki i zastyga w przerażeniu. Obok niej wyrósł zamaskowany żołnierz, przez wąski otwór kominiarki wbija w nią swój żelazny wzrok. Dziewczyna aż się kuli. Nagle on próbuje ją złapać. Zdążyła się uchylić, rzuca się do ucieczki. On za nią. Nierówny i dziwny to pościg. Dziewczyna nie ucieka ani do domu, ani w ruiny, ale biegnie wokół lodówki, tego dręczącego centrum, które przeradza się w pole walki. Wskakuje na lodówkę, próbuje się bronić, ale on przewraca lodówkę kopniakiem i w rozkazującym geście zaproszenia otwiera drzwiczki. Lodówka wygląda teraz jak otwarta trumna. Napastnik wciąga do niej dziewczynę. Ona usiłuje walczyć, kopie, szarpie, ale na nic, już leży w środku. On zamyka drzwiczki lodówki i staje na niej wyprostowany. Zastyga w bezruchu, nie zważając na dobiegające ze środka dudnienie.

To film Alego Bozana, o roboczym tytule *Filmin adı ne olsun?, Tylko jak zatytułować taki film?*. Reżyser pokazał mi jego wstępną wersję, nad którą wciąż pracuje. Krótka etiuda oparta jest na faktach. Aktorka odgrywa Cemile Çağırgę, dziesięciolatkę, która 6 września 2015 roku w Cizre na południowym wschodzie Turcji rzeczywiście została zamknięta w lodówce.

To był już trzeci dzień bezwzględnego zakazu wychodzenia z domów, jaki wprowadzono w Cizre z powodu przeprowadzanej w regionie operacji antyterrorystycznej. Snajperzy przyjęli pozycje na dachach domów. Rozmieszczone na okolicznych wzgórzach czołgi otworzyły ogień, a między budynki wjechały wozy opancerzone. Odcięto prąd i wodę, możliwość dojazdu karetek, a trzecie piętro szpitala zamieniono w posterunek policji. Ludzie stłoczyli się w piwnicach, ciało przy ciele, oddech przy oddechu. Czekali.

Cemile wyszła przed dom. Wóz opancerzony dostrzegł ruch. Pocisk wszedł w jej ciało, zgasił ruch. Matka wybiegła, chwyciła córkę, przywlekła z powrotem do domu. Tam wzięła ją, nieprzytomną, w objęcia. Zrozumiała. Nie ma już córki, to tylko ciało. Jak je zachować, by móc je pochować, kiedy w końcu zakaz wychodzenia z domów zostanie zniesiony? Włożyli ciało Cemile do lodówki.

Ramazan Cağırga, ojciec Cemile, mówił później, że jego rodzina już drugi raz padła ofiarą operacji przeprowadzanej przez turecką armię. Gdy w 1992 roku w podobnych okolicznościach jego dom został ostrzelany, stracił córkę, matkę, ojca, brata, siostrę, bratową i siostrzeńca.

– Ludzie zbyt szybko zapominają. Musiałem utrudnić im zapominanie – mówi mi reżyser Ali. Historia rodziny Cağırga była dla niego jak rana. Jątrzyły ją media relacjonujące zwycięstwa tureckich żołnierzy nad PKK, jakby w ich operacji wojskowej nie było odcieni szarości, moralnych dylematów, cierpienia cywilów. O tym, co naprawdę dzieje się w regionie, Ali dowiadywał się od będących na miejscu przyjaciół i krewnych oraz za pośrednictwem mediów społecznościowych.

Długo szukał odpowiedniego języka, by opowiedzieć o tych wydarzeniach.

Z pomocą przyszedł mu list, który jeden z posłów opozycji odczytał w parlamencie w styczniu 2016 roku.

Trzymała swój hidżab mocno.
W zaciśniętej pięści, pełnej cierpienia.
Pięści zamienionej w kamień.
W miejsce jej zapachu woń krwi i ziemi.
Noga przy nodze, zaciśnięte z siłą.
Jej ulubiona sukienka nasiąkła krwią.
Potem krew zakrzepła.
Wyrwali jej duszę.

Leżała tak siedem dni,
siedem nocy,
na środku ulicy,
gdzie została postrzelona.

Miasto, w którym się urodziłem, zostało mi zabronione.
Moja dzielnica, zabroniona.
Ulica, przy której się wychowałem, zabroniona.

Nie mogłem do niej podejść.
Nie mogliśmy zrobić nic.
Nie mogliśmy spać.
Przyjdą psy, nadgryzą jej ciało.
Kołujące nad nimi ptaki będą się temu przyglądać.

Leżała tak siedem dni,
siedem nocy,
na środku ulicy,
gdzie została postrzelona.

Była moją matką.

Słowa te wypowiada lektor w kolejnym filmie Alego, *Yedi gün yedi gece*, *Siedem dni, siedem nocy*. Nie umiem przełożyć ich i zapisać inaczej niż wierszem. – Pochodzą z listu Mehmeta İnana, syna Taybet. Wybrałem z tego niego kilka zdań. Część skróciłem, część złagodziłem. Żeby nie krzyczały, mówiły jak najprostszym językiem – opowiada mi Ali. A jednak jego film jest jak krzyk. Trzy minuty, jedna scena: filmowana z góry aktorka leży w wąskiej uliczce wśród gruzu.

Co musiała przeżywać rodzina pięćdziesięciosiedmioletniej Taybet, kiedy oglądała ją tak przez okno? 19 grudnia 2015 roku kobieta została postrzelona przez snajpera w Silopi w czasie trwającej tam operacji antyterrorystycznej. Padła na ziemię kilkanaście metrów od domu. Jej szwagier próbował po nią wyjść, ale kula snajpera uśmierciła i jego. Próbował też mąż. I on został postrzelony.

Rodzina nic więcej nie mogła zrobić. Patrzyła na jej ciało siedem dni i siedem nocy.

Ta historia to kolejna rana Alego. Sam też pochodzi z południowego wschodu kraju, jest Kurdem z Adıyaman. Silopi było tak blisko, a zarazem

tak daleko. Nie sposób było tam pojechać. A przecież musiał zrobić ten film.

Zaczął szukać miejsca, które przypominałoby zniszczony wojną region. Znalazł ich kilka, wszystkie w Stambule. Okolice poddawane przebudowie, *kentsel dönüşüm*. Wybrał Fikirtepe, dzielnicę po azjatyckiej stronie miasta. Idealną, by opowiedzieć o gniewie i bezsilności.

*

Gniew i bezsilność towarzyszą Kurdom od lat. Nawet jeśli na jakiś czas osłabną, potem i tak wracają, jak nieproszeni, nachalni goście, zupełnie nie pasujący do radosnej kurdyjskiej natury. Próbując zrozumieć dlaczego te emocje upodobały sobie właśnie południowy wschód Turcji, poleciałam do Diyarbakır. Opowieści mieszkańców słuchałam na murach otaczających najstarszą część miasta.

Są masywne i tak sędziwe, że część z nich pamięta jeszcze Rzymian. Czarny bazalt, nadkruszone flanki, opasłe wieże i bramy, majestat. Ponoć to drugie najpotężniejsze mury świata, długością ustępujące tylko Wielkiemu Murowi Chińskiemu. Kurdowie chętnie się po nich przechadzają.

W obrębie tych murów są kolejne: meczety i karawanseraje, niemal wszystkie w paski. Biały, ciemny, biały, ciemny, biały… Cegły ułożone są naprzemiennie w poziomych rzędach. Zupełnie jak historia tureckich Kurdów. Okres czarny, potem jasny i znów czarny. Aż do 2013 roku, kiedy to nastał przełom, stabilizacja na dobre. Tak się przynajmniej wydawało, gdy słuchało się listu Abdullaha Öcalana. Przywódca PKK napisał go z więzienia, po kolejnych już rozmowach pokojowych, jakie prowadził z tureckim rządem. List odczytano w Diyarbakır w święto Newroz, po kurdyjsku i turecku. W każdym z tych języków brzmiał równie niewiarygodnie: informował o zawieszeniu broni i rozpoczęciu wycofywania się partyzantów z gór wschodniej Turcji do Iraku.

Wiosnę czuć było w powietrzu przez kolejne miesiące. Jej zapach unosił się w żarze upalnego lata, a we wrześniu jeszcze się nasilił. Premier

Erdoğan zapowiedział serię reform politycznych, tak zwany pakiet demokratyczny. Dopuszczał on możliwość nauczania w języku kurdyjskim w prywatnych szkołach, znosił zakaz używania liter w, q, x – występują w kurdyjskim, w tureckim nie – a nawet sugerował możliwości obniżenia dziesięcioprocentowego progu wyborczego, co ułatwiłoby kurdyjskim partiom wejście do parlamentu.

W listopadzie zaś mury Diyarbakır oglądały już sceny niebywałe. Obok siebie powiewały dziesiątki flag Turcji i irackiego Kurdystanu, a premier Erdoğan czarował. Jego spotkaniu z prezydentem tego regionu Mesudem Barzanim towarzyszył jednoczesny ślub trzystu młodych par oraz powrót legendy, Şivana Perwera, zmuszonego do emigracji barda, którego piosenki – długo w Turcji zakazane – kształtowały kurdyjską tożsamość.

W tych okolicznościach Erdoğan wypowiedział dwa zaklęcia. Oba brzmiały, jakby miały moc zdolną odmienić wszystko: los, przeznaczenie, *kader*. Pierwsze krótkie. Jedno słowo: „Kurdystan”. Premier użył go na określenie północnego Iraku. Drugie dłuższe: „Przyjdzie taki dzień, gdy partyzanci kurdyjscy zejdą z gór, a więzienia opustoszeją”. Turcja z ekscytacją powtarzała je przez następne tygodnie.

Wielu Kurdów dało się porwać nastrojom, licząc, że pokój i turyści wrócą już na stałe. Ale byli i tacy, co z nauki, którą dała im wielka polityka, zapamiętali, że nadzieja jest krucha, a najmniejszy podmuch wiatru może roztrzaskać ją w szklany pył. A jeśli to tylko miraż, pytali, próba pozyskania kurdyjskiego elektoratu kosztem niewielkich ustępstw? Może to wyborcza gra na czas? Wszak czas działał na korzyść rządu. Każdy dzień obowiązywania rozejmu, bez ryzyka zamachów bombowych ze strony PKK, Turcy zapisywali na poczet zasług Erdoğana.

Podmuch zaskoczył wszystkich. Przyszedł od strony Syrii.

Kurdowie dokonywali tam niemożliwego: odpierali nawałnicę ekstremistów, którzy nazywali siebie Państwem Islamskim. Zachód obserwował to z podziwem i niedowierzaniem, jakby usiłował przypomnieć sobie, kim właściwie są ci bojownicy, w szeregach których walczą i kobiety, z chustami w kwiaty zamiast hełmów? Rządy zaczęły ich

dozbrajać, a komentatorzy rozpisywać się o Rojavie, kontrolowanym przez Kurdów autonomicznym regionie w północno-wschodniej Syrii. To najprawdziwsza demokracja, kompromis, w którym uwzględniono interesy mniejszości narodowych, etnicznych, wyznaniowych oraz kobiet; wzór dla całego Bliskiego Wschodu! – prześcigano się w zachwytach.

A Kurdowie walczyli, walczyli, walczyli. Pewni, że ich poświęcenie przyniesie im to, co raz już prawie mieli. Aż walki doszły do Kobane, tuż przy granicy z Turcją. Dżihadyści przystąpili do oblężenia miasta, a Kurdowie bronili je tak, jakby poza tym starciem nie istniało nic, ani pragnienie, ani wycieńczenie, ani nawet śmierć. Długie lufy ustawionych na granicy tureckich czołgów bacznie to obserwowały. Godziny przechodziły w dni, dni w tygodnie, ale źrenice pocisków pozostawały nieruchome.

Oburzeni tureccy Kurdowie domagali się od Ankary reakcji. W pierwszej połowie października 2014 roku w protestach na wschodzie Turcji zginęło ponad czterdzieści osób.

Proces pokojowy obrócił się w pył. Erdoğan wyparł się rokowań z Kurdami. Wróciła przemoc, zamachy, aresztowania, a młodzi, pewni siebie mężczyźni w mundurach w kilku miastach i miasteczkach przystąpili do kopania okopów i wznoszenia barykad. Liderzy PKK ogłosili na tych terenach autonomię. Ankara zareagowała błyskawicznie.

*

Podobnie jak reżyser Ali, i ja długo borykałam się z wątpliwościami, jak opisać tę reakcję. Wiedziałam, że władze wprowadziły obowiązujący nawet do kilku tygodni zakaz wychodzenia z domów, by rozpocząć operację antyterrorystyczną. Region został odcięły od świata. Nie mogłam tam pojechać.

Czy mam więc prawo informować o tych wydarzeniach?

I jakiego użyć języka, by opisać śmierć?

Te pytania zadawali sobie także przedstawiciele największych światowych organizacji broniących praw człowieka, aktywiści,

dziennikarze, pisarze i artyści, których nie wpuszczono na południowy wschód kraju.

Wszyscy uznali, że mają nie tylko prawo, ale i obowiązek opowiedzieć o rozgrywających się tam wydarzeniach. Poróżnili się tylko w odpowiedzi na pytanie o język.

*

Można posłużyć się językiem liczb. Urząd Wysokiego Komisarza ONZ do spraw Praw Człowieka opublikował je w swoim raporcie w lutym 2017 roku:

> W okresie od lipca 2015 roku do grudnia 2016 roku w czasie operacji bezpieczeństwa na południowym wschodzie Turcji zginęło około dwóch tysięcy osób, w tym około ośmiuset członków sił bezpieczeństwa i tysiąc dwustu mieszkańców, z czego niewiadoma liczba była zaangażowana w działania o charakterze zbrojnym lub niezbrojnym przeciwko państwu. […] Liczba osób wewnętrznie przemieszczonych na południowym wschodzie zawiera się pomiędzy trzysta pięćdziesiąt pięć tysięcy a milionem osób, głównie pochodzenia kurdyjskiego.

Można przywołać historię, tak by wyciągnięte – lub nie – z niej wnioski ułożyły się w ostrzeżenie. Tak zrobiła Amnesty International w oświadczeniu z czerwca 2016 roku:

> Powrót do szeroko zakrojonych, systematycznych naruszeń praw człowieka, jakich państwo tureckie dokonywało w latach dziewięćdziesiątych i za które odpowiedzialni nigdy nie zostali skutecznie pociągnięci do odpowiedzialności, byłby katastrofą dla obecnych i przyszłych pokoleń.

Można przywoływać głosy. Pod koniec stycznia 2016 roku jeden z nich wybrzmiał w Parlamencie Europejskim w Brukseli. Wydobywał się spod ziemi, z piwnicy:

„W Cizre, w jednym tylko budynku, rannych zostało dwadzieścia osiem osób. Pięć z nich już zmarło z powodu utraty krwi. Nie mamy wody, a kiedy próbujemy po nią wyjść, strzelają do nas snajperzy. Jestem w tym budynku, czteropiętrowym, niemal zupełnie zniszczonym w wyniku ostrzału moździerzowego. Sytuacja jest krytyczna. Wzywam was, przyjaciele, zatrzymajcie to okrucieństwo!”.

Mehmet Tunç, lokalny polityk z Cizre, apelował do uczestników unijnej konferencji na temat Turcji, Kurdów i Bliskiego Wschodu. Połączyła się z nim telefonicznie moderatorka jednego z paneli dyskusyjnych, kurdyjska aktywistka Nurcan Baysal.

„Dziesięć dni po konferencji, 8 lutego 2016 roku, Tunç wraz z innymi spłonął żywcem. W piwnicach Cizre spłonęło ponad sto pięćdziesiąt osób” – napisała na swoim blogu.

Baysal zaczęła zajmować się południowym wschodem Turcji w drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych, pracując dla Programu Narodów Zjednoczonych do spraw Rozwoju. Jej słuch wyczula się zawsze, gdy na te ziemie wraca przemoc. Trudno byłoby wymienić wszystkie regionalne organizacje pozarządowe, które w taki czy inny sposób uzyskały jej wsparcie. Obecnie pracuje jako dziennikarka anglojęzycznego portalu Ahval. Jest też pisarką, autorką czterech książek poświęconych regionowi.

Najnowszą z nich zatytułowała *O sesler*, *Tamte głosy*. Głosy Kurdów z Sur, historycznej, przylegającej do murów dzielnicy Diyarbakır, liczących odgłosy bomb. Lament imamów, którzy bezskutecznie próbują się przedostać do uwięzionych w Sur ludzi. Podkręcane coraz głośniej telewizory, którymi mieszkańcy innych dzielnic starają się zagłuszyć eksplozje. I bezgłośny czarny dym, którego nie ma jak oszukać.

Na powstałe tutaj po ogłoszeniu autonomii okopy i barykady państwo odpowiedziało operacją bezpieczeństwa z użyciem najcięższego sprzętu. Po raz pierwszy zakaz wychodzenia na ulice wprowadzono 6 września 2015 roku. Później go zniesiono, wprowadzono kolejny, znowu zniesiono. Za piątym razem zniesienia już nie było. Ostatnia faza operacji w Sur rozpoczęła się 2 grudnia 2015 roku. Półtora tygodnia później przerwano ją

na siedemnaście godzin, w czasie których mieszkańcy musieli zadecydować, czy wybierają życie, czy śmierć. Tylko część z nich zdecydowała się na ucieczkę.

Działania zbrojne w Sur zakończono po stu pięciu dniach. Kiedy ponad rok później Nurcan kończyła pisać *O sesler*, mieszkańcy dzielnicy wciąż nie mogli wrócić do domów. Blokada została utrzymana, na miejsce wjechał ciężki sprzęt, rozpoczęła się odbudowa.

Pod koniec listopada 2019 roku, kiedy po kilkutygodniowym pobycie wyjeżdżałam z Diyarbakır, Sur nadal było wymarłym miastem, na teren którego prawo wstępu miały jedynie ekipy budowlane.

„W moim rodzinnym Sur obowiązuje najdłuższa godzina policyjna świata" – pisze Baysal na łamach Ahval.

Można sięgnąć po język szczegółów, jak zrobiło to Tureckie Stowarzyszenie Praw Człowieka (TİHV, Türkiye İnsan Hakları Vakfı). Sporządzony przez nie raport zatytułowany *79 dni zakazu wychodzenia z domu*. *Raport z Cizre* jest brutalnie dokładny.

Zakazy wychodzenia z domów w Cizre:

4–12 września 2015

13–14 września 2015

14–15 listopada 2015

14 grudnia 2015 – 3 marca 2016

Przedstawiciele stowarzyszenia dotarli na miejsce trzy dni po zniesieniu czwartego, najdłuższego okresu obowiązywania godziny policyjnej. W raporcie spisali relacje mieszkańców z okresu obowiązywania zakazu oraz z czasu powrotu do domów, które byli zmuszeni opuścić na czas operacji.

W ten sposób powstały pięćdziesiąt cztery strony wypełnione szczegółami:

C.A., kobieta: „Do naszego domu wdarli się żołnierze. Z zakrytymi twarzami skandowali: »Nie ma boga, jest tylko państwo, wszyscy jesteście terrorystami«”.

Komisja TİHV: „Okna, które nie popękały w wyniku ostrzału, zostały powybijane jedne po drugim. Niemal wszystkie rzeczy w domu zniszczono. Sprzęt AGD i telewizor zostały roztrzaskane przy pomocy młotów i podobnych narzędzi. To, co można było wynieść – komputer, tablet, telefony – zostało rozkradzione. Zapasy żywności zniknęły. Albumy ze zdjęciami i bieliznę porozrzucano po podłodze. Drzwi spalono. W domu był kał i uryna. Na ścianach wypisano rasistowskie, seksistowskie, naruszające cześć i godność slogany, które kpiły z wyznawanych przez mieszkańców wartości i pochwalały przemoc”.

Komisja TİHV: „W zeskładowanych w pobliżu rzeki Dicle gruzach znajdowały się ludzkie szczątki […]. Rozmawiając z bawiącymi się na tym terenie dziećmi, nasi prawnicy odnaleźli pod mostem fragment ręki”.

M.A., dziennikarz z Cizre: „Większość dzieci, które znam, przestała mówić”.

*

Można zrezygnować ze słów na rzecz języka obrazów.

Zdjęcie wykonano przy graniczącej z Syrią miejscowości Nusaybin w 2016 roku, tuż po zakończeniu operacji antyterrorystycznej. Na nim – zgliszcza po horyzont, czarny dym, wywieszone na ruinach tureckie flagi, a pośrodku cztery wozy opancerzone i grupa żołnierzy. Na Twittera wrzucił je prawdopodobnie jeden z nich. Trudno stwierdzić to z całą pewnością, gdyż momentalnie powieliło je wiele profili związanych z tureckimi siłami zbrojnymi. Dla armii było świadectwem zwycięstwa nad PKK. Dwudziestosiedmioletnia Zehra Doğan, reporterka kurdyjskiej agencji informacyjnej JİNHA, dostrzegła w nim coś innego. Fotografię odwzorowała z wielką dokładnością w formie obrazu. Zmieniła jeden szczegół: wozom opancerzonym dodała ogony i szczypce skorpionów, bo

na tego typu wozy mówi się w Turcji *akrep*, skorpion. Uznając, że za pomocą sztuki zdoła powiedzieć więcej niż jako dziennikarka, zamieściła zdjęcie obrazu na Twitterze.

Ten sam obraz umieścił na Manhattanie Banksy, jeden z najsłynniejszych streetartowych artystów. Poniżej wymalował mural: białe tło, a na nim wydrapane czarne kreski, cztery pionowe i jedna przekątna – takie, jakie więźniowie skrobią na ścianach cel, by odliczać dni. W dwudziestej piątej kratce domalował też twarz kobiety, zaś w ostatniej napisał: *Free Zehra Doğan*, Uwolnić Zehrę Doğan. Dodał też zdanie wyjaśnienia: „Skazana na dwa lata, dziewięć miesięcy i dwadzieścia dwa dni więzienia za namalowanie tego obrazu".

Obraz Zehry uznano za propagandę terrorystyczną. Tak samo jak artykuł opublikowany w grudniu 2015 roku, w którym zawarła wypowiedź dziesięcioletniej mieszkanki Nusaybin, Elif Akboğa, komentującej przeprowadzaną w mieście operację: „Kiedy nasilają się odgłosy ostrzału, uciekamy do domów. Ale kiedy czołgi odjeżdżają, wychodzimy na ulice protestować. Myślę, że racja jest po naszej stronie. Wiem, że któregoś dnia nasze głosy zostaną usłyszane".

Zehra wyszła na wolność w lutym 2019 roku. „Granice sztuki, o które świat artystyczny spiera się od wieków, najwidoczniej właśnie zostały wytyczone decyzją tureckiego sądu. Nie tylko sztuka ma w Turcji granice" – powiedziała jeszcze w tym samym roku, odbierając nagrodę Freedom of Expression Awards, przyznaną jej przez Index on Censorship, brytyjską organizację pozarządową zajmującą się obroną wolności słowa.

Swoje prace Zehra wystawia teraz w najważniejszych światowych galeriach. W londyńskiej Tate Modern pokazała między innymi kobiety o dużych, mokrych oczach i ciałach przeszytych cierpieniem – żądłem skorpiona lub szponami drapieżnych ptaków. Niektóre z nich zamiast na płótnie namalowała na gazetach lub kartonach po mleku, nie farbami, ale zmieszaną z wodą kurkumą, pomidorami, pastą z papryki. Oraz krwią, swoją własną i koleżanek z celi. Te prace stworzyła w więzieniu, gdzie odmówiono jej materiałów malarskich.

Na swoich wystawach Zehra ze szczególną dbałością eksponuje przedmioty z miejsc, w których przeprowadzono operację antyterrorystyczną. Nadpalone dywany, zakrwawione ubrania, koce pełne popiołów. Pozostałości z czasów pracy reporterskiej. Zebrane na pogorzeliskach skrawki życia i śmierci.

Można posłużyć się językiem prawa – parlamentu, ustaw, dekretów i planów.

23 czerwca 2016 roku turecki parlament przyjął ustawę numer 6722, ograniczającą odpowiedzialność karną osób, które wykonywały obowiązki w ramach operacji antyterrorystycznej. Wprowadziła ona wymóg uzyskania zgody premiera na wszczęcie dochodzenia wobec szefa sztabu i wyższych dowódców, zaś w przypadku wojskowych niższego stopnia – zgody ministerstwa spraw wewnętrznych. W razie jej uzyskania podejrzani staną jedynie przed sądami wojskowymi.

22 lipca 2016 roku wydano dekret KHK numer 667. Stwierdza się w nim, że osoby, które wydawały decyzje i wykonywały swoje obowiązki w ramach implementacji stanu wyjątkowego, nie ponoszą odpowiedzialności prawnej, administracyjnej, finansowej ani karnej.

We wrześniu 2016 roku rząd w Ankarze ogłosił plan odbudowy południowo-wschodniej Turcji. TOKİ ma wybudować w regionie blisko trzydzieści jeden tysięcy domów, w tym siedem tysięcy w Sur. Równe rzędy jednakich willi, tak różne od niegdysiejszego labiryntu wąskich uliczek historycznego Diyarbakır. Dawni właściciele zostali wywłaszczeni. Za odszkodowaniem, o ile podpisali deklarację, że ich domy zostały zniszczone w wyniku „działań terrorystycznych”. Ale tę historię już znamy.

*

Niezależnie od tego, który język się wybierze, trzeba liczyć się z ryzykiem, że przerwanie milczenia będzie miało poważne konsekwencje.

„Mój dziadek, Nihat Karayazgan, zanim w stopniu pułkownika tureckiej armii odszedł na emeryturę, walczył na Półwyspie Koreańskim. Do końca życia będę wdzięczna, że wrócił stamtąd żywy” – to pierwsze zdania obrony, którą profesor Ayşe Gül Altınay ze stambulskiego Uniwersytetu Sabancı wygłosiła w grudniu 2018 roku na drugiej rozprawie wytoczonego jej procesu. „Czuję się zobowiązana wobec niego, siebie samej oraz całej ludzkości, by zrobić wszystko, co w mojej mocy, by już nikt nigdy nie zaznał tego bólu, który mój dziadek nosił w sobie do końca swoich dni. Dlatego właśnie podpisałam oświadczenie »Odmawiamy udziału w tej zbrodni«”.

Akademiczka jest jedną z najwybitniejszych tureckich specjalistek w dziedzinie konfliktów. Badała między innymi wpływ przemocy na południowym wschodzie Turcji w latach dziewięćdziesiątych na psychikę służących tam żołnierzy oraz mieszkańców regionu. W swojej obronie podsumowuje je krótko: „Doświadczenie konfliktu, straty i śmierci, jakie były ich udziałem, zdefiniowało całe ich życie”.

Mowa profesor Altınay jest jedną z wielu obron wygłoszonych przez akademików podpisanych pod oświadczeniem *Bu suça ortak olmayacağız*, Odmawiamy udziału w tej zbrodni. Czytam transkrypty ich wystąpień. Większość jest równie osobista. I równie nieskuteczna. Profesor Altınay pół roku później została skazana na dwadzieścia pięć miesięcy pozbawienia wolności za świadome i celowe działanie na rzecz organizacji terrorystycznej.

Działaniem tym był podpis, który złożyła pod opublikowanym 11 stycznia 2016 roku oświadczeniem. Napisano w nim:

> Domagamy się, by państwo zaprzestało rzezi i celowych przesiedleń Kurdów oraz innych ludzi zamieszkujących ten region. Domagamy się, by państwo zniosło zakaz wychodzenia z domów i ukarało osoby odpowiedzialne za łamanie praw człowieka, a także zadośćuczyniło obywatelom, którzy doświadczyli strat materialnych i psychologicznych. Domagamy się, by do regionu wpuszczono niezależnych obserwatorów z kraju i zagranicy i umożliwiono im monitorowanie wydarzeń.

> Domagamy się, by rząd stworzył warunki do negocjacji oraz przygotował plan, który umożliwi osiągnięcie trwałego pokoju, uwzględniający postulaty kurdyjskiego ruchu politycznego. Domagamy się, by w negocjacjach tych wzięli udział niezależni obserwatorzy reprezentujący szerokie spektrum społeczne. Deklarujemy gotowość do pełnienia roli obserwatorów w charakterze wolontariuszy.

I najważniejsze:

> Milczenie jest współudziałem w zbrodni.

– Wyrok dwudziestu pięciu miesięcy pozbawienia wolności powtarzał się często. Bo taki boli najbardziej. Dwadzieścia cztery miesiące to granica. Wyższy wyrok to dożywotni zakaz sprawowania funkcji publicznych oraz brak możliwości odroczenia odsiadki – wyjaśnia mi profesor Murat Cemal Yalçıntan ze stambulskiego Uniwersytetu Sztuk Pięknych imienia Mimara Sinana. On też podpisał oświadczenie. W dniu publikacji widniało pod nim tysiąc sto dwadzieścia osiem nazwisk, w kolejnych dniach liczba podpisów przekroczyła dwa tysiące, a sygnatariuszy spotkały konsekwencje.

– Uważam, że rządzący nie chcieli brać na siebie pełnej odpowiedzialności. Pewnie czują, że kiedyś sami staną przed sądem. Dlatego zobligowali rektorów do sporządzenia list podlegających im akademików, którzy złożyli pod oświadczeniem podpisy. Rektorom pozostawiono decyzję, czy zwolnią sygnatariuszy z pracy. Nasz, porządny człowiek, pozostawił mnie na stanowisku. – Słowa „porządny człowiek" profesor Yalçıntan wypowiada z takim uznaniem, że jasne jest, czym groziła rektorom przychylność wobec podwładnych. Rektorskie listy posłużyły rządzącym jako podstawa do sporządzenia dekretów KHK wykorzystanych do zwalniania ludzi z pracy. Tych samych, od których zaczęła się historia oporu głodujących Nuriye i Semiha.

Wszystkim sygnatariuszom postawiono zarzuty propagandy na rzecz organizacji terrorystycznej. Tureckie więzienia wejdą do rankingu setki najlepszych światowych uniwersytetów – komentowała ulica.

Oświadczenie Akademików Pokoju, jak przyjęło się ich nazywać, musiało być już dawno przygotowane, kiedy Ayşe Çelik, nauczycielka z Diyarbakır, zadzwoniła do *Beyaz Show*, popularnego programu na żywo w Kanal D. A jednak wybrzmiało jak odpowiedź na jej telefon.

„Czy wiecie, co dzieje się na wschodzie i południowym wschodzie Turcji?" – spytała Çelik na antenie. Kilkanaście chaotycznych, drżących zdań: „Nie jestem w stanie o tym mówić. To, co widzicie w mediach, a to, co się tutaj dzieje, to dwa różne światy. Nie milczcie! Bądźcie ludźmi i wykażcie odrobinę wrażliwości. Zauważcie nas, usłyszcie, pomóżcie nam! Niech dzieci nie umierają, niech matki nie płaczą!".

Również i jej wypowiedź uznano za terrorystyczną propagandę. Dostała za nią karę piętnastu miesięcy pozbawienia wolności. Do więzienia zabrała swoją sześciomiesięczną córkę. Nie odbyła całego wyroku. Wygrała apelację. Podobnie jak i Akademicy, w sprawie których Trybunał Konstytucyjny we wrześniu 2019 roku orzekł, że naruszono wolność słowa.

– Dla wielu było już za późno. Wykładowca Uniwersytetu Çukurova w Adanie, Mehmet Fatih Traş, nie udźwignął ciężaru tej walki. Popełnił samobójstwo. Niektórzy, w tym dwóch moich bliskich współpracowników, wyjechali za granicę. Wybitni naukowcy, nieodżałowana strata dla kraju. – Profesor Yalçıntan zawiesza wzrok na niedopitej, wystygłej już herbacie.

O tym, co spotkało ludzi, o których upomniała się Ayşe Çelik i Akademicy Pokoju, większość mieszkających na zachodzie kraju Turków nie tylko milczy, ale nawet nie wie.

*

Kurdowie z Diyarbakır siadają na murach i patrzą.

Na masywnej baszcie Keçi Burcu powiewają dwie tureckie flagi. Jedna na maszcie, druga zwieszona z flank, tak ogromna, że przykryłaby niemal całą basztę, ale za sprawą szarpiącego nią wiatru w ogóle jej nie dotyka. Jakby mur ją odpychał, nie chciał jej.

Wyżej – stada białych gołębi. Krążą nad miastem wąskimi kołami, jak przywiązane na niewidzialnych nitkach. Przysiadają na murach, odlatują, wracają, znów odlatują.

Poniżej – ciężki sprzęt równa gruzy Sur.

A Kurdowie w milczeniu, z głowami wspartymi na dłoniach, chłoną w siebie zgliszcza, zanim zupełnie znikną.

Siła

Kiedy Lisa Çalan tańczy, trudno oderwać od niej wzrok. Jej taniec jest piękny, sensualny, ona zachwycająco kobieca. Na ustach ma mocną szminkę, w zgrabnym nosie połyskujący kolczyk, we włosach polne kwiaty. Wiruje z wdziękiem, a kompanów do tańca jej nie brakuje. Wystarczy, że pójdzie na któreś z przedwyborczych zgromadzeń. Kurdowie zawsze zamieniają je w festyny.

Tak było i 5 czerwca 2015 roku, na dwa dni przed wyborami parlamentarnymi. W Diyarbakır miał przemawiać Selahattin Demirtaş, lider prokurdyjskiej HDP, polityk o energii gwiazdy rocka, który rok wcześniej zajął trzecie miejsce w wyborach prezydenckich. Lisa przyszła na ten wiec z przyjaciółmi. W tłumie była też cała jej rodzina i mnóstwo znajomych. Wszyscy podekscytowani, jakby przeczuwali, że dwa dni później HDP wprowadzi Kurdów do parlamentu jako trzecią siłę w kraju. Ponoć co wrażliwsi potrafią wyczuć, że nadchodzą przełomowe wydarzenia.

A Lisa miała szczególną wrażliwość. Ledwo odrosła od ziemi, a już widać było, że to artystyczna dusza. Rodzice myśleli, że zostanie tancerką albo aktorką. Pomylili się tylko trochę. Wybrała kino, reżyserię. Idealistka, jak ona sobie poradzi, martwili się. Lepiej, gdyby miała w ręku konkretny fach. W Diyarbakır i całym tym zaniedbanym, niestabilnym rejonie dobrze jest mieć się na czym oprzeć.

W dniu wiecu nikt jednak nie myślał o troskach. Lisa zdecydowała się wyjść z niego wcześniej, w domu czekało na nią jeszcze trochę pracy.

Przedzierała się przez rozradowany tłum, gdy w oddali rozległ się krótki, stłumiony odgłos. Powstało jakieś zamieszanie. Nie zwróciła na nie szczególnej uwagi, była już prawie przy wyjściu. I wtedy znów, tym razem

tuż obok. Raptem w uszach szum i rozsadzający głowę jednostajny pisk, nic poza nim.

– Patrzę, a ja leżę na ziemi. Przygnieciona przez ludzi. Z trudem spycham ich z siebie. Są bezwładni, cali we krwi. Nie żyją. Wszędzie chaos, ranni, krew. Ludzie biegają w panice, płaczą, krzyczą. Bezgłośnie, słyszę tylko pisk. Nic nie rozumiem. – Lisa opowiada cicho, z każdym zdaniem coraz ciszej. – Dochodzi do mnie, że i ja muszę być ranna. Odzyskuję czucie. Od nóg idzie tępy ból, chyba obie połamane. Patrzę w dół, ale nóg nie widzę. Nie ma. Rozglądam się nerwowo, muszę znaleźć swoje nogi. Muszę. Ale widzę jedynie swoją torebkę, odrzuciło ją o kilka metrów.

To ostatnia rzecz, jaką zobaczyła. Potem straciła wzrok. Na podjęcie decyzji miała sekundy. Zamknąć oczy, czy ze wszystkich sił starać się utrzymać je otwarte. Wiedziała, że jeśli je zamknie, umrze.

„Lisa, mam cię, trzymam” – usłyszała głos przyjaciela. Poczuła, że obejmuje ją od tyłu. Nie odpowiedziała.

– Pomyślałam: Nie mam nóg, nic nie widzę, ręce pieką, twarz piecze, muszę być cała poparzona, poraniona. Nawet jeśli przeżyję, rodzina mnie nie rozpozna. Torebka! Rozpoznają mnie po mojej torebce.

Powiedziała przyjacielowi: „Zostaw mnie, przynieś mi torbę!”. Wczepiła się w nią kurczowo. Ktoś obwiązał jej uda paskami do spodni. Zatrzymano upływ krwi, wrócił wzrok. Chcieli ją podnieść, zanieść do karetki, ale nie pozwoliła. „Nogi. Znajdźcie nogi. Bez nich nie jadę!”. Przyjaciel zarzekał się, że po nie wróci, a ona, że nie i nie.

Karetka zabrała ją niemal siłą, jako jedną z ostatnich ofiar zamachu. Do jego przeprowadzenia przyznało się tak zwane Państwo Islamskie. W wyniku wybuchu dwóch bomb zginęło pięć osób, ponad sto zostało rannych.

Półtora miesiąca później Lisa wciąż była w szpitalu, gdy w miejscowości Suruç przy granicy z Syrią 20 lipca doszło do kolejnego zamachu. Trzydzieści trzy osoby zginęły na miejscu, ponad sto zostało rannych. Większość ofiar to rówieśnicy Lisy, studenci, którzy zjechali się z całego kraju, by z Suruç pojechać do oddalonego o dziesięć kilometrów Kobane.

Wszyscy razem, trzysta osób, chcieli symbolicznie zainaugurować projekt odbudowy miasta. Tchnąć życie w ruiny i ludzi.

Rany i poparzenia Lisy nie były poważne, dziś nie ma po nich śladu. Co innego nogi. Urwane nad kolanami. A jednak je czuła. Obezwładniający ból w nieistniejących nogach.

– Bóle fantomowe, najsilniejsze, gdy sadzali mnie na wózku. Znienawidziłam go od pierwszej chwili. Wózek do mnie nie pasuje. – Lisa bezwiednie sięga po leżącą na kanapie poduszkę, obejmuje ją rękoma i wbija w nią palce. Spotykamy się w jej mieszkaniu na dalekich przedmieściach Diyarbakır. Musiała się tu przeprowadzić właśnie przez wózek. W jej rodzinnym domu były trzy piętra, mnóstwo schodów. Tu ma podjazd pod blok, podnośnik, szerokie wejście, windę, żadnych progów i sklep za rogiem. Ulic przystosowanych dla osób z niepełnosprawnościami nie ma nigdzie, miastem rządzą typowe bliskowschodnie krawężniki, wysokie na kilkadziesiąt centymetrów monstra.

Gdy dwa tygodnie po zamachu w Suruç Lisę wypisywano ze szpitala, terror rozlał się już poza południowy wschód. 10 października, niecałe trzy tygodnie przed kolejnymi, tym razem przyspieszonymi wyborami, przed centralnym dworcem kolejowym w Ankarze wybuchły dwie bomby. Zginęło sto dziewięć osób, ponad pięćset zostało rannych. Sprawca okazał się bratem jednego z zamachowców z Suruç.

Lisa wiedziała już wtedy, że musi wyjechać z kraju. Siedem miesięcy po wyjściu ze szpitala była już w Niemczech. Po raz pierwszy w życiu za granicą, w świecie, w którym wszystkie języki, jakie zna – turecki, kurdyjski, arabski i armeński – są nieprzydatne. W głowie miała tylko jedną myśl: protezy. Nie zniechęcało ją, że ich dobranie to długi i trudny proces, skomplikowana operacja, potem rehabilitacja. Wpatrując się w posadzkę szpitala, powtarzała w duchu, bez zająknięcia: „dam radę”.

Ten upór był z nią od najmłodszych lat.

– Kurdowie nasiąkają siłą już w dzieciństwie, gdy tylko zaczynają rozumieć własne korzenie i uczą się je pielęgnować. W moim domu

rozmawia się po kurdyjsku, Turcy mówią na nas *politik bir aile*, rodzina polityczna – wyjaśnia.

Pięć miesięcy po pierwszym „dam radę” posadzka błyszczała od kropli jej potu. Lisa z wysiłkiem stawiała na niej swoje pierwsze kroki. Jej nowe nogi reagowały powoli, zarzucały sztywno biodrami, wytrącały ciało z równowagi. Nie pozwoliła na pamiątkowe nagrania ani zdjęcia.

– Te kilka sekund, parę kroków to nie gotowy do sfilmowania *happy end*. Walczyłam o nie wiele miesięcy. – Lisa odkłada poduszkę, ale zaraz odruchowo znów po nią sięga. – Rzecz nie w tym, że straciłam obie nogi, lecz w walce, od której nie ma odpoczynku. Wybuch bomby okazał się jedynie zapowiedzią tej walki. Na dobre rozpoczęły ją w moim życiu dopiero protezy.

*

Mały Munjed Al Munderis często widywał ludzi bez kończyn. Nie w Turcji, a w Iraku pod krwawymi rządami Saddama Hussajna. Sam jednak niczym nie musiał się martwić, pochodził z prominentnej rodziny, opływał w luksusy i nie interesował się, co dzieje się wokół niego. Aż do momentu, gdy w wieku dwunastu lat obejrzał *Terminatora*. Arnold Schwarzenegger w postaci androida z przyszłości zawładnął marzeniami chłopca. „Gdyby tylko okaleczeni Irakijczycy dostali takie kończyny jak filmowy elektroniczny morderca! Mogliby odzyskać swoje życie…” – ta nagła myśl już z nim została i kilka lat później pchnęła go ku medycynie.

Już jako lekarz rezydent jak co rano parkował swojego nowiutkiego mercedesa przed szpitalem w Bagdadzie, gdy na parking wjechały trzy autobusy w eskorcie członków Partii Baas – tej, która wyniosła Saddama do władzy – oraz Gwardii Republikańskiej, elitarnych brygad stojących na straży rządów dyktatora. Wojskowi przywieźli pracownikom szpitala rozkazy: wszystkie planowe operacje tego dnia zostaną odwołane, a lekarze zajmą się pasażerami autobusów. Siedzieli w nich dezerterzy z armii, którzy czekali na karę za zdradę. Miała nią być amputacja uszu. Ordynator

odmówił okaleczania ludzi. Ledwo wyraził swój sprzeciw, został ustawiony na środku parkingu, by wszyscy dobrze widzieli, jak jego głowę przeszywa kula. Pozostali lekarze dostali kilka sekund, by zadecydować, czy wolą podzielić los ordynatora, czy wykonać rozkaz i do końca swoich dni żyć z poczuciem winy. Munjed znalazł inne wyjście. Prowadziło przez damską toaletę. Przemknął do niej niezauważony i schronił się w niej na następne pięć godzin. Czas wystarczająco długi, by zdać sobie sprawę, że kiedy z niej wyjdzie, będzie musiał uciekać, by ocalić życie.

Rodzinie udało się przeszmuglować go do Jordanii. Stamtąd z pomocą przemytników poleciał do Malezji, potem do Indonezji, a następnie został wsadzony na łódź płynącą do Australii. Ściśnięto na niej sto sześćdziesiąt pięć osób. Większość z nich widziała morze po raz pierwszy w życiu, więc ich żołądki były zupełnie niegotowe na fale. Gdy wreszcie dopłynęli do lądu, Munjeda czekał chrzest. W Curtin, centrum zatrzymań imigrantów, został rozebrany do naga, a na ramieniu czarnym markerem wypisano mu jego nowe imię: 982. O tym dawnym mógł zapomnieć.

Plotki, że Curtin to piekło na ziemi, nie były przesadzone. Za niezgodę na stosowane tam praktyki odzierania z godności i człowieczeństwa Munjed raz po raz lądował w więzieniach, również w tych o zaostrzonym rygorze. To właśnie te więzienia go ocaliły. Tylko w nich miał dostęp do telefonu, dzięki czemu nawiązał kontakt z prawnikami. Po dziesięciu miesiącach przyznano mu status uchodźcy. Wyszedł na wolność. Swoje nowe życie zaczął od czyszczenia toalet.

Z dawnych marzeń jednak nie zrezygnował. Po dwóch latach starań został przyjęty do prestiżowego programu szkoleniowego adresowanego do australijskich ortopedów. Był pewien, że odzyskuje swoją wartość, szacunek, szczęście. Aż na kolacji otwierającej program dwóch lekarzy rzuciło mu prosto w twarz, że nie dowierzają, że standardy spadły tak drastycznie, że pozwolono uchodźcy stać się jednym z nich. Munjed postanowił wtedy, że stanie w szeregu najlepszych chirurgów-ortopedów na świecie. Pokaże im.

Zaczął specjalizować się w protezach. Głównym elementem tych tradycyjnych jest lej protezowy, w który wkłada się kikut amputowanej kończyny. Kluczowe jest precyzyjne dopasowanie, co bywa o tyle trudne, że kończyna w trakcie gojenia zmienia swój kształt. Doktor Munjed postawił na technologię znacznie bardziej inwazyjną – osseointegrację. Bezpośrednio do kości amputowanej ręki lub nogi przytwierdza implant, który wysyła sygnały sensoryczne umożliwiające pacjentowi odzyskanie części czucia. Powierzchnia implantu jest wykonana z tytanu, co ułatwia zachowanie równowagi i pozwala na wrost kości, czyli gojenie tkanki łącznej, warunek funkcjonalności protezy.

W 2015 roku tłumaczył to na konferencji TEDx w Sydney. Wystąpienie otworzył zdjęciem Arnolda Schwarzeneggera: „Za pomocą tej rewolucyjnej technologii pomagam osobom z niepełnosprawnościami, zamieniając ich w pół-ludzi, pół-maszyny, podobne do tych, które widzieliście w filmie *Terminator*” – wyjaśniał, swobodnie przechadzając się po scenie w idealnie skrojonym garniturze.

Osseointegracja zyskała mu międzynarodową sławę. Jego osiągnięcia doceniła nawet królowa Elżbieta II, czemu dała wyraz, zapraszając go na ceremonię odznaczenia Micheala Swaina, młodego brytyjskiego żołnierza, który stracił obie nogi w zamachu przeprowadzonym przez talibów w Afganistanie. Protezy chirurga z Iraku przywróciły mu samodzielność.

To właśnie ofiarom terroryzmu Munjed pomaga najchętniej. Jeździ w tym celu ze swoim zespołem po świecie, by prowadzić szkolenia i wykonywać operacje. Kilkakrotnie wracał w tym celu do Iraku. On sam nazywa to efektem kuli śnieżnej. W wywiadach mówi, że jeśli pomoże jednej osobie, ona przekaże to dalej, pomoże następnej. Jeździ nie tyle po to, by operować, a przywracać nadzieję.

*

Gdy Lisa wróciła do Turcji, okazało się, że jej protezy, najwidoczniej nieprawidłowo dopasowane przez niemieckich lekarzy, powodują w jej

ciele spustoszenie. Kości zaczęły się rozwarstwiać, jakby miały się zupełnie rozsypać. W tureckiej filii firmy, która wyprodukowała protezy, stwierdzono, że konieczna jest natychmiastowa operacja.

Była więc operacja, była długa rehabilitacja, ulgi nie było. Ból uporczywie trwał, odejmował jej świadomość. Kiedy tylko mogła ją utrzymać, włączała laptopa i zaczynała szukać artykułów, naukowych opracowań, nagrań z medycznych konferencji, relacji pacjentów, którym również amputowano nogi. Jej stan się pogarszał, chirurdzy musieli interweniować ponownie.

Przechodziła operację za operacją. Osiem pod rząd. Każda z nich skracała jej nogi, a każde skrócenie zmniejszało szanse na zastosowanie protez. Zdała sobie sprawę, że balansuje na granicy, za którą jest już tylko wózek. Rozpacz i gniew wypchnęły jej wewnętrzną walkę na zewnątrz.

– Zagroziłam firmie oraz jej tureckiej filii pozwem. Wtedy wpisali mnie na czarną listę pacjentów, dostałam zakaz wstępu na teren kliniki. Pozwu nie wniosłam, nie starczyło mi sił. Całą energię skierowałam na implanty doktora z Iraku. Były moją ostatnią szansą.

Lisa napisała list. Że Państwo Islamskie pozbawiło ją nóg, a niemieccy lekarze zrobili to po raz drugi.

Szpital w Australii odpisał niemal od razu: operacja jest ryzykowna, może zakończyć się śmiercią.

Lisa nie miała wątpliwości. Zebrała rodzinę i powiedziała im, że wózek odbiera jej życie. Musi zaryzykować. Zrozumieli. Jej przyjaciele uruchomili zbiórkę publiczną. Szpital zgodził się pokryć część kosztów. Lekarze zrezygnowali z wynagrodzenia za operację.

Na lotnisku w Sydney zebrał się tłum. Kurdyjskie diaspory trzymają się blisko. Wystarczyła jedna wiadomość, by dowiedzieli się wszyscy. A tak dzielnej dziewczynie należało się szczególnie ciepłe przyjęcie.

Lisa odliczała dni do spotkania z doktorem z Iraku. Była gotowa. Znała jego historię, którą opisał w dwóch książkach, przeczytała jego publikacje, obejrzała wykłady TEDx. Wiedziała, że nadzieja, którą przywraca Munjed,

nie uznaje podziałów na granice ani narodowości, a on sam może ją nauczyć, jak przekuć upadek w siłę.

– Nawet do mnie nie zszedł. Oddelegował do mnie lekarza ze swojego zespołu – mówi wyraźnie rozgoryczona. Odsunęła od siebie żal. Doktor Munjed nie chciał wesprzeć jej psychicznie, trudno, grunt, że to on przeprowadzi operację.

Ale ryzyko, przed którym ją ostrzegano, popłynęło jej żyłami i wpłynęło na przebieg operacji.

– Wdało się zakażenie. Kość na wierzchu, zaogniona rana, a doktor Munjed mówi, że operacja została wykonana i odsyła mnie do domu. Błagałam cały personel, by się za mną wstawili. W Turcji nie było tak profesjonalnej opieki, by poprowadzić terapię, na dodatek wprowadzono stan wyjątkowy. Wszystko na nic.

Lisa wróciła do domu.

– Byłam w bardzo ciężkim stanie. Tutejsze szpitale nie mogły sobie poradzić z komplikacjami pooperacyjnymi. Nigdy nie byłam tak przerażona. Aż w końcu trafiłam na wspaniałego lekarza. Przyjmował w Ankarze. Musiałam się przeprowadzić.

To w stolicy pierwszy raz od wybuchu wyszła z domu sama. Krok za krokiem, bardzo powoli, bez wózka, na protezach. Poszła do kawiarni, zamówiła kawę. Usiadła z nią przy stoliku. Rozpłakała się. Nie mogła uwierzyć, że dokonała tego samodzielnie. Dokładnie trzy lata od zamachu znów poczuła się wolna.

– Odzyskałam utraconą cząstkę siebie… – Nie słyszę już, co mówi. Nad jej mieszkaniem na jedenastym piętrze przelatują myśliwce F16. Ich ogłuszający ryk wgniata w ziemię całe miasto. Pewnie wracają z Syrii lub północnego Iraku do pobliskiej bazy. Lisa ani drgnie. Kontynuuje. – Niestety, mój lekarz został niespodziewanie aresztowany. Turecka Izba Lekarska poinformowała o tym w oświadczeniu. Nie znam powodu ani szczegółów. Doktor Munjed nie odpowiadał na mejle i telefony. Nie wiedziałam, co robić.

Jeden z lekarzy z zespołu doktora Munjeda skontaktował ją z holenderskimi i niemieckimi specjalistami. Pojechała do Holandii. Tam powiedzieli jej, że musi zająć się nią lekarz, który przeprowadził operację. Pojechała więc do Niemiec. Zgodzili się. Kolejna operacja. Wróciła niedawno, trzy miesiące przed naszą rozmową.

W 2018 roku znów pojawiła się na wiecu HDP. Tańczyła tuż pod sceną. W zwiewnej sukience, odsłaniającej jej nowe nogi z tytanu. Ktoś to sfilmował, wrzucił do sieci. Sensacja! Poniosło się po kraju: Lisa znowu tańczy! A każdy jej krok to manifest.

Na proces zamachowców, którzy podłożyli bomby na zgromadzeniu HDP, przyszła o własnych siłach, na protezach. Na ławie oskarżonych zasiadło pięciu mężczyzn. Żaden z nich nawet na nią nie spojrzał. Kiedy rozmawiam z Lisą, ich proces jeszcze się nie zakończył. Podobnie jak ten o odszkodowanie, który wytoczyła ministerstwu spraw wewnętrznych. W pierwszej instancji wygrała, sąd uznał, że doszło do poważnych zaniedbań ze strony państwa. Ministerstwo złożyło apelację.

W takich właśnie momentach odzywają się jej niewidzialne nogi. Bolą, gdy znów musi stawać do walki. Jakby ciało próbowało je jej zwrócić, niezdarnie dodawało sił. Tak samo zachowuje się głowa. Czasem wyłącza jej pamięć, robi w niej dziury, dzięki którym Lisa ma wrażenie pauzy, odpoczynku.

– Protezy wciąż powodują infekcje, przez które muszę być hospitalizowana, najczęściej w Ankarze lub Stambule. Niedługo czeka mnie druga już operacja uszu, w wybuchu pękły mi oba bębenki.

Kiedy tylko będzie mogła zrobić sobie przerwę od lekarzy i rehabilitacji, zamierza pojechać do Suruç. Stanie przed wieżą zegarową wzniesioną w miejscu, gdzie doszło do zamachu. Popatrzy na wskazówki, zatrzymane na godzinie ataku, punkt dwunasta, i zacznie kręcić. Ma już wstępnie poumawiane spotkania z tymi, co przeżyli. To teraz jej największe marzenie.

– W Kurdystanie ludzie mnie znają, widzą we mnie symbol. Nie zauważają, że sami są tacy jak ja. Sur, Cizre, Nusaybin. Chcę, żeby świat

dowiedział się o tym, co nam zrobiono.

*

Zasada jest niepisana, acz jasna: to słowo wypowiadać mają prawo tylko niektórzy. Politycy rządzący tak, opozycyjni nie, a mieszkający tu ludzie – w żadnym wypadku. Ostatnie lata nauczyły ich, że na razie bezpieczniej mówić „ten region". Lisa jako jedna z niewielu słowa „Kurdystan" używa bez wahania. Mehmetowi, mimo że też jest Kurdem, nie przeszłoby przez gardło.

– To nacjonalizm, separatyzm, reakcjonizm. Wielu Kurdów chce dzielić: to kurdyjskie, to tureckie. Nie mają pojęcia, że te poglądy wcale nie są ich. Dali się wciągnąć w intrygę Izraela i Ameryki, państw dążących do podziału Turcji. – Nie tylko ten pogląd różni Mehmeta od Lisy. Tureccy Kurdowie nie są monolitem. Mehmet należy do tych zasymilowanych, dystansujących się od lewicy i partii prokurdyjskich. Co drugie zdanie w swojej opowieści kończy krótkim okrzykiem: he! Unosi przy tym rękę, czasem pociera lewe oko, jakby chciał je zdyscyplinować. Ucieka mu na bok, patrzy, ale prawie nic nie widzi. Gdy miał trzy lata, oczy zaszły mu mgłą. Zaćma. – Przeszedłem operację, ale służba zdrowia była w tych czasach w opłakanym stanie. Zrobili, jak umieli, na jednym oku się udało, na drugim nie do końca. Można było jeszcze je leczyć, ale skąd na to pieniądze? Bieda była. Przez nią nie nauczyłem się czytać ani pisać, nie chodziłem do szkoły. – Dziś ma czterdzieści jeden lat i od ośmiu lat jest państwowym urzędnikiem w *Sur kaymakamlığı*, urzędzie gubernatora.

– Osiem lat i wystarczy! – ktoś krzyczy ze śmiechem. Rozmawiam z Mehmetem w urzędzie, jego koledzy z pracy podsłuchują pod zamkniętymi drzwiami. Widać, że jest tu lubiany. Mehmet każe przynieść nam kawę i wraca do opowieści.

– Ojciec zmarł wcześnie, zostaliśmy w siódemkę, tylko z matką, ja najstarszy, więc robiłem rodzeństwu za ojca. Żeby utrzymać dom, dźwigałem cement. Wychodziłem co rano o siódmej i do wieczora

ładowałem i rozładowywałem ciężarówki budowlane. Gdy wracałem, od progu rzucałem się na łóżko i zasypiałem jak kamień. Tak przez piętnaście lat. – Sportowe adidasy Mehmeta wybijają rytm. – Aż jednego dnia znajomy nauczyciel wychowania fizycznego powiedział mi, że powinienem wystartować w zawodach. Pytam go „jakich zawodach?”. On: „Podnoszenia ciężarów”. Ja: „Jakich znowu ciężarów?!”. Nie wiedziałem nawet, że jest taka dyscyplina!

Wuefista odpalił mu na YouTubie nagrania z zawodów, potem zabrał go na siłownię, pokazał sztangi i jak je podnosić. Przez tydzień przychodzili codziennie, by popróbował podrzutów, złapał trochę techniki. A potem od razu na zawody do Amasyi.

– Niedożywiony analfabeta, co widzi tylko na jedno oko. Nie spodziewano się po mnie zbyt wiele. A tu pierwsze miejsce! Trenerzy zgromadzili się wokół mnie, zaczęli wypytywać, kto ja jestem. Zaciągnęli mnie do reprezentacji niepełnosprawnych w podnoszeniu ciężarów. Miałem pojechać na trzy miesiące do ośrodka treningowego w Ankarze.

Matka sprowadziła Mehmeta na ziemię. Jak pojedzie, oni będą głodni, powiedziała. Był jedynym żywicielem rodziny. Rodzeństwo też pracowało, ale ile mogą zarobić dzieciaki? Ledwo dawało się z tego uzbierać na czynsz. Ale on uparł się, że musi jechać. Wyszła, trzaskając drzwiami, przez tydzień nie wróciła. On ten tydzień przepłakał, całe noce przewalał się z jednej strony na drugą. Pojadę! – myślał, ale zaraz zmieniał zdanie. Kiedy matka wróciła, nie odezwała się do niego ani słowem.

Pojechał. Wiedział, że nie zostaną sami, bo Kurd nigdy nie zostaje sam. Krewni, sąsiedzi, znajomi zawsze pomogą, ktoś przyniesie chleb, ktoś jakieś owoce. O siebie martwić się nie musiał. W Ankarze zakwaterowanie i wyżywienie zapewniało państwo. Zajęli się nim profesjonaliści, na codziennych treningach nauczyli techniki. Po trzech miesiącach wysłali na mistrzostwa Europy. Mehmet poleciał do Czech. Był 2006 rok, ważył pięćdziesiąt sześć kilogramów, podniósł sto siedemdziesiąt pięć kilogramów.

– Pierwsze miejsce, mistrz Europy! W następnym roku wysłali mnie już na mistrzostwa świata, do Brazylii. Tam wszystko o mały włos nie rozbiło się o ciastka i herbatę. Nic innego nie jadłem. Ale co miałem zrobić. Państwo pokryło koszty transportu i zakwaterowania, ale wyżywienia już nie. A ja pieniędzy nie miałem. Desperacja pchnęła mnie po ratunek do reprezentacji Iranu. Mieli ze sobą cały samolot jedzenia. Powiedziałem im, jak jest. Żywili mnie przez dwa tygodnie. Podniosłem dwieście dziesięć kilogramów, drugie miejsce, wicemistrz świata. Złoto zdobyli Irańczycy.

W 2008 roku Mehmet miał lecieć do Miami. Tydzień przed zawodami na treningu nagle go zgięło. Wypadł dysk, poszło też ścięgno. Nie pojechał. Dostał zakaz dźwigania. Myślał, że to chwilowe. Pomylił się.

Nie marnował czasu. Zaczął się uczyć, na specjalnym kursie wyrównawczym przerabiał program szkoły podstawowej. Trzydziestka na karku, a on w ławce z dziećmi od siedmiu do jedenastu lat. Ile było docinków! Ale nie zważał na nie. Umysł chłonął szybko. – Program liceum skończyłem ze świetnymi wynikami, przygotowałem się do egzaminu na urzędnika państwowego. Zdałem. Przyjęli mnie do pracy w Sur, kilka kroków od domu. Przy samych murach. – Tu jego głos mięknie. – Przywykłem do czerni tych murów, do ich zapachu. Kiedy musieliśmy się stąd wynieść, dusiłem się, jakby coś siedziało mi w piersi.

A jednak nie ma żalu do państwa.

– Państwo chciało pokoju! W dwa tysiące trzynastym wyciągnęło do PKK dłoń, zaprosiło do negocjacji. PKK złożyło broń, zaczęły się rozmowy, tak zwany proces pokojowy. Państwo uwierzyło. Nie zauważyło, że PKK z pokojem na ustach chowało broń po domach mieszkańców Sur. Tak samo w Cizre i Nusaybin. Gdy mieli już składy, a wokół nich okopy, wstali od stołu negocjacyjnego i wypowiedzieli państwu wojnę. Co pozostało państwu? Chwycić za broń! Musieliśmy się wynieść z Sur, na trzy miesiące! Czemu tak długo? Państwo mogłoby ich wykończyć w jeden dzień. Ale zdejmowało terrorystów jeden po drugim, by mieszkańcy Sur, wzięci przez PKK za zakładników, nie ucierpieli. – Mehmet podważa wszystko, czego się dowiedziałam. Prawie wszystko. – Śladów wojny nie

da się wymazać. Chodź, pokażę ci – mówi. Wychodzimy z urzędu, a Mehmet opowiada dalej.

– Minęło tyle lat, a matka ciągle mnie przeprasza. Dzięki temu, że się jej postawiłem, wyciągnąłem z biedy rodzeństwo. Zaczęli się uczyć. Siostra najszybciej, więc przekonałem ją, by i ona podeszła do egzaminu, teraz pracuje razem ze mną w tym samym urzędzie. Wszyscy mają pracę. Nawet moja leczona latami kontuzja dała za wygraną, mogłem zacząć przygotowywać się do startu w kolejnych mistrzostwach Europy.

Mehmet był pewien, że nic już nie zmąci jego spokoju, gdy wtem przyszedł wstrząs.

– Uśpili naszą czujność. Niespostrzeżenie weszli w struktury państwa, w każdym kącie mieli swoich ludzi. Na drodze stał im już tylko Erdoğan. Dlatego usiłowali go usunąć w puczu. W Diyarbakır też wyszliśmy na ulice. Pobiegliśmy przed siedzibę burmistrza, na wypadek gdyby puczyści próbowali ją zająć. Przyjechały trzy, może cztery wozy wojskowe, ale naród czekał, gotowy do obrony, więc zawrócili. Tej nocy wygraliśmy. Dla mnie było to słodko-gorzkie zwycięstwo.

Następnego dnia w urzędzie rozdzwoniły się telefony. Interesanci, których od lat obsługiwał, pytali, czy jest jednym z puczystów, czy może krewnym Fetullaha Gülena.

– Moje imię to Mehmet, drugie imię Emin, nazwisko Gülen. Takie samo jak tego terrorysty!

Gdziekolwiek się nie ruszył, potykał się o to nazwisko. Podejrzenia, żarty, kpiny. Po tygodniu poszedł z tym do sądu. Procedura trwała trzy miesiące. Objęto nią także jego żonę oraz dwie córki, które wówczas miały cztery i osiem lat. Nazwisko wybrał sam. Teraz nazywa się Mehmet Emin Erdoğan.

Nie ukrywa, że zmiana trochę go kosztowała. Bliscy zrobili im piekło. Z całej rodziny tylko on i żona popierają prezydenta. – Tu wszyscy są za HDP. Nawet dzieciaki w szkole i na podwórku krzyczały za naszymi córkami, że rodzice są sprzedawczykami. Ale ja wiedziałem, co robię. Gdybyśmy wcześniej mieli takiego lidera jak Erdoğan, dziś widziałbym

normalnie. On wybudował szpitale i dał szanse tym, których wszyscy spisali na straty. Dziś nawet ubodzy i niepełnosprawni mogą zajmować państwowe posady. Każdy, dosłownie każdy, może zasiąść w urzędzie! – zaznacza.

Tu w jego opowieści dostrzegam rysę. Jestem w Diyarbakır w czasie, gdy przez region przetacza się druga już fala oburzenia, właśnie za sprawą urzędów. *Kayyum*, po turecku nadzorca, zarządca – powtarzają rozgniewane ulice, jakby chciały wypluć z niesmakiem to słowo. Na językach pojawiło się we wrześniu 2016 roku, kiedy to rząd rozpoczął usuwanie wybranych w drodze wyborów burmistrzów kurdyjskich miast i miasteczek za rzekome powiązania z PKK. W ich miejsce mianował rządowych zarządców, którzy przystąpili do zamykania instytucji kurdyjskiej kultury, centrów działających na rzecz kobiet, usuwania pomników kurdyjskich bohaterów oraz ich imion z nazw ulic i parków. W listopadzie zatrzymano Selahattina Demirtaşa i Figen Yüksekdağ, która wraz z nim współprzewodniczyła HDP. Władze uznały, że uprawiają propagandę terrorystyczną. Yüksekdağ skazano na rok pozbawienia wolności. Demirtaş wpadł w próżnię: tymczasowy areszt. W Turcji oznacza on głównie czekanie – bywa, że miną lata, zanim podejrzany usłyszy zarzuty.

W wyborach prezydenckich w czerwcu 2018 roku Demirtaş kandydował zza krat. Znów zajął trzecie miejsce. Trzy miesiące później został skazany na cztery lata i osiem miesięcy pozbawienia wolności. I choć Europejski Trybunał Praw Człowieka nakazał jego zwolnienie, Demirtaş nadal pozostaje w więzieniu o zaostrzonym rygorze (sławetnym typie F) w Edirne.

Nadzorcy rządzili aż do następnych wyborów, w wyniku których w marcu 2019 roku HDP odzyskała urzędy. Obejmujący posady burmistrzowie z przerażeniem odkryli, że po okresie rządów nadzorców podlegające im urzędy toną w długach. Gdy sprawę nagłośniono, w sierpniu znów zaczęły się zatrzymania burmistrzów rzekomo powiązanych z PKK. Zarządcy powrócili, między innymi do Diyarbakır. Zdecydowanie nie każdy może zasiadać w urzędzie.

Mehmet moich uwag nie przyjmuje, wraca do narracji o terrorystach. Zresztą wszystkie urzędy i całe życie najchętniej wyczyściłby z polityki i oddał we władanie sportu. Jest chyba nawet na dobrej drodze. Zrobił uprawnienia trenerskie i otworzył przy urzędzie jednej z dzielnic Diyarbakır klub sportowy dla osób z niepełnosprawnościami.

– Takich jak ja jest wielu: dano nam talent, ale i przeciwności, które nie pozwalają go rozwinąć – uzasadnia.

Klub ma około sześćdziesięciu członków, dzieciaki w wieku około osiemnastu lat, niedowidzące lub niewidome. Mehmet ich trenuje, a zarazem wychowuje.

– Niemal wszystkie dziewczynki całe życie spędziły zamknięte w czterech ścianach. Rodziny nie wypuszczały ich z domów, przekonane, że niedowidzące nie poradzą sobie z samodzielnym życiem. Do takich domów chodziłem osobiście i tłumaczyłem rodzicom, że muszą pozwolić dzieciom żyć, wypuścić je na wolność! Mówiłem to w kółko i tak długo, aż ich przekonałem! He! – Mehmet przerywa. Doszliśmy do śladów, które chciał mi pokazać.

Nazywany jest *dört ayaklı minare*, minaretem o czterech nogach. Wygląda jak wieża wzniesiona z kamiennych bloków i wsparta na czterech przysadzistych kolumnach. Stoi na środku uliczki, jakby nie obowiązywały go żadne reguły. To pozory, przynależy do oddalonego o kilka metrów meczetu. Jego słynne nogi zostały w czasie operacji w Sur poszczerbione, pełno w nich dziur po pociskach. Kurdowie nie zwracają na to uwagi. Przechodzą pomiędzy kolumnami, delikatnie się schylając. Zawsze dwa razy. Za pierwszym mówią w myślach życzenie. Za drugim – modlitwę, by się spełniło. Kule nie odebrały minaretowi jego magicznych właściwości.

Żegnamy się z Mehmetem, rozchodzimy. Minaret zostaje sam na sam ze swoją mocą. Siłą wielu kamieni, które tworzą jedność.

Mozaika

Eros czule obejmuje Psyche, Posejdon ujarzmia morskie stwory, Zeus porywa Europę, Dionizos i Ariadna biorą ślub. Gaziantep to bez wątpienia miasto bogów. Zaklęci w rzymskich mozaikach, mieszkają w monumentalnym muzeum Zeugma. A wśród nich ona, niepozorna śmiertelniczka z wysypującymi się spod chusty potarganymi włosami. Archeolodzy, którzy ją odkryli, przezwali ją dla żartu Cyganką. I choć część z nich później dopatrzyła się w niej wizerunku Aleksandra Wielkiego, Cyganką już została.

Jej portret jest niepełny, kamyki kończą się tuż pod linią nosa. Ale i tak liczy się tylko ona. Co roku setki tysięcy turystów z całego świata przyjeżdżają tu tylko po to, by wymienić z nią spojrzenie. Niezwykłe, bo w którąkolwiek stronę pójdzie zwiedzający, jej wzrok za nim podąży. Niewypowiedziana historia dziewczyny nadaje mu hipnotyczną siłę. Przyjęło się mówić, że można ją porównać jedynie do wzroku Mona Lisy.

To nieprawda. Mieszkający w Gaziantep Syryjczycy także mają takie oczy. Ale w nie nikt nie zagląda.

*

Palce Muhammada Kadaha delikatnie wybijają rytm na kierownicy jego białej toyoty, jednej z tych, które zdominowały drogi całego arabskiego świata. Z głośników leci Sabah Fakhri. Potężny głos legendarnego syryjskiego tenora wprawia wnętrze auta w drżenie. Co kilkanaście kilometrów migają drogowskazy na Halep – czyli Aleppo. Wokół łagodne wzgórza, gęsto porośnięte przez karłowate drzewa – oliwne, wciąż zielone, oraz pistacjowe, które pięknie się złocą. Jest koniec listopada, dwadzieścia

pięć stopni, błękitu nieba nie przesłania ani jedna chmurka. Idealna pogoda na bombardowanie.

W takie właśnie dni mieszkańcy Aleppo, rodzinnego miasta Muhammada, palili na ulicach opony, by czarny, gryzący dym ograniczył samolotom widoczność. Na próżno. Tocząca się od 2011 roku wojna obróciła znaczną część miasta w gruz, a jego mieszkańców uczyniła uchodźcami. Dojechalibyśmy tam w godzinę, ale granica między Turcją a Syrią kolejny już rok pozostaje zamknięta. Jesteśmy po tureckiej stronie, w drodze do Nizip, pięćdziesiąt kilometrów na wschód od Gaziantep.

Prowadząc, Muhammad co chwilę odbiera telefony od klientów. Rozmawiają po arabsku. Rozumiem tylko jedno słowo. Brzmi tak samo jak po turecku. *Sabun*, mydło. Tak naprawdę więcej rozumieć nie muszę.

Fabryka znajduje się na obrzeżach Nizip. Kiedy otwierają się jej ciężkie, żelazne drzwi, oczom ukazuje się labirynt. Idę wąską ścieżką pomiędzy ułożonymi pod sam sufit blokami z mydła, krok w krok za Muhammadem. Jeśli stracę go z oczu, nigdy nie znajdę wyjścia. Ścieżka się rozwidla, potem znowu i znowu, prowadzi do kolejnej hali, a z niej do następnej, następnej, następnej. Pomiędzy ścianami z kostek mydła wyrastają mydlane góry, owalne mydlane wieże i otaczające je mydlane fosy. Wysypane na ziemi kostki układają się w fale. W dzieciństwie Muhammad razem z młodszym bratem całymi dniami wspinali się na mydlane twierdze, przeskakiwali przez mydlane rzeki i chowali w mydlanych kryjówkach. Tyle że nie w Nizip, a w Aleppo.

To było jedyne miejsce w Syrii, gdzie robiło się takie mydło. Stąd jego nazwa – mydło z Aleppo. Tajemna receptura, której głównymi składnikami są oliwa z oliwek i olej laurowy, od wieków leczy choroby i niedoskonałości skóry, koi, odżywia i nawilża. Także włosy, bo z powodzeniem zastępuje szampon. Mieszkańcy Aleppo twierdzą, że ten sekret znano już w starożytnym Babilonie, a potomnym przekazano go na tabliczkach z pismem klinowym.

Muhammad nigdy nie zastanawiał się, ile w tym prawdy. Nie interesowała go ani historia mydła, ani proces produkcji, a odkąd wyrósł

z zabaw w chowanego, do fabryki wpadał głównie z poczucia rodzinnego obowiązku. Założył ją jego prapradziadek w 1925 roku, potem przejął pradziadek, następnie dziadek, a później ojciec. Muhammad pomagał mu czasami w sprzedaży i w kontaktach z klientami, wykorzystując to, czego uczył się na studiach ekonomicznych.

Myśl, że dyplom może nie zagwarantować mu pracy, dopuszczał do siebie bardzo powoli. Do tej pory wydawało mu się, że karierę w jakiejś prężnej firmie marketingowej ma zagwarantowaną. Ale wraz z pogarszającą się sytuacją gospodarczą, spadkiem pensji i szalejącą inflacją wszelkie pewniki znikały. Nawet te nie do ruszenia, jak świetlana przyszłość jego rodzinnej fabryki. Zaczął przyjeżdżać do niej codziennie. Coraz bardziej się angażował, stopniowo przejmując kierownictwo nad marketingiem i sprzedażą. Ale żeby skutecznie sprzedawać, musiał wiedzieć, co sprzedaje. Pozwolił się ojcu wprowadzić w tajniki produkcji. Wciąż jednak zapatrzony był bardziej w przyszłość niż przeszłość.

Stoimy przy wysokim na kilka metrów zbiorniku. W środku wielkie, metalowe łopaty czekają, aż będą mogły rozgrzać się do czerwoności i zacząć mieszać składniki. Zbiornik jest pusty, produkcja ruszy dopiero za miesiąc.

– Najważniejszym składnikiem mydła jest czas. Na wyprodukowanie każdej kostki potrzeba minimum siedmiu miesięcy. – Muhammad zerka na nadgarstek. Tarcza cyfrowego zegarka jest czarna, wskazówki zgasły. – Wszystko zaczyna się od zbiorów oliwek i owoców wawrzynu, z których pozyskujemy oliwę i olej laurowy. Wypełniamy nimi kadzie, dodajemy pozostałe składniki i gotujemy przez około siedem godzin, cały czas mieszając. Potem mikstura odpoczywa aż do następnego dnia, kiedy czeka ją kolejne siedem godzin gotowania. – Muhammad rozpina modną marynarkę w kratę, poprawia okulary przeciwsłoneczne. – Trzeciego dnia woda oddziela się i spływa na dno zbiornika. Wypuszczamy ją i gotowe! Możemy rozlewać mydło. Grubymi szlauchami wylewamy je wprost na specjalnie zabezpieczoną podłogę. Mydło leży na niej dobę, w tym czasie powinno się ściąć. Zetnie się tylko wtedy, jeśli będzie wystarczająco zimno,

dlatego wyrabiamy je jedynie od końca grudnia do końca marca. Ostatni w ruch idzie ten oto zestaw. – Muhammad w jednej ręce trzyma coś jakby deski, w drugiej drewniane grabie.

Do użycia zestawu potrzeba sześciu osób. Pięć z nich wkłada deski pod buty i trochę jak początkujący łyżwiarze wjeżdżają na nich na zastygłą taflę mydła. Szósta osoba staje na grabiach, by pod ciężarem jej ciała dobrze wbiły się w mydło. Czeka, aż łyżwiarze chwycą za grabie i zaczną ciągnąć. Pocięte w ten sposób mydło układa się w ściany, twierdze i wieże. Tak leżakuje kolejne siedem miesięcy.

To jednak nie jest czas na odpoczynek. To czas na uważność. Bo mydło jest wymagające. Ojciec cierpliwie uczył Muhammada, jak je rozumieć. Jeśli po opróżnieniu kotłów zobaczysz, że zostało w nich trochę oliwy, to znaczy, że nie wymieszało się wystarczająco dobrze. Jeśli na powierzchni kostek pojawia się biały osad, to mydło wysycha za szybko. Lubi ciepło, ale słońca już nie za bardzo, trzeba je przed nim chronić. Tak naprawdę wszystkie zasady sprowadzają się do jednej: to nie jest proces, który można zmechanizować. Nie wystarczy patrzeć na wskaźniki. Trzeba to czuć. Wystarczy, że spojrzysz, jak mydło się gotuje, jak kipi, i wszystko powinieneś już wiedzieć – dopiero wtedy jesteś gotowy je produkować.

Ufający jedynie statystykom i wykresom ekonomista Muhammad zrozumiał, że od liczb ważniejsza jest alchemia. Wtedy jednak zaczęły się kłopoty. Syria pogrążała się w konflikcie. Zaroiło się od watażków i ekstremistów tworzących coraz to nowe, coraz liczniejsze i silniejsze grupy zbrojne i terrorystyczne. Wszyscy oni zainteresowali się mydłem.

– W Aleppo i okolicach znajdowało się około stu fabryk. Wiele z nich eksportowało mydło na cały region, a nawet i świat, co przynosiło im znaczne dochody. Zaczęły się porwania. Za właścicieli fabryk żądano niebotycznie wysokich okupów. Im więcej było porwań, tym liczniejsze były też decyzje o zamknięciu biznesów i wyjazdach z kraju – opowiada Muhammad.

Sam wyjeżdżać nie zamierzał. Uczył się żyć ze strachem. Ale wojna krążyła, zacieśniała się wokół niego jak pętla. Udawał, że jej nie widzi.

Pomagał mu w tym dom. Piękny, jasny, z marmurowymi posadzkami i przestronnymi tarasami. Na parterze mieszkali rodzice, na piętrze on z żoną i synkiem, a nad nim brat ze swoją rodziną.

Tego dnia siedzieli wszyscy razem w salonie u rodziców. Wieczór przeradzał się już w noc. Niespokojną, przerywaną odległymi odgłosami walk. Muhammad woli zachować datę dla siebie. To zbyt osobiste. Jak data narodzin. Lub śmierci.

– Napiszmy tylko, że był dwa tysiące czternasty rok. Czwarty rok wojny – prosi, po czym pokazuje mi zdjęcia. Zawalone ozdobne łuki, pokryte grubą warstwą pyłu roztrzaskane posadzki. – Na dom sąsiadów spadła bomba. Nie było na co czekać, musieliśmy się ratować. Matka i brat rzucili się pakować walizki. Tylko najpotrzebniejsze rzeczy, tyle żeby przeczekać. Ale ojciec się zaparł. Nigdzie się nie ruszy! Tłumaczyliśmy mu, że wrócimy, jak tylko sytuacja się uspokoi. Najdalej za dwa, trzy tygodnie. Nie szło go przekonać. Uległ dopiero po kilku godzinach. Wyjechaliśmy skoro świt. W tym czasie granica była jeszcze otwarta. Gnałem tak, że do Gaziantep dojechaliśmy w pół godziny.

Wcześniej do Turcji jeździli na wakacje, zazwyczaj do nadmorskiego Mersin. W Gaziantep byli po raz pierwszy, ale nie mieli ochoty na zwiedzanie. Wszystko przypominało im o domu, zwłaszcza centrum miasta.

– Twierdza zupełnie jak nasza cytadela, podobne meczety, hammamy, sklepy pełne mydła… A jednak odczucie tak różne. Aleppo to historia. Tą historią się żyło, oddychało. Zimą w weekendy zawsze chodziłem z kolegami do hammamu, a to do trzynastowiecznego, a to do piętnastowiecznego. W Gaziantep takich nie ma… No a mydła… Turcy się nimi szczycą, ale dodają do nich sztucznych barwników, a z najcenniejszych składników rezygnują. – Muhammad podaje mi pod nos buteleczkę z olejem laurowym. Ciemnozielony kolor, rześki ożywczy zapach, jakby nagle znaleźć się w chłodnym sosnowym lesie.

Ich pobyt w Gaziantep przedłużył się do miesiąca. A potem o kolejny. I następny. Po pół roku trzyletni synek Muhammada przestał reagować na

zdjęcia domu. Ożywiał się tylko, gdy widział mozaiki. Przypominały mu o przydomowym basenie. Jego dno ozdobili właśnie mozaiką.

Zrozumieli, że zostaną tu na długo.

Trzeba było zabrać się za życie, zacząć jakiś biznes. Ale przecież już go mieli, stałych klientów od Tajwanu, przez Malezję i Indonezję, aż po Niemcy i Holandię, w Iraku całe bazary pełne były ich mydła. A gdyby tak wznowić produkcję, tylko w Gaziantep? Tu też były drzewa oliwne i zbliżony klimat, bez wilgoci i zimna, największych wrogów mydła.

Zaczęli szukać hali, hangaru, czegokolwiek, co nadałoby się na fabrykę. Znaleźli w Nizip. Nie taką jak ich, dużo mniejszą i pustą. Trudno było ją nawet nazwać fabryką, ot przestrzeń, którą trzeba było od zera wyposażyć. Wielka inwestycja i spore ryzyko. Podjęli je.

Na początku w czasie produkcji Muhammad w kółko wracał myślami do starej fabryki, zastanawiał się, co się z nią dzieje, porównywał z nową. Ale takie myśli to ciężar. Odganiał je, skupiał się na tym, co dobre. Na przykład na parkach. Te w Gaziantep i okolicach są ładne, rozległe. Syryjczycy, zupełnie jak Turcy, uwielbiają rozkładać na trawie koce, robią pikniki, a gdzie tylko to możliwe, rozpalają grille. Podobieństw jest zresztą mnóstwo.

– Jedzenie, kultura, religia – wymienia Muhammad. – I sposób, w jaki ludzie się do siebie zwracają. Z szacunkiem, życzliwością. Do obcej osoby mówią *ağabey, abi*, bracie, *abla*, siostro. Początkowo do nas też tak mówili.

Muhammad często wspomina empatię, z jaką Turcy przyjęli Syryjczyków. – Łatwo było o wynajem domu, można było nawet liczyć na zniżki. Na ulicy nikt nie odmówił pomocy ani dobrego słowa.

Wraz z przedłużaniem się wojny granicę przekraczało coraz więcej i więcej uchodźców. Pogranicze zapełniło się uciekinierami. Gaziantep to już miasto syryjskie – żartowali mieszkańcy, ale ich śmiech z miesiąca na miesiąc stawał się coraz bardziej nerwowy. Podobne, choć nieokazywane rozdrażnienie można było wyczuć w Stambule, do którego z czasem zjechało się około półtora miliona Syryjczyków. Politycy chyba nie byli na to przygotowani. Kiedy w 2011 roku Erdoğan wezwał prezydenta Syrii

Baszara al-Asada do ustąpienia, wierzył ponoć, że najdalej w następnym roku będzie już po wojnie, a Syrią rządzić będą nowe, przychylne mu władze. Syryjczycy mieli wrócić do siebie, dozgonnie wdzięczni za udzieloną im pomoc, a Turcja na tej wdzięczności zamierzała budować swoją pozycję w regionie.

Z tego planu nic nie wyszło, lecz Turcja nie zatrzasnęła drzwi przed Syryjczykami. Oficjalnie przyjęła ich ponad trzy i pół miliona, choć mało kto dawał wiarę statystykom. Turecka ulica plotkowała o pięciu milionach, gotowych pracować na czarno i za stawki uwłaczające godności, psujących rynek, gdy gospodarka i tak się chwieje, rośnie bezrobocie i inflacja, słabnie lira. Media głównego nurtu o Syryjczykach mówiły niewiele, najczęściej malując rządowi laurkę za udzielaną im pomoc, zaś część opozycyjnych i lokalnych sięgnęło po samograj – dezinformującą, ale podnoszącą słupki oglądalności i wykresy sprzedaży sensację. Plotki szerzyły się więc śmiało, a w mediach społecznościowych budowały sobie prawdziwe królestwo. Rząd daje im benefity, o jakich możemy pomarzyć, wypisywano, hojną ręką przyznaje obywatelstwo. Kradną już nie tylko pracę, ale i głosy, zabierają dzieciom miejsca w szkołach i na uniwersytetach, pozbawiają przyszłości. Goście z Syrii weszli z butami do domu gospodarza i tylko patrzeć, jak go wyproszą! Na południowym wschodzie kraju do tego chóru przyłączyły się też kurdyjsko-arabskie zaszłości. Alewiccy Kurdowie sunnizm kojarzyli głównie jako wymierzone w nich narzędzie ucisku, więc kiedy pod oknami wyrosły im obozowiska sunnickich Syryjczyków, zaczęli podejrzewać turecki rząd o inżynierię społeczną.

Z czasem uciekinierzy z Syrii zdominowali dyskurs polityczny i kolejne kampanie wyborcze. Rządzący zaczęli usuwać ich z widoku – przeganiać żebrzących z centr miast, ustawiać przy drogach kontrole, by uniemożliwić im wyjazdy na sezonowe prace, na przykład przy zbiorach owoców. Granicę zamknięto. Zaczęło dochodzić do incydentów. Syryjskie sklepy stały się przedmiotem ataków, pojawiły się doniesienia o pobiciach. W niektórych miastach Syryjczycy dla bezpieczeństwa zaczęli poruszać się

w kilkunastoosobowych grupach. Po co się tak zbierają, będą nas atakować? – szemrali Turcy ze strachem. A nic nie kamufluje lęku lepiej niż agresja.

– Dziś zamiast zniżek są komentarze, byśmy wracali do swojego kraju. Już nie jesteśmy braćmi – mówi Muhammad. Niby rozumie te mechanizmy, są w użyciu od wieków, niezależnie od szerokości geograficznej, działają zawsze i wszędzie. A jednak go dziwią. Najbardziej kiedy myśli o Hatayu.

To niewielka prowincja na południu kraju – jeśli spojrzy się na mapę, wygląda jak doklejona. I trochę tak jest, została przyłączona do Turcji w 1939 roku. Za czasów imperium osmańskiego tworzyła jeden wilajet, jednostkę administracyjną, z Aleppo. Po rozpadzie imperium znalazła się w Syrii, pod mandatem francuskim, następnie na niespełna rok wybiła się na niepodległość, a ostatecznie została częścią Turcji. Chyba o niczym Turcy nie opowiadają z takim zachwytem jak o Hatayu. Ta przyroda, to jedzenie, te budynki! I ta atmosfera, zupełnie jakby Turcja miała Syrię w swoich granicach!

To stamtąd Muhammad sprowadza owoce wawrzynu do produkcji oleju laurowego.

Bierze jedną kostkę mydła, rozcina.

– Na zewnątrz żółte, w środku zielone, takie jest najlepsze – mówi z uczuciem.

Większość fabryk przeniosła się z Aleppo w okolice Gaziantep. Dlatego na słynnym mydle widnieje dziś napis: „Wyprodukowano w Gaziantep”. Muhammad gładzi ostre krawędzie kostki, przesuwa palcem po wytłoczonej na niej pieczęci z imieniem ojca. Używają pięciu rodzajów stempli, w zależności od stężenia oleju laurowego, dodatków – takich jak perfumy – oraz kraju, do jakiego są eksportowane. Wszystkie pieczęcie mają jeden wspólny element: na każdej z nich wciąż jest słowo „Aleppo”.

Tylko co właściwie ono teraz oznacza? Czy Aleppo nadal jest domem?

– Dom to miejsce, w którym jesteś bezpieczny. Gdzie są twoi bliscy. I gdzie wszyscy czujecie się akceptowani – mówi Muhammad, zupełnie nieobecny.

Wie, że do Syrii prędko nie wrócą. Końca wojny nie widać. Poza tym trzeba byłoby wyposażyć i naprawić tamtejszą fabrykę, może odbudować, albo wręcz wybudować od nowa. Tę w Nizip wynajmują już szósty rok. Bardziej opłacałoby się ją kupić, ale wciąż nie mogą się na to zdobyć. Kupno oznaczałoby, że zostaną tu na zawsze.

Do biura wchodzi jego ojciec. Siedemdziesiąt trzy lata nieco go przygarbiły, spowolniły jego kroki. Całymi dniami dogląda i tej fabryki. Wita się, kładąc dłoń na sercu, z jednoczesnym skinieniem głowy. Zgięty wpół zaczyna rozkładać dywanik do modlitwy. Nie chcemy mu przeszkadzać. Wychodzimy.

W hali pomiędzy wieżami z mydła biega syn Muhammada. Ma już dziewięć lat. Chodzi do tureckiej szkoły. Po turecku mówi, jakby to był jego język ojczysty. Nie pamięta już nawet basenu z mozaiką. Muhammad nie mówi mu dużo o Syrii. Córce też nie. Ona nawet nie zrozumie, ma trzy lata, urodziła się już w Turcji.

– Najmłodsze pokolenie niewiele wie o mydle z Aleppo, nie interesuje się nim, nie chce o nim słuchać. Jak ja kiedyś… – Muhammad patrzy na skąpaną w słońcu halę. – Ale to mydło także im opowie kiedyś historię. Może właśnie o domu.

*

Drogi prowadzące z Gaziantep w stronę turecko-syryjskiej granicy ciągną się przez krajobrazy pełne spłowiałych traw i pól bawełny. Mięciutkie białe kulki na kruchych badylkach czepiają się linii betonu, jakby chciały chronić podróżnych. W suchym powietrzu czuć piach. Jego drobne ziarnka przemieszczają się z wiatrem przez granice, przesypują przez palce. Na pograniczu schronienie znaleźli nie tylko uchodźcy, ale i terroryści mianujący się Państwem Islamskim.

Podróżuję tym szlakiem piasku na jesieni 2019 roku. Mijam Suruç, Kilis, Reyhanlı, miejsca najkrwawszych zamachów, o których chce w swoich filmach opowiedzieć Lisa. Mam nadzieję, że jej się uda. Południowy

wschód kraju to wciąż checkpointy, drobiazgowe kontrole przy wjeździe i wyjeździe z miast, a także między miastami. Przemieszczam się autobusami, w czasie każdej z podróży ktoś zostaje wyprowadzony z autokaru i już nie wraca. Głównie Syryjczycy, którzy nie mają niezbędnych do podróżowania po Turcji pozwoleń. Samej też zdarza mi się być braną na szczegółowe wyjaśnienia, czego tu szukam.

A ja wciąż szukam odpowiedzi na to samo pytanie: jak daleko jest od miłości do nienawiści?

W położonym na wschód od Gaziantep mieście Şanlıurfa można ulec wrażeniu, że jest się już w Syrii. Mężczyźni noszą szerokie, zwężające się dopiero na łydkach szalwary, a na głowach kefije, jak mówi się tu na arafatki. Kobiety szeleszczą płaszczami do ziemi i długimi sukniami, ich barwne hidżaby przykuwają wzrok. Gdzieniegdzie mignie biała męska abaja lub czarny, wyszywany złotymi nićmi nikab, zza którego widać tylko obrysowane kredką oczy. Pełne wonnych przypraw bazary rozbrzmiewają językiem arabskim. Przez wąskie uliczki przeciskają się motorynki. Pozostawiane przez nie smugi drażniących spalin łączą się z zapachem mirry i piżma, odurzająca mieszanka uderza do głowy jak alkohol, którego się tu nie pije. Głośno, tłoczno, chaotycznie. Wytchnienie można znaleźć jedynie w Balıklıgöl, miejscu narodzin Abrahama, w islamie znanego jako prorok Ibrahim. Ściągający tu z całego Bliskiego Wschodu pielgrzymi karmią święte ryby, w turkusowej tafli wody odbijają się zdobione łuki i kopuły tutejszego meczetu, a potężne klony i rozłożyste palmy mienią się w zachodzącym słońcu. Kusi, by zanurzyć się w kojącą orientalną iluzję.

Ahmet Yıldız nie odnalazł tu spokoju. Jedynak z zamożnej, szanowanej rodziny mieszkał tu od urodzenia. Niczego mu nie brakowało. Poza miłością. Ale w tym świętym mieście o miłość nie tak łatwo. Zwłaszcza taką, jakiej pragnął. By jej doświadczyć, musiał wyjechać do Stambułu. Tylko tam mógł zamieszkać ze swoim partnerem. Kiedy rodzina się dowiedziała, wpadli w szał. Ich syn gejem, co za hańba! Zaczęli grozić mu śmiercią. Chłopak zgłosił to na policję, poprosił o ochronę. Nie przyznano mu jej, nie wszczęto nawet śledztwa. Trzy miesiące później, kiedy

wychodził z kawiarni nad Bosforem, dostał trzy kule w pierś. Sprawę opisał w 2008 roku brytyjski dziennik „The Independent”, uznając ją za pierwszy przypadek honorowego zabójstwa geja w Turcji. W rzeczywistości nie było pierwsze, tylko najbardziej nagłośnione.

Mieszkańcy Şanlıurfy dbają o to, by świat już o nich nie mówił. Co życzliwsi ostrzegają mnie, że proszę się o kłopoty, że tutaj ani ja, ani moi rozmówcy nie wtopimy się w tłum. Po historie z pogranicza radzą mi jechać do Stambułu. Ci, których szukam, porozmawiają ze mną tylko tam.

Diyara poznałam właśnie nad Bosforem, jeszcze zanim pojechałam w jego rodzinne strony. Chłopak jest Kurdem, pochodzi z Şanlıurfy, ale mieszka w Gaziantep, gdzie uczy się w szkole gastronomicznej. W Stambule odbywał miesięczny staż wakacyjny w jednej z restauracji. Przyjechał dwa dni przed jego rozpoczęciem, specjalnie po to, by wziąć udział w Paradzie Równości.

Pochód społeczności LGBTI+ przechodzi przez aleję İstiklal od 2003 roku. W pierwszym udział wzięło zaledwie trzydzieścioro śmiałków. Wiedzieli, że choć w Turcji stosunki homoseksualne są legalne – rzadki przypadek w państwach regionu – to i tak nie tylko święte miasta gotowe są przelać krew w imię honoru, a oprawcy wychodzą z sądu ze śmiesznie niskimi wyrokami. Jeśli doszłoby do incydentów, nawet pomoc stowarzyszeń broniących praw osób LGBTI+, takich jak Lambda Istanbul, Kaos GL i Pembe Hayat, na niewiele by się zdała. Co prawda udało im się w końcu zarejestrować, działają legalnie, ale tę działalność wciąż im się utrudnia, najczęściej wytaczając procesy o obrazę moralności.

Dlatego uczestnicy pierwszej Parady dokładali tym większych starań, by odbywała się ona co roku. Uznali, że najważniejsze to wyjść, pokazać się, osłabić niezrozumienie i uprzedzenia swoją obecnością, różnorodnością, miłością. I rzeczywiście, z roku na rok było coraz lepiej. W 2011 roku padł rekord – w Paradzie Równości wzięło udział kilka tysięcy osób. Jednak prawdziwy przełom nastąpił dopiero dwa lata później, kiedy społeczność LGBTI+ aktywnie włączyła się w protesty Gezi i rozpostarła na nich

tęczowe flagi. Wielu Turków miało z nią kontakt po raz pierwszy. Ze zdumieniem odkryli, że ludzie, których mieli za grzeszników i dewiantów, niczym się od nich samych nie różnią. Pod koniec czerwca 2013 roku w stambulskiej Paradzie wzięło udział kilkadziesiąt tysięcy osób (a według organizatorów nawet sto tysięcy).

Diyar dopiero teraz ma okazję, wcześniej trudno mu było przyjechać z drugiego końca kraju. Jak by to uzasadnił rodzicom?

Widać, że nie jest stąd. W poszukiwaniu miejsca zbiórki chodzi po Taksimie i zaczepia każdego, kto ma kolczyki w nosie albo tęczowe sznurówki. Powinien od razu skierować się do pobliskiej dzielnicy Cihangir, na Taksimie nikt się już nie gromadzi. Na dodatek mówi głośno, stanowczo za głośno. Początkowo myślę, że nie wie, czym to grozi, ale nie, on po prostu nie zamierza się już ukrywać.

– Gezi nie rozwiązało problemów. Było zaledwie początkiem zmian. Jednak wtedy, na fali optymizmu, łatwo można było zachłysnąć się tą atmosferą – mówi.

W 2014 roku w stambulskiej Paradzie znów wzięło udział kilkadziesiąt tysięcy osób. Ale naprawdę głośno zrobiło się dopiero trzy miesiące później, gdy młodzi stambulczycy Ekin Keser i Emrullah Tüzün zdecydowali się pobrać. Pierwszy ślub gejów w Turcji! – rozpisały się gazety. Turcja nie dopuszcza małżeństw homoseksualnych, więc ceremonia była symboliczna. Ubrani w białe smokingi mężczyźni przysięgli sobie miłość na prywatnym jachcie w cieśninie Bosfor w obecności najbliższych oraz przedstawicieli mediów. Miesiąca miodowego nie było. Po przeczytaniu wywiadu w jednej z gazet właściciel wynajmowanego przez nich mieszkania wypowiedział im umowę i wyrzucił ich na bruk. Szef Emrullaha, barmana, natychmiast go zwolnił, zaś Ekin, student, otrzymał od kolegów z uczelni tyle pogróżek, że nie odważył się przekroczyć jej progu. Do gróźb dołączyli się także bracia Emrullaha. Zapowiedzieli, że będą musieli go zabić, by ocalić honor rodziny.

– Nie pisz za dużo o zbrodniach honorowych. Nie dlatego tu jestem – hamuje mnie Diyar. Według niego najbardziej znaczące są te historie,

w których nic się nie dzieje. – Po prostu pojedź w moje strony.

Pojechałam rok później. Dopiero wtedy w pełni zrozumiałam, o czym mówił.

Mieszkańcy Gaziantep i Şanlıurfy nie odrywają zbytnio stóp od ziemi. Ich kroki są krótkie, przewidywalne i stawiane ostrożnie, jakby uważali, by nie potknąć się o oceniające spojrzenia albo nie zboczyć na niewydeptaną ścieżkę. Diyar stawiał takie kroki od dziecka, więc nie zauważył, że wpływają na całe jego ciało. Kurczą mu klatkę piersiową, napinają barki, zaciskają przeponę. Myślał, że taka postawa jest naturalna. Aż nie znalazł się w znanym z otwartości Izmirze na zachodnim wybrzeżu. Był tam przejazdem, na kilka godzin. Kroki izmirczyków natychmiast rzuciły mu się w oczy. Długie i energiczne, brakowało im tylko podskoków. Nic dziwnego, że miasto w jego stronach znane jest jako *gavur İzmir*, niewierne, nieobyczajne. Zapragnął chodzić w taki właśnie sposób.

Tego lipcowego dnia 2018 roku, kiedy rozmawialiśmy przy Taksimie, wreszcie mu się to udało. Chociaż jego kroki były zdecydowanie szybsze, niż sobie to planował. Musiał uciekać przed policyjnym gazem łzawiącym i gumowymi kulami. Od 2016 roku stambulskiej Paradzie zakazuje się przemarszu. Tym razem organizatorom udało się wynegocjować zgodę na wygłoszenie krótkiego oświadczenia w Mis Sokak, bocznej uliczce, przy której dystyngowany Musa dogląda teraz cukierni İnci. Mimo to policja zatrzymała kilkanaście osób.

Zadzwoniłam do Diyara, by sprawdzić, czy aby nie był jedną z nich.

Nie, wszystko w porządku! Szedł, uciekał, ale co ważniejsze – tańczył. Do rana! Wieczorem uczestnicy Parady spotkali się w Roxy, popularnym klubie gejowskim. Były nawet kawałki Bülent Ersoy, sędziwej już diwy. Czy to nie dziwne, że Turkom jakoś nie przeszkadza, że zmieniła płeć?

Diyar nie zapomni tej nocy w Roxy. Nic nie musiał robić, niczego ukrywać, manifestować, na nic uważać. Nic się nie wydarzyło. A jednak po raz pierwszy w życiu poczuł się w pełni akceptowany, zwyczajny, normalny. Chciałby poczuć się tak kiedyś za dnia.

Nie on jeden. Ci, którzy nie czują się w Nowej Turcji u siebie, zazwyczaj skrywają to gdzieś w głębi. Statystyki zajść i ataków nie wystarczą, by sporządzić wykaz, kto wciąż jest swój, a kto już nie. Tej granicy nie sposób wytyczyć. Przypomina bardziej rozległe pogranicze, jak to turecko-syryjskie, gdzie czasami trudno wyczuć, po której stronie granicy się jest.

*

Na powiekach mają brokat i sztuczne rzęsy, na policzkach krzykliwy róż. Błyszczące kamyczki tureckiej mozaiki. Kradną całą uwagę, choć inaczej niż Cyganka z Zeugmy. Nie patrzą nikomu w oczy, spoglądają w telefony, ukrywają nieśmiałość, tak bardzo kontrastującą z ich strojami. Krótkie sukienki i szpilki podkreślają długość ich nóg. Ale poza nogami niewiele można im w życiu pozazdrościć.

Pierwsza przełamuje się Amina. Nieco zawstydzona podchodzi do zwiedzających wystawę. Pyta podstawowym angielskim:

– Zgadniecie, na którym zdjęciu jestem? Portretowe, ale bez makijażu, więc pewnie i tak mnie nie poznacie. Dam wam wskazówkę: opisałam pod nim swoją historię. Po rosyjsku i rumuńsku, pochodzę z Mołdawii.

Historia Aminy jest krótka. „Nic nie planuję. Kiedy przychodzi czas, wyjeżdżam".

Jeszcze do niedawna mieszkała w Amsterdamie, ale odnaleźli ją bracia. Przyjechali, by zabić. Uciekła do Berlina, ale znaleźli ją i tam. Wyjechała do Stambułu. W zeszłym tygodniu dostała esemesa od matki, że do niej jedzie, jest już w autobusie. Amina wiedziała, że matka nie jest sama, jedzie razem z jej braćmi. Odpisała, że jest służbowo w Izmirze, nie będzie mogła się spotkać. Nie chciała robić matce przykrości. Kiedy mi o tym opowiada, nerwowo gładzi pukle swojej blond peruki, mało ich nie wyrwie.

Latifa żartuje, że w Stambule jest głównie z powodu butów na obcasie. W swoim rodzinnym Marakeszu bała się je włożyć. Tu wciąż może to robić, choć mówi, że już nie wszędzie, tych miejsc szybko ubywa.

Pod oknem obejmują się Irańczyk i Afganka. Zapatrzeni w siebie, nie podają imion, nie pokazują zdjęć. Mówią jedynie: W naszych krajach czeka nas tylko śmierć.

Rozmawiamy na wernisażu zdjęć transseksualistów z państw regionu, którzy w Turcji znaleźli schronienie. Zorganizowali go działacze wspierającego ich stowarzyszenia. Prowadzą w Stambule rodzaj schroniska, azylu, w którym osoby transpłciowe mogą się zatrzymać, ale nie dłużej niż trzy miesiące. Niektóre próbują w tym czasie zaczepić się w branży rozrywkowej. Jeśli to nie wyjdzie, chwytają się prostytucji, bo wiedzą, jak wielu stambulczyków mimo swej deklarowanej i okazywanej niechęci do mniejszości seksualnych chętnie korzysta z usług transseksualnych prostytutek.

Wystawa potrwa tylko jeden wieczór, rozgłos nie jest pożądany. Chodzi jedynie o to, by podopieczni mogli wyjść do ludzi, swobodnie z nimi porozmawiać, pobyć razem w bezpiecznej, przyjaznej przestrzeni. A Komşu Kafe, Kawiarnia Sąsiedzka w Kadıköy, bez wątpienia jest taką właśnie przestrzenią. Założyła ją w listopadzie 2013 roku grupa przyjaciół z Francji, Niemiec, Syrii i Turcji. Na fali Gezi i w kontrze do rażącej komercjalizacji miasta zdecydowali, że nie wprowadzą cennika. Każdy sam miał decydować, jak wartościowy był dla niego spędzony tu czas. Kiedy klienci wciąż dopytywali o orientacyjne ceny, dopisali w menu sugestie, ale jednocześnie wywiesili na ścianie manifest wyjaśniający koncepcję kawiarni.

Wernisaż odbywa się niedługo po mojej rozmowie z Diyarem. Ze składu założycielskiego kawiarni nie ma już nikogo. Od dwóch lat wszystkim zawiaduje Egipcjanin Ahmet, w ekipie są jeszcze Irakijczyk, Syryjczyk, Niemka i Turek.

– Zmiany zaczęły się od serii zamachów. Do pierwszego doszło w czerwcu dwa tysiące piętnastego roku w Diyarbakır. – Ahmet mówi o wybuchu, w którym Lisa straciła nogi. – Kolejne wydarzały się w miejscach położonych coraz bardziej na zachód, aż w dwa tysiące szesnastym roku dotarły do Stambułu.

13 stycznia, okolice Błękitnego Meczetu i Hagii Sophii. 13 zabitych, 14 rannych.

19 marca, aleja İstiklal. 5 zabitych, 36 rannych.

7 czerwca, okolice Wielkiego Bazaru. 12 zabitych, 51 rannych.

28 czerwca, lotnisko imienia Atatürka. 45 zabitych, 239 rannych.

– Zamachy wystraszyły obcokrajowców. Mieliśmy wśród nich wielu współpracowników, wolontariuszy, klientów. Wszyscy wyjechali, a my od tego czasu walczymy, by przetrwać. Walczymy również dla nich. – Ahmet pokazuje na wywieszone na ścianie zdjęcie Latify. Stoi tyłem, wpatrzona w przestrzeń. Poniżej podpis: *Nowhere to go*, Nie ma dokąd iść, oraz *What if one day*… Co, jeśli pewnego dnia… – Pomagają im najczęściej nieformalne grupy, których większość członków pochodzi z państw Europy Zachodniej. Ale kiedy po serii ataków terrorystycznych doszło do próby wojskowego zamachu stanu, a później wprowadzono stan wyjątkowy, wielu wolontariuszy już nie wróciło. Sprawę utrudnia przebudowa, *kentsel dönüşüm*, w wyniku której znikają kolejne miejsca, gdzie migranci mogli złapać oddech. Kiedy ostatnio byłaś w Mutfak? – pyta mnie Ahmet.

Mutfak, czyli po turecku Kuchnia, to niewielka przestrzeń w dzielnicy Tarlabaşı. Co sobotę trudno było się w niej pomieścić. Wchodziło się do niej prosto z ulicy przez otwarte na oścież drzwi, co chwila dołączały nowe osoby. Woń drobno siekanej cebuli mieszała się z parą gotującego się jedzenia i osiadała na wywieszonym na ścianie plakacie z *Ekümenopolis* İmre Azema, oczy nie przestawały łzawić. Ludzie z całego świata dyskutowali, krojąc warzywa, dostarczane bezpłatnie przez handlowców z pobliskiego bazaru. Gdy pod wieczór posiłek był gotowy, kolejka do garów stojących na nieostygłych jeszcze palnikach okrążała całą kuchnię i wylewała się na ulicę. Wszyscy siadali przy wspólnym stole, niektórzy pakowali resztki jedzenia do plastikowych siatek.

Z członkami nieformalnej Sieci Solidarności z Migrantami, Göçmen Dayanışma Ağı, którzy prowadzili Mutfak, pierwszy raz rozmawiałam pod koniec 2013 roku. Wtedy działali najprężniej. Ich czołowa aktywistka, Włoszka Daniela, opowiadała mi, że zrzeszyli się po śmierci Festusa

Okeya, Nigeryjczyka zastrzelonego w trakcie przesłuchania na posterunku policji w Stambule sześć lat wcześniej. Fakt, że sprawy Okeya wciąż nie wyjaśniono, uznawali za wymowny przykład podejścia władz do migrantów. Kuchnia miała im pomagać. Chodziło o to, by raz w tygodniu wszyscy się spotkali, poznali, zaczęli wspierać i wspólnie działać. Stali bywalcy, migranci z Bliskiego Wschodu, wierzyli wówczas, że Stambuł będzie dla nich nie tylko przystankiem, ale nowym domem. Europy nikt nie brał pod uwagę.

Po raz ostatni w Mutfak byłam w sierpniu 2019 roku, kiedy zaczęły się deportacje migrantów nielegalnie przebywających w Stambule, głównie Syryjczyków. Otrzymując w Turcji tymczasową ochronę, byli przypisywani do konkretnej prowincji, jednak wielu przyjechało za pracą właśnie nad Bosfor. Human Rights Watch alarmowało, że część z nich deportowano do bombardowanej wówczas prowincji Idlib na północy Syrii. Tureckie władze utrzymywały, że wszelkie powroty na północ Syrii są dobrowolne, a migranci zawracani są do tureckich prowincji, w których są zarejestrowani, zaś ci nieposiadający dokumentów są wysyłani do tymczasowych obozów na terenie Turcji. Nikt nie wiedział, komu wierzyć.

Pół roku później, pod koniec lutego 2020 roku, Erdoğan spełnił groźbę, którą od dawna straszył Europę – otworzył granicę z Grecją. Ministerstwo spraw wewnętrznych ogłosiło, że przekroczyło ją wtedy sto dwadzieścia tysięcy migrantów. Gareth Jenkins, ekspert do spraw Turcji, który regularnie odwiedza turecko-greckie pogranicze, był wtedy na miejscu i mówił mi, że nieprawda. – Grecy zastosowali takie środki zapobiegawcze, że trudno było komukolwiek przedostać się w głąb Grecji. Ci, którym jakimś cudem udało się przekroczyć granicę, byli dotkliwie bici i odsyłani z powrotem, co najmniej jedną osobę śmiertelnie postrzelono. Ale otwierając granicę i podając statystyki, Erdoğan uspokoił wyborców, że słyszy i szanuje ich sprzeciw wobec goszczenia uchodźców.

Daniela od dawna była już wtedy we Włoszech. Pozostali działacze Mutfak swoją walkę zakończyli miesiąc wcześniej, kiedy to już

definitywnie zamknęli Kuchnię. Komşu Kafe już wtedy nie istniało. Zostało zamknięte w marcu 2019 roku.

A co stało się z Aminą, Latifą i pozostałymi bohaterkami wystawy?

Obawiam się, że ich los mało kogo już obchodzi.

Słowa

Jak większość dziennikarzy, Tunca Öğreten nawet po pracy nałogowo sprawdza newsy. Dlatego kiedy około północy usłyszał wibrację telefonu, natychmiast po niego sięgnął. Twitter powiadomił go, że został dodany do wiadomości grupowej. Mrugnął kilka razy, by upewnić się, że dobrze widzi. Wiadomość została utworzona przez RedHack, grupę tureckich hakerów, którzy włamują się na strony rządu, armii i policji, by później publikować obciążające władzę dokumenty, ujawniać afery i tożsamość stojących za nimi osób. Czasem łączą siły z haktywistami Anonymous, wierząc, że sami też bronią sprawiedliwości i wolności obywatelskich. Z tą różnicą, że RedHack robią to w imię marksizmu-leninizmu.

Tuncy do takich sympatii było daleko, a jednak znalazł się w gronie dwunastu dziennikarzy, którym RedHack przesłało linka. W Turcji to mocno wyselekcjonowane grono. Kliknął. Zaczęło się ściągać. Dużo – trzydzieści dwa gigabajty. Gdy otworzył folder, wyrzut adrenaliny rozbudził go jak strzał w pysk. Pięćdziesiąt siedem tysięcy mejli. Na pierwszy rzut oka głównie korespondencja Berata Albayraka. To prezes Holdingu Çalık, który przeprowadził *kentsel dönüşüm* w stambulskiej dzielnicy Tarlabaşı, od niedawna minister energii, prywatnie zięć Erdoğana. Ale były też i mejle innych ministrów oraz członków rodziny prezydenta.

Tunca nie położył się spać. Przez następne trzy tygodnie, jak w transie całymi dniami i nocami czytał mejl po mejlu. Jadł tylko nad klawiaturą komputera, nad klawiaturą zasypiał. Gdy się budził, natychmiast wracał do czytania. Ze szczególną uwagą rozpracowywał wątek firmy Powertrans. Ma ona wiodącą pozycję na tureckim rynku naftowym, transportuje ropę między innymi z północnego Iraku do Turcji. Krążyły słuchy, że Powertrans dolewa do niej ropę kupowaną od tak zwanego Państwa

Islamskiego, następnie transportuje ją do portu w Mersin, a stamtąd do Izraela, z którym Ankara jest mocno skonfliktowana.

Z mejli wynikało, że firmą *de facto* kieruje Albayrak. Osobiście wydaje instrukcje, kogo zatrudnić, a nawet zatwierdza jadłospis dla pracowników. Do tej pory Albayrak jakimkolwiek powiązaniom z Powertrans zaprzeczał. To nie wszystko – korespondencje wskazywały na to, że pływające do Izraela statki należą do firmy Bilala Erdoğana, zafascynowanego łucznictwem syna prezydenta.

Tunca poszedł z tym do Erdala Güvena, redaktora naczelnego portalu Diken, dla którego wówczas pracował. Pokazał, co ma. Kiedy Erdal to zobaczył, stwierdził, że musi się napić. Wstał i razem z Tuncą poszli do baru. „Wiesz, że mogą za to aresztować całą redakcję? Jesteś na to gotowy?” – zapytał. „Mnie i tak wsadzą. Jak nie za ten, to za inny tekst” – odparł Tunca. Od dawna wkurzał władze. Jako jeden z nielicznych przedostał się na południowy wschód Turcji, w czasie gdy obowiązywał tam zakaz wychodzenia z domów, i poinformował o leżącej na ulicy siedem dni i nocy Taybet oraz o Cemile, której ciało matka trzymała w lodówce.

Pokazali materiał redakcyjnemu prawnikowi. „Nie ma się do czego przyczepić, pod względem prawnym bez zarzutu. Co nie zmienia faktu, że Tunca może za to pójść siedzieć” – prawnik potwierdził przeczucia Erdala.

Artykuł publikowali w odcinkach przez trzy kolejne dni, w październiku 2016 roku. Były jak detonacja bomby. Turcy jeszcze długo o nich dyskutowali. Rządzący sprawę postanowili przemilczeć.

Po Tuncę przyszli trzy miesiące później. 25 grudnia o godzinie czwartej nad ranem ekipa antyterrorystyczna poinformowała go, że został uznany za członka komunistycznej organizacji terrorystycznej MLKP[9]. Wyśmiał ich. Czy naprawdę biorą zamieszkany przez celebrytów apartamentowiec z widokiem na prywatne sztuczne jezioro za bazę komunisty? Mieszkanie dostali z narzeczoną, Minez, od jej ojca, w prezencie na nową drogę. Antyterroryści nie zamierzali dyskutować. Jeden z nich wycelował lufę karabinu prosto w twarz Minez. Skuty na podłodze Tunca tak ich wtedy zwymyślał, że nie tylko zdjęli Minez z celownika, ale rozkuli i jego. Usiadł

na kanapie i paląc papierosa za papierosem, patrzył, jak wywracają mu mieszkanie do góry nogami. Przeszukanie trwało trzy godziny. Antyterroryści spakowali cały ich sprzęt – telefony, dyski zewnętrzne, notebooki, laptopy, iPady i iPody – po czym zawieźli Tuncę na posterunek.

– Cela była jednoosobowa, a nas upchnęli w piątkę. Trzech zwolenników Fetullaha Gülena, Czeczena z Państwa Islamskiego i mnie. Nie mogliśmy się pomieścić nawet zwinięci w kłębki, spaliśmy, kładąc sobie wzajemnie głowy na tyłkach… – opowiada mi Tunca, skręcając papierosy. – W celi nie było okna, a żarówka na suficie paliła się cały czas, więc nie sposób było odróżnić dnia od nocy. Rytm doby wyznaczali strażnicy. Trzy razy dziennie przynosili po półlitrowej butelce wody i jedzenie tak paskudne, że jadłem tylko chleb. Cztery razy dziennie wyprowadzali nas do toalety. Dawali minutę, żeby z niej skorzystać. Każdy starał się zdążyć obmyć w umywalce, ale i tak wszyscy cuchnęliśmy tak, że trudno było wytrzymać. Co tu dużo gadać, nieludzkie warunki. Ale bywałem w gorszych.

Miał dziewiętnaście lat, gdy zaczął wsiąkać w dziennikarstwo. Studiował komunikację w Stambule, a nocami pracował na recepcji hotelu. Zatrzymywali się w nim między innymi zachodni dziennikarze. Tunca lubił z nimi rozmawiać. Oni z nim też, od razu było widać, że chłopak dużo wiedział o światowej polityce i interesował się regionami konfliktów. Tak się złożyło, że korespondenci brytyjskiego dziennika „The Telegraph" szukali kogoś, kto zna angielski i turecki, a do tego byłby gotów pojeździć z nimi po niespokojnych rejonach Iraku. Zaoferowali Tuncy wynagrodzenie czterokrotnie wyższe od jego hotelowej pensji, a on propozycję przyjął.

Tak w 2002 roku po raz pierwszy pojechał do Iraku. Rok później, po amerykańskiej inwazji, jeździli już po terenach wojennych. Kiedy reporterzy podjęli decyzję o powrocie do Londynu, Tunca nie potrafił zostawić tych pustynnych ziem i przetaczających się przez nie burz. Zaczął pomagać korespondentce „New York Timesa", która przemierzała ten region, dokumentując naruszenia praw człowieka. Organizował jej logistykę, szukał rozmówców, robił z nimi wywiady. Nauczył się, że za

wydarzeniami trzeba podążać instynktownie, jechać gdziekolwiek silniej zawieje. Był gotów działać na własny rachunek.

Zaczął pracować dla tureckiego dziennika „Taraf” oraz amerykańskiego portalu Vocativ. Relacjonował dla nich między innymi walki o Kobane. Nie z linii granicy, jak robiły to czołowe światowe media, ale z samego miasta.

– Turcja nie tylko nie udzieliła Kurdom pomocy wojskowej, ale również nie przepuściła przez granicę transportów z żywnością, wodą i lekami. W mieście brakowało dosłownie wszystkiego. Był taki tydzień, że przez pięć dni nie miałem nic w ustach. – Tunca mocniej zaciąga się papierosem. – Gdy Państwo Islamskie weszło do Kobane, świat stracił sens. Ulice pokryły tysiące ciał. Rozczłonkowanych, nadpalonych, zwęglonych, o wciąż drżących mięśniach, szarpanych przez szalejące z głodu uliczne psy. Odór zakrzepłej krwi i rozkładającego się mięsa powodował nieustanne torsje. Po trzech tygodniach w takich warunkach byłem tak odwodniony i struty, że ledwo podnosiłem się z łóżka. Ostatkiem sił dotarłem na granicę. Potem dziesięć dni leżałem jak bez życia.

Turecki areszt, choć z Syrią nie mógł się równać, pod jednym względem był jednak dla niego trudniejszy.

– Papierosy – rzuca Tunca, po czym pociąga łyk mocnej, czarnej kawy. – Na posterunku obowiązywał zakaz palenia. A ja jestem cholernie uzależniony. Błagałem strażników, żeby przetransportowali mnie do więzienia. Tam mógłbym palić. Strażnicy tylko się uśmiechali. „Przetransportujemy, możesz być pewien” – mówili.

Po dwudziestu czterech dniach zaprowadzili go do komendanta. Zgodnie z prawem nie mogli trzymać go dłużej. Trzeba go było albo aresztować, albo zwolnić. Komendant zadał mu kilka pytań, po czym przetransportowali go do prokuratury. Gdy wyszedł z radiowozu, zalały go ogłuszające brawa. Na miejscu czekali na niego dziennikarze, pisarze, aktywiści, politycy opozycji. Wszyscy klaskali.

– Tyle było w tym siły, tyle wsparcia… A najważniejsze, że mogłem zobaczyć Minez. Przez dziesięć sekund, z dystansu dwudziestu metrów… Ona też jest dziennikarką. Poznaliśmy się w redakcji „Taraf”, potem

zaczęliśmy razem pracować w Diken. Od czterech lat nie rozstajemy się ani na chwilę. Gdy nagle zostałem od niej odcięty… – Tunca nie kończy zdania.

W biurze prokuratora odpowiedział na kolejne pytania, po czym został odprowadzony przed oblicze sądu.

– Decyzje zapadają dużo wcześniej, na górze, więc nie ma znaczenia, co powiesz, nawet cię nie słuchają, patrzą w telefony. Sędzia zarządził areszt tymczasowy. Przewieźli mnie do Silivri, bardzo popularnego więzienia o zaostrzonym rygorze.

Popularny: powszechnie znany, ceniony i używany. To podstawowe znaczenie, jakie podają słowniki. Nawet się zgadza. Położone na obrzeżach Stambułu Silivri to największy zakład karny Europy, po zamachu stanu szczególnie ceniony i używany przez władze. Może właśnie dlatego zbitka słów, jakiej użył Tunca, tak drażni ucho. Jakby w Turcji to już nie kawiarnie, a więzienia były miejscem spotkań.

Jego nowa cela była jednoosobowa, umiejscowiona przy długim korytarzu, zakończonym niewielką przestrzenią wspólną z lodówką i zlewem. I choć warunki były dużo lepsze niż w areszcie, a w celi tym razem był sam, to i tak kiedy tylko pogoda pozwalała, przesiadywał na zewnątrz. Otoczona czterema ścianami kwadratowa wylewka z betonu dawała mu namiastkę wolności. Jeśli spojrzał w górę, mógł zobaczyć niebo.

Tam praktykował swój żelazny rygor.

– W więzieniu karmią tak, jakby chcieli, żebyś długo cierpiał, a potem od tego żarcia zdechł. Jedzenie jest tłuste, sam olej, więźniowie od niego tyją, chorują. Nie zamierzałem dać się wykończyć – mówi z przekąsem. Raz na tydzień mieli prawo zamawiać zakupy. Tunca kupował w ten sposób warzywa, tuńczyka, wszystko z czego dało się zrobić sałatki, gotować nie mieli jak. Zamówił też kilka mopów i pięciolitrowych butelek wody. Zrobił z nich sztangi. Codziennie podnosił je przez przynajmniej dwie godziny. Dodał do tego pompki, przysiady, bieg w miejscu. Pozostali więźniowie dołączyli, więc zaczęli robić stacje, jak w crossficie.

Kiedy nie ćwiczył, betonowy kwadrat był jego redakcją. Czytał tam gazety. Codziennie dwanaście tytułów, które można było dostać w więzieniu.

– W Turcji gazeta nie powie ci całej prawdy. Musisz mieć internet i dostęp do mediów społecznościowych. Pisałem więc listy do Minez, wymieniając w nich, czego chciałbym się dowiedzieć. Hasła, jak w przeglądarce. Ona dwa razy w tygodniu przesyłała mi odpowiedzi. Długie na trzydzieści, czterdzieści stron. Opisywała w nich wszystko, co wydarzyło się w kraju i za granicą, tłumaczyła artykuły z prasy zagranicznej, bo dostarczane do więzienia listy mogły być tylko po turecku. Te listy od niej utrzymywały mnie na powierzchni – przyznaje z nagłą miękkością w głosie.

Na widzenia im nie pozwolili. Obowiązywał stan wyjątkowy, zaostrzono wszystkie przepisy, a oni nie mieli ślubu, więc formalnie byli dla siebie obcymi ludźmi. Tunca odchodził od zmysłów. Mówił o tym prawnikowi, mówił posłom opozycji, którzy raz na tydzień odwiedzają więzionych dziennikarzy. Mówiła i Minez, komu tylko mogła. Ale dziennikarzy połączyć może tylko słowo wydrukowane w gazecie.

– Mój list był krótki. Wręczyłem go prawnikowi, a on przekazał prasie. Opublikowały go niezależne gazety i portale. Kilka zdań o tym, jak to jest nie móc nawet dotknąć kobiety, którą kocha się nad życie.

Swój list zakończył słowami: „W niewoli i na wolności, w autokracji i demokracji, czy zgodzisz się być moją żoną? Minez Bayülgen, wyjdziesz za mnie?”.

Przyszła wraz z deputowanymi, którzy się za nimi wstawili, urzędnikiem i prawnikiem. W białej, prostej sukience. On czekał na nią w białej koszuli.

– Nasz ślub trwał dokładnie osiem minut. Odbył się po sześćdziesięciu czterech dniach rozłąki. – Tunca się uśmiecha. – W Turcji mamy zwyczaj, że kiedy padnie sakramentalne „jesteście mężem i żoną”, panna młoda następuje na stopę pana młodego. Ale pomiędzy nami stało biurko, tak duże, że nie mogliśmy się nawet objąć. Powiedziałem wtedy strażnikowi, żeby nastąpił mi na stopę za moją żonę. Nastąpił, nawet niezbyt zdziwiony.

Na uroczystościach w więziennym salonie widzeń strażnicy pełnią różne funkcje, najczęściej fotografów i kamerzystów. Naczelnik zawsze wyraża zgodę. Moje podanie odrzucił. Ze ślubu nie mamy ani jednego zdjęcia.

Ważne, że od tego momentu mogli się już widywać. W każdy czwartek, czterdzieści pięć minut, przez szybę. Pomiędzy tymi widzeniami pozostawały im listy.

– Więzienie było dla mnie nie tylko pałacem ślubów, ale i miesiącem miodowym – mówi Tunca. Akt oskarżenia sporządzono dopiero po siedmiu miesiącach. – Oskarżano mnie już nie o członkostwo, a jedynie działanie na rzecz organizacji terrorystycznej, aczkolwiek innej, niż oznajmiono mi przy zatrzymaniu, DHKP-C[10], oraz ujawnienie tajemnicy państwowej. W sumie zażądano dla mnie dziewiętnastu i pół roku. Pierwsza rozprawa odbyła się trzy miesiące później, na kolejnych odpowiadałem już z wolnej stopy.

Z więzienia wyszedł po trzystu dwudziestu trzech dniach. Od razu wrócił do redakcji, jakby wracał po weekendzie. Gdy rozmawiamy, proces wciąż trwa, kolejne rozprawy odbywają się w kilkumiesięcznych odstępach. W tej i innych sprawach, bo w sumie w toku ma ich dwadzieścia dwie.

– Dwie o obrazę głowy państwa, jedna o obrazę premiera… – zaczyna wymieniać Tunca, ale że procesy ciągną się latami, to już przestał się w nich orientować. – Najbliższa rozprawa dotyczy wywiadu, w którym moja rozmówczyni powiedziała, że Erdoğan zachowuje się jak tygrys zapędzony w kąt klatki. Za jej słowa dostałem na razie siedem tysięcy lir kary, ona zresztą też musiała za nie płacić. – Tunca przyjmuje to ze spokojem. Na spłatę nakładanych na niego grzywien miesiąc w miesiąc przeznacza niemal całą pensję. Zarekwirowanych w czasie przeszukania laptopów, dysków i pozostałych sprzętów nie odzyskał do dziś.

Doniesienia, że Turcja finansuje tak zwane Państwo Islamskie, a Albayrak oskarżany jest o udział tym procederze – te same, które kosztowały Tuncę rok wolności – potwierdziły mejle opublikowane przez WikiLeaks i znalazły się na Wikipedii. W Turcji nikomu nie psuło to nerwów, Wikipedię niedługo potem zablokowano, zresztą nie po raz pierwszy.

Blokadę zniesiono dopiero w styczniu 2020 roku. Albayrak jest obecnie ministrem finansów.

A słowa Tuncy wciąż detonują bomby.

Po wyjściu z więzienia dotarł do dokumentów, które dowodzą, że mianowani przez AKP zarządcy kurdyjskich miast kupowali ministrom kosztowne prezenty z miejskich budżetów oraz zapraszali ich na kolacje za dziesiątki tysięcy lir. Za opublikowanie tych doniesień państwowe media i ich sympatycy okrzyknęły go terrorystą, zdrajcą, agentem. Niemieckim, bo obecnie pracuje dla Deutsche Welle Türkçe.

– Dostałem dużo korzystniejszą ofertę. Przyjąłem, bo wiedziałem, że nie będą ingerować w moje teksty. Nie zmieniają mi w nich nawet słowa. Poza tym muszę jakoś spłacać grzywny. Na Zachód, gdzie mógłbym zarabiać kilkukrotnie więcej, nie wyjadę. Dziennikarstwo to zawód wpisany w trudne miejsca i czasy, w nich ludzie najbardziej potrzebują prawdy. Podobne do mojej historie ma bardzo wielu dziennikarzy.

*

Turecka edycja gry Monopoly w wersji dla dziennikarzy na wszystkich polach planszy ma ten sam napis: „Idziesz do więzienia”. I chociaż istnieje tylko na obrazku, który w mediach społecznościowych bije rekordy udostępnień, blisko jej do rzeczywistości. Komitet Obrony Dziennikarzy (CPJ, Committee to Protect Journalists) nazywa Turcję nie inaczej jak „największym na świecie więzieniem dla dziennikarzy”. „Polowanie na czarownice, które rząd prezydenta Recepa Tayyipa Erdoğana urządza krytycznym wobec siebie mediom, osiągnęło punkt kulminacyjny po udaremnionym zamachu stanu w lipcu 2016 roku” – napisano w Rankingu Wolności Prasy opublikowanym przez Reporterów bez Granic w 2020 roku. Turcja znalazła się w nim na sto pięćdziesiątej czwartej ze stu osiemdziesięciu pozycji. „Ponad roczny pobyt w więzieniu poprzedzający proces sądowy uchodzi za nową normę. Długie wyroki pozbawienia wolności są powszechne, w niektórych przypadkach zasądza się dożywocie

bez możliwości ułaskawienia. Zatrzymanym dziennikarzom i zamykanym mediom odmawia się możliwości skorzystania z procedur odwoławczych. Praworządność w cieniu ogromu uprawnień prezydenta staje się w »Nowej Turcji« blaknącym wspomnieniem”.

Kiedy mówię o tych zarzutach Çetinerowi Çetinowi, na jego twarzy rysuje się wyraz, jakiego jeszcze nie widziałam. A jego twarz znam dobrze. Widuję go na ekranie telewizora za każdym razem, gdy na prorządowym kanale Habertürk nadawane są wiadomości z Syrii lub Iraku. Çetin jest tam korespondentem. Teraz patrzy na mnie z wyraźnym politowaniem.

– Kiedy słyszę, co mówi Europa o wolności słowa w Turcji, po prostu się śmieję. Gdzie była Europa, kiedy tureckimi mediami kierowali ludzie Fetullaha Gülena? Miał ich w każdym newsroomie, każdej gazecie, stacji telewizyjnej i radiowej. Ci ludzie nie tak dawno temu, bo w dwa tysiące czternastym roku oskarżyli mnie o to, że jestem członkiem jednej z islamistycznych organizacji! W pierwszej chwili pomyślałem, że wkręcają mnie w jakimś programie satyrycznym. Ja, który nigdy w życiu nie pomodliłem się w meczecie, wojującym islamistą? Ale to nie był żart, opublikowali moje nazwisko, numer telefonu, a nawet wyrok, który zapadnie w mojej sprawie. Bo sądy też były obstawione ich ludźmi. Europa nie zająknęła się wtedy nawet słowem. A teraz, kiedy ludzie Gülena siedzą w więzieniach, burzy się i lamentuje. Tymczasem dopiero teraz mogę normalnie pracować – mówi.

Nie tylko on ma taką opinię.

– Media, które zamknięto tuż po wprowadzeniu stanu wyjątkowego, rzeczywiście w wielu przypadkach związane były z Fetullahem Gülenem. Więc sporo osób ten krok popierało – mówi mi Tuğba Tekerek, była dziennikarka największych tureckich dzienników „Milliyet” i „Taraf”. – Problem w tym, że potem represje dotknęły i inne media.

Na Zachodzie największą uwagę przykuła sprawa „Cumhuriyet”, najstarszego, bo istniejącego od 1924 roku tureckiego dziennika. W październiku 2016 roku jego dziennikarze, których zaledwie rok wcześniej Reporterzy bez Granic uhonorowali Nagrodą Wolności Prasy,

usłyszeli zarzuty wspierania puczystów. Dotychczasowy redaktor naczelny, Can Dündar, legenda tureckiego dziennikarstwa, był już wtedy w Niemczech. Wyjechał, kiedy został oskarżony o ujawnienie tajemnicy państwowej, szpiegostwo i wspieranie grupy terrorystycznej. Zarzuty związane były z opublikowanym przez „Cumhuriyet” materiałem dowodzącym, że Turcja pod przykrywką pomocy humanitarnej wysyła do Syrii broń. Dündara skazano na karę pięciu lat i dziesięciu miesięcy pozbawienia wolności.

Tylko w pierwszym tygodniu stanu wyjątkowego zamknięto szesnaście kanałów telewizyjnych, dwadzieścia trzy stacje radiowe, czterdzieści pięć dzienników, piętnaście magazynów i dwadzieścia dziewięć domów medialnych. Ponieważ w czasie stanu wyjątkowego obowiązywał zakaz zgromadzeń, protesty były co najwyżej symboliczne. Ten w obronie „Cumhuriyet” przybrał formę spacerów, w czasie których przechodnie demonstracyjnie czytali dziennik.

W Turcji wolność słowa nigdy nie miała łatwo. Od ustanowienia republiki media znajdowały się pod wojskową kuratelą i nie ważyły się krytykować armii nawet wtedy, gdy wojskowi dokonywali puczów, a o wydarzeniach dotyczących bezpieczeństwa narodowego albo w ogóle nie informowały, albo czyniły to w sposób przychylny dla rządzących. Jak w przypadku konfliktu na południowym wschodzie kraju. Każdy redaktor wiedział, że wystarczy jeden nieopatrzny artykuł, by jego gazeta została zamknięta.

Zresztą dla wielu mediów informowanie nie było priorytetem, nie w tym celu powstawały. Od lat osiemdziesiątych większość z nich stanowiła część holdingów, w skład których wchodziły firmy z sektora energetycznego, turystycznego, przemysłu, nieruchomości, branży samochodowej czy technologii IT. Ich prezesi zakładali lub kupowali media, by promować własne interesy. Rządzący wykorzystywali tę strukturę, by zdobyć sobie przychylność mediów. Jak prosty był to mechanizm, można prześledzić na przykładzie holdingu Aydına Doğana, którego media ważyły się być wobec władz krytyczne. W 2009 roku Erdoğan wezwał w parlamencie do bojkotu Grupy Doğan, później nałożono na nią karę w wysokości 3,25 miliarda

dolarów za rzekome przekręty podatkowe. W 2013 roku to właśnie należący do Grupy Doğan kanał CNN Türk zamiast protestów Gezi pokazywał dokument o pingwinach, które chyba już na zawsze pozostaną w Turcji symbolem cenzury.

Wtedy też wolność zaczęła przenosić się do mediów społecznościowych. Publikowano w nich nie tylko relacje z protestów, ale także niewygodne dla polityków nagrania. W grudniu 2013 roku na YouTubie pojawiła się rozmowa dowodząca gigantycznej korupcji na najwyższych szczeblach, w której spanikowany Bilal Erdoğan radził się ojca, jak ma pochować tak wielką ilość gotówki. Zaś w marcu 2014 roku Turcy mogli posłuchać, jak ówczesny szef wywiadu, Hakan Fidan, proponuje, że zorganizuje atak na Turcję z terytorium Syrii, by dać Ankarze pretekst do interwencji.

Od tego czasu media społecznościowe i setki stron internetowych blokowane są szybko i sprawnie – nie na mocy wyroku sądu, a jedynie decyzji administracyjnej. Redakcja portalu Sendika, jednego z wielokrotnie blokowanych portali, aplikowała nawet do Księgi Rekordów Guinnessa.

– Napisaliśmy do nich, by uznali nas za najczęściej zamykaną przez władze stronę. Zrobiliśmy to głównie dla zwrócenia uwagi na problem. Odpisali nam, że nie ma takiej kategorii – mówi mi dziennikarka portalu Deniz Özge Gürsu. Zza jej pleców, na powieszonym na ścianie redakcji zdjęciu uśmiechają się głodujący w Ankarze Nuriye i Semih. Sendika takim jak oni oddaje głos szczególnie chętnie. – Pozwalamy ludziom mówić, nie dodając swojego komentarza. Tak było z Çapul TV. W czasie protestów po prostu ustawiliśmy kamerę w kawiarni w parku Gezi. W ten sposób w jeden miesiąc odnotowaliśmy wzrost z dziesięciu tysięcy do czterech milionów odsłon – mówi Deniz.

Portal Diken na swojej stronie wprowadził specjalną kategorię dla ocenzurowanych materiałów.

– Nazwaliśmy ją „VPN News”, ponieważ by je przeczytać, trzeba albo wyjechać z Turcji, albo korzystać z szyfrowanego połączenia VPN. Obecnie pod tą zakładką znajduje się około dwustu zablokowanych decyzją władz artykułów – opowiada mi Erdal Güven, były szef Tuncy. –

Miesięcznie na stronie mamy piętnaście milionów odsłon realnych użytkowników. To powinno przyciągać inwestorów. A jest odwrotnie. Im więcej ludzi nas czyta, tym więcej inwestorów wycofuje od nas swoje reklamy. Nie wiem, jak długo jeszcze pociągniemy. – Głowa Erdala jeszcze ciężej osuwa się na podtrzymującą ją dłoń.

– Nie myśleliście o crowdfundingu? – pytam.

– Odpada. W Turcji zbiórka publiczna to jasny sygnał, że toniesz.

Ani redakcji Diken, ani Sendiki nie anonsuje żaden znak lub tablica. Mieszczą się w blokach, zamiast do mieszkania wchodzi się do niewielkiego biura. Łączy je także podobna liczba pracowników, około siedmiu osób. Tak najczęściej wyglądają media uznane za niezależne lub opozycyjne. Erdal jednak przeciwko temu drugiemu słowu protestuje.

– Staramy się jedynie zachować krytyczne spojrzenie. Ale rzeczywiście, to wystarczy, by zostać uznanym za opozycję.

– Takie media jak Diken czy Sendika czytają tylko ci wykształceni, najczęściej młodzi i z dużych miast. Połowa społeczeństwa wciąż podąża za mediami głównego nurtu. A te są wyraźnie prorządowe. Na awans mogą liczyć tylko ci, którzy mają zdjęcie Erdoğana na biurku albo chociaż na wygaszaczu ekranu komputera. Prorządową agendę realizują nawet media sportowe, które szczególną uwagę poświęcają łucznictwu, ulubionej dziedzinie Bilala – kwituje Tuğba Tekerek. Sama nie wyobraża sobie już pracy w zawodzie. – Być dziennikarzem w Turcji to jak być nurkiem na pustyni.

*

Ayşe Güney cieni tego zawodu nie dostrzegała. Już jako nastolatka chciała zostać reporterką. Marzyła, by przemierzać Turcję z plecakiem, relacjonować rozgrywające się w kraju wydarzenia, oddawać głos ich bohaterom. Jednak gdy po szkole średniej przyszło do podejmowania decyzji, wybrała studia pedagogiczne. Nauczyciele zarabiają słabo, ale i tak wiedzie im się bez porównania lepiej niż dziennikarzom. Fascynujące życie

najwidoczniej nie idzie w parze ze stabilizacją finansową, a ona trudów wiązania końca z końcem naoglądała się już wystarczająco.

Wychowała się w jednej z biedniejszych, robotniczych dzielnic Stambułu, zamieszkanej głównie przez Kurdów, alewitów oraz inne mniejszości, które zawsze miały pod górkę. Matka pracowała jako szwaczka, garbiła się nad maszyną od świtu do nocy. W przerobionej na szwalnię suterenie panowała duchota, nic nie pomagało, że lufciki były zawsze otwarte. Dyndające na kablach żarówki nie radziły sobie z półmrokiem. Panował nawet w słoneczne dni.

Ayşe przychodziła tam od razu po szkole, by pomagać mamie szyć. Patrzyła na jej spracowane ręce i zmęczoną twarz, na warunki, które nie gwarantowały nawet ubezpieczenia, na marne pensje – i narastał w niej gniew. Nie na pracę, bo praca sama w sobie jest dobra, towarzyszyła jej od najmłodszych lat. Dorabiała, gdzie tylko mogła, a to w sklepie, a to w kawiarni, byle cokolwiek dorzucić do wiecznie dziurawego domowego budżetu. Gniew wymierzony był w system.

– W tej szwalni i w naszej dzielnicy zrozumiałam, czym są nierówności klasowe oraz jak bardzo nakładają się one na podziały etniczne i narodowościowe. Gdziekolwiek spojrzałam, widziałam jedno: że Kurdowie cierpią w tym państwie najbardziej. Zrodziły się we mnie pytania. Dlaczego nic nie wiem o kurdyjskiej kulturze, dlaczego nie znam języka kurdyjskiego? – opowiada mi Ayşe.

Jej matka jest Turczynką, a ojciec, urzędnik niskiej rangi, Kurdem. Ale i on niewiele wiedział o swojej kulturze. Jego rodzice celowo nie przekazali mu tej wiedzy, z rozmysłem nie nauczyli języka. W tamtym czasie kurdyjskość oznaczała tylko kłopoty. Żeby chronić syna, wysłali go do szkoły z internatem, w której wpojono mu turecką kulturę. W głębi duszy chyba jednak wierzyli, że nadejdą lepsze czasy, bo swoim wnukom powtarzali: „Pamiętajcie, żyjecie jak Turcy, ale macie kurdyjskie korzenie”.

– Nie wiedzieliśmy, co to znaczy. Ale to zdanie w nas zostało.

Te słowa długo w niej dojrzewały. W ciemnej szwalni, w ubogich uliczkach dzielnicy, nad lichą zupą zagryzaną chlebem. Wypełniały głowę

Ayşe kolejnymi pytaniami. Co to znaczy być Kurdem? Dlaczego musi się to wiązać z cierpieniem? Im dłużej szukała odpowiedzi, tym bardziej kwestionowała znany sobie porządek.

– Zrozumiałam, że kwestia kurdyjska jest częścią mnie. – W jej głosie, tak delikatnym i melodyjnym, wciąż czai się gniew. – Zaczęłam chodzić na prokurdyjskie zgromadzenia. Władze uznawały je za nielegalne, a tych, którzy brali w nich udział oskarżały o członkostwo w organizacjach terrorystycznych. Był rok dwa tysiące jedenasty, akurat skończyłam studia, nie zdążyłam jeszcze zacząć pracy w żadnej szkole, gdy zostałam zatrzymana, uznana za terrorystkę i skazana na pięć lat.

Mówi, że dopiero w chwili, gdy sędzia odczytał wyrok, poczuła się w pełni wolna, spokojna, szczęśliwa.

– Od tego momentu już nie musiałam ukrywać swoich poglądów, mogłam otwarcie mówić o tym, kim jestem. Teraz też to robię, ale z tyłu głowy mam lęk, jakie będą tego konsekwencje – przyznaje. Właśnie dlatego, żeby swobodnie porozmawiać, umówiłyśmy się w kawiarni prowadzonej w Diyarbakır przez jej przyjaciółkę. Przychodzą do niej głównie stali klienci. Ayşe wszystkich zna, może tu opowiadać. – W więzieniu byłam od tych lęków wolna. Ściany celi mnie nie ograniczały. Poczułam je tylko raz. Kiedy uwięzieni w piwnicach mieszkańcy Cizre zadzwonili do telewizji z błaganiem o pomoc. Trwała operacja antyterrorystyczna, bombardowanie, a im skończyła się woda. Kilka minut po tym telefonie spłonęli żywcem. By oddać im szacunek, niektóre z moich koleżanek z więzienia przestały wtedy pić wodę. Bo woda była ostatnim życzeniem ludzi z Cizre. Życzeniem, które nie zostało spełnione.

Wtedy też zaczęła zastanawiać się nad znaczeniem mediów. Gazety, do których miała dostęp w więzieniu, czytała od deski do deski. – Prasa oraz kilka kanałów telewizyjnych były naszym jedynym łącznikiem ze światem. Zwłaszcza wtedy, gdy nie mogłyśmy widywać się z rodzinami. Raz na tydzień miałyśmy prawo do półgodzinnego widzenia, ale czasem karano nas zakazem tych widzeń, poza tym część rodzin mieszkała na drugim końcu kraju. Kurdyjki z Diyarbakır specjalnie umieszczano w więzieniach

w odległym Stambule albo w miastach znanych z nacjonalizmu, takich jak Trabzon bądź Rize, co narażało odwiedzających je bliskich na pobicia i inne niebezpieczeństwa – opowiada poruszona.

Najbardziej żałowała, że nie ma dostępu do tekstów JİNHY, kurdyjskiej agencji informacyjnej tworzonej wyłącznie przez kobiety. Agencja powstała w Diyarbakır 8 marca 2012 roku, w Dzień Kobiet. Jedną z jej reporterek była między innymi Zehra Doğan, artystka, o którą później będzie upominać się Banksy. – JİNHA jako pierwsza opisała problem gwałtów, których dopuszczali się urzędnicy i żołnierze na południowym wschodzie. To jedno z narzędzi wojny, używane, by złamać największą siłę tego regionu, siłę kobiet. – Gdy to mówi, oczy Ayşe krzesają iskry. – Głos kurdyjskich kobiet jest w Turcji ledwie słyszalny. Reporterki JİNHY to zmieniły. Bardzo je podziwiałam. I dużo o nich myślałam.

Kiedy 1 lipca 2016 roku wychodziła z więzienia, wreszcie wiedziała, kim jest. Próba zamachu stanu, do której doszło dwa tygodnie później, tę pewność jeszcze w niej umocniła.

– Poprzedni pucz z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku był dla Kurdów, lewicy i socjalistów początkiem jednego z najczarniejszych okresów w historii. Ich domy na okrągło przeszukiwano, ich samych wtrącano do więzień. Kiedy wyszłam na wolność i znów doszło do puczu, moi rodzice byli przerażeni. Bali się, że zostanę zatrzymana, poddana torturom. Albo że zniknę, a oni wszędzie będą słyszeć „u nas jej nie ma”… To bez znaczenia, czy zamach stanu jest udany oraz kto go przeprowadza. Dla Kurdów zawsze oznacza prześladowania. Poczułam, że jestem potrzebna na południowym wschodzie.

Pojechała do Diyarbakır. Miała tam kilkoro przyjaciół, w większości lokalnych dziennikarzy. Wszystkich poznała w więzieniu. Pomogli jej na starcie. Nie miała gdzie się zatrzymać, a na hotel nie było jej stać, więc ugościli ją w swoich domach.

Szybko odnalazła się w nowej rzeczywistości. Została przyjęta na staż do agencji DİHA (Dicle Haber Ajansı), jednej z najstarszych i najbardziej poważanych w tym regionie. Jako początkująca reporterka zajmowała się

bieżącymi wydarzeniami. Opisywała, jak dopiero co wprowadzony stan wyjątkowy wpływa na codzienne życie.

– DİHA była dla mnie szkołą warsztatu, ale i życia. Pracowali tam bardzo odważni ludzie. Ci, którzy docierali do Cizre, do Kobane. Sama nie mogłam śledzić oporu Kobane, byłam wtedy w więzieniu. Ale kiedy tylko dostałam tę pracę, dużo pisałam o Sur. Spotykałam się z kobietami, które w czasie interwencji broniły swoich domów własnymi ciałami. Teraz już nie ma tych domów, nie ma Sur. Dlatego chciałam utrwalić pamięć o tych wydarzeniach.

Staż Ayşe trwał trzy miesiące. Potem DİHA została zamknięta przez władze, wraz z kurdyjskim dziennikiem Azadiya Welat i JİNHĄ. Zamykające je dekrety KHK wydano 29 października 2016 roku, w rocznicę ustanowienia Republiki Tureckiej, a zarazem trzydzieste czwarte urodziny Ayşe.

Likwidowane kurdyjskie media szybko odradzały się pod innymi nazwami. – Reporterki JİNHY założyły Şujin, kiedy zamknięto i Şujin, założyły Jin News. Podobnie było i z moją agencją. Twórca DİHY założył Di Haber. Zostałam tam zatrudniona, ale po dziewięciu miesiącach zamknięto i Di Haber. Wtedy jej dziennikarze założyli Agencję Mezopotamia, Mezopotamya Ajansı. Zaczęłam więc pracować w Agencji Mezopotamia… Tylko jak długo można było tak funkcjonować? Zebrałyśmy się z dziennikarkami, redaktorkami i reporterkami z tych wciąż zamykanych i odradzających się gazet i agencji, uznając, że przetrwamy tylko, jeśli będziemy trzymać się razem. Nam, kobietom, w tej sytuacji było najtrudniej, bo dziennikarstwo to w Turcji męska branża – Ayşe mówi to tak, jakby już wkrótce miało się to zmienić.

W ten sposób 3 maja 2017 roku, w Światowy Dzień Wolności Prasy, powstała Platforma Dziennikarek Mezopotamia, Mezopotamya Kadın Gazeteciler Platformu. Jej członkinie piszą dla różnych mediów, ale tworzą wspólny front. Jeśli któraś straci pracę, pomagają jej znaleźć nową. Jeśli zostanie bez środków do życia, robią zrzutkę albo chociaż burzę mózgów, bo większość z nich pracuje za głodowe stawki. Jeśli któraś zostanie

aresztowana, dbają, by miała adwokata, odwiedzają jej rodzinę, a jej samej przynoszą do więzienia ubrania i książki, a także piszą do niej listy, w których – dokładnie tak, jak robiła to Minez dla Tuncy – opisują bieżące wydarzenia.

Na co dzień przygotowują publikacje i organizują warsztaty językowe dla kolegów po fachu, szkoląc ich, jakiego powinni używać języka, by nie dyskryminować kobiet.

– Na przykład pisze się, że policja weszła do domu Mehmeta i aresztowała jego żonę, Hatice. A czemu nie napisać, że policja weszła do domu Mehmeta i Hatice? – pyta zaczepnie Ayşe.

Przede wszystkim jednak wspierają się, by groźby, z którymi codziennie się spotykają, nie osłabiły ich siły.

– Ostatnio jedna z naszych reporterek filmowała protest przeciwko *kayyum*, zarządcom mianowanym przez rząd. Policjanci sunęli jej w tym czasie pałkami po wewnętrznej stronie ud, szepcząc jej do ucha, żeby się stamtąd zawijała, jeśli nie chce zostać zgwałcona – mówi Ayşe. Sama wielokrotnie była zatrzymywana w czasie pracy. Puszczali ją wolno tego samego dnia, ale, tak samo jak w przypadku Tuncy, sprzętu jej nie oddali.

Obecnie Ayşe jest redaktorką w kobiecej agencji Jin News, spadkobierczyni JİNHY, którą tak podziwiała, będąc w więzieniu. Spełnia też inne wielkie marzenie – uczęszcza na kurs kurdyjskiego, by w przyszłości głos kobiet w jej tekstach mógł wybrzmieć w ich rodzimym języku.

*

W tureckich mediach społecznościowych krąży jeszcze jeden penitencjarny żart. „Czy macie tę książkę?” – pyta w więziennej bibliotece osadzony. „Nie, ale mamy autora” – odpowiada pracownik. Za słowa siedzą nie tylko dziennikarze, ale i pisarze, politycy, prawnicy, obrońcy praw człowieka.

Zastanawia mnie, czy ci, którzy ich skazują, zorientowali się już, że wolność lubi robić na przekór. Najchętniej towarzyszy tym, którym ją

odbierają. Przenika więzienne mury i szepcze uwięzionym, by i oni ich nie widzieli. A tych, którzy posłuchają, hojnie wynagradza – reporterce Ayşe podarowała tożsamość i powołanie, działaczom Amnesty International jeszcze większą motywację do walki.

İdil Eser, dyrektorka tureckiej Amnesty International, w czasie więziennych widzeń opowiadała swoim kolegom o tym, jak pobyt w Silivri jeszcze wzmógł jej zapał do pracy na rzecz więźniów politycznych, napełnił energią i sensem. Była jedną z tak zwanej „stambulskiej dziesiątki”, działaczy na rzecz praw człowieka zatrzymanych w lipcu 2017 roku.

Pytanie o powód ich zatrzymania ciśnie się na usta tylko tym, którym dane jest żyć w państwach demokratycznych. Poza obszarem demokracji brzmi groteskowo.

Taner Kılıç, honorowy prezes tureckiej Amnesty International, który do więzienia trafił miesiąc przed „stambulską dziesiątką”, zawinił aplikacją ByLock. Popularny komunikator umożliwiający wysyłanie szyfrowanych wiadomości został uznany przez tureckie władze za dowód członkostwa w ruchu Fetullaha Gülena. I choć dwa raporty policyjne i cztery niezależne analizy kryminalistyczne nie znalazły śladu ByLocka na jego telefonie, to Kılıç w więzieniu spędził ponad czternaście miesięcy. İdil Eser i pozostali działacze mieli więcej szczęścia, wyszli po czterech miesiącach. Ich proces zakończył się dopiero w lipcu 2020 roku. İdil Eser, wraz z dwojgiem innych aktywistów ze „stambulskiej dziesiątki” – Günalem Kürşünem i Özlem Dakıran – skazano wtedy na dwa lata i miesiąc pozbawienia wolności, zaś Tanera Kılıça na sześć lat i trzy miesiące.

Im wolność może wyszeptać słowa Selahattina Demirtaşa: „Jedynym powodem mojego uwięzienia, a zarazem jedyną bronią, jaką posiadałem, były słowa w mojej głowie”. Wolność nie dała mu sprawowanej zza krat prezydentury. Podarowała mu za to wpływy innej natury, znacznie subtelniejsze. Następnego dnia po jego zatrzymaniu kazała mu pisać. „Słowa, których nie da się uwięzić, przez ostatnie dwa i pół roku ułożyły się w odpowiedzi na prawie pięć tysięcy listów, złożyły się na tysiące stron mojej obrony, a także dwa zbiory opowiadań i powieść. Nigdy wcześniej,

nawet poza murami więzienia, słowa w mojej głowie nie były tak wolne” – deklaruje Demirtaş na poświęconym literaturze portalu Lithub. Wciąż najbardziej rozchwytywaną z jego książek jest jego pierwszy zbiór opowiadań. Krótkie historie o zwykłych ludziach, zatytułowane *Seher – Świt* – zostały przetłumaczone na czternaście języków. We wstępie Demirtaş prosi czytelników, by traktowali je jak listy napisane z więzienia.

Bo między wierszami listów wolność przemyca treści znacznie trwalsze od państwowych przemówień, propagandy, cenzury. Tak było z listem syna Taybet İnan, za sprawą którego Ali Bozan nakręcił film *Siedem dni, siedem nocy*. W parlamencie odczytał go Sezgin Tanrıkulu, poseł, a chyba i posłaniec – on też dostarczył Osmanowi Kavali prezent na jego sześćdziesiąte drugie urodziny: album pełen listów od przyjaciół. „Osman, wyraźnie wzruszony, wziął album do ręki i długo na niego patrzył. Nie miał okularów, więc dałem mu swoje. Otworzył, zaczął czytać. Kiedy zamknął, powiedział tylko, że dla tego albumu warto było pójść do więzienia” – opowiadał prasie Tanrıkulu.

Kavala w Silivri był już wtedy od siedmiuset jeden dni.

Jest biznesmenem, znanym z tego, że chętniej niż za zyskiem podąża za ideami, takimi jak dialog i demokratyzacja. Im służyć miały publikacje wydawnictwa İletişim Yayınları, które Kavala założył w okresie represji po zamachu stanu w 1980 roku. Później za cel obrał sobie łagodzenie skutków konfliktu na południowym wschodzie kraju. Z tą intencją na przełomie lat dziewięćdziesiątych i dwutysięcznych powoływał do życia centra kultury mające tworzyć przestrzeń dla różnorodności kulturowej, ułatwiać spotkania i współpracę artystów z różnych miast, a nawet i krajów. Artystę widział w każdym człowieku – w więźniach, uchodźcach, przedstawicielach mniejszości etnicznych. Dla nich wszystkich organizował warsztaty kulturalne. Angażował się wszędzie tam, gdzie dostrzegł lukę w polityce państwa – czy to w ochronie tureckiego dziedzictwa kulturowego, relacjach z Ormianami, czy też pomocy ofiarom trzęsienia ziemi, jakie w 2011 roku nawiedziło położone na wschodzie Van. Wypełniał luki.

W październiku 2017 roku, wracając z Gaziantep, gdzie wspólnie z Instytutem Goethego organizował warsztaty dla syryjskich uchodźców, został niespodziewanie zatrzymany na lotnisku w Stambule. Sąd zarządził areszt przedprocesowy, w którym Kavala miał czekać na akt oskarżenia. Sporządzono go dwa i pół roku później. Kavalę oskarżono w nim o próbę obalenia rządu w drodze protestów Gezi. Miał być jednym z szesnastu organizatorów demonstracji. W lutym 2020 roku wraz z innymi oskarżonymi – między innymi szefową Izby Architektów Mücellą Yapıcı – został uniewinniony. Zanim zdążył wyjść na wolność, dostał nowe zarzuty, tym razem udziału w organizacji zamachu stanu z 15 lipca 2016 roku. I choć Europejski Trybunał Praw Człowieka nakazał natychmiastowe zwolnienie także i Kavali, a najważniejsze światowe organizacje broniące praw człowieka wydają oświadczenie za oświadczeniem, filantrop wciąż nie opuścił murów Silivri.

Przyjaciele nadal do niego piszą. Część z tych listów publikują. Czytając je, można zrozumieć, dlaczego tak go wzruszają. Podpisują się pod nimi wszyscy, których bronił: migranci, ofiary trzęsień ziemi z 1999 i 2011 roku, uczestnicy organizowanych przez niego warsztatów, bezrobotni i bezdomni. W liście z 19 kwietnia 2020 roku wśród sygnatariuszy wymieniono nawet stambulskie mewy oraz – a może przede wszystkim – stada białych gołębi latające nad basztą Keçi Burcu w Diyarbakır.

*

Faruk Yaslıçimen z więzienia już wyszedł. Osobliwego, bo była nim wieża z kości słoniowej, którą sam sobie stworzył.

Naszą rozmowę zaczął od ubolewania.

– Żyjemy w erze postprawdy, w której obiektywizm, zwłaszcza dziennikarski, zdaje się nie mieć już racji bytu. – Każde jego kolejne zdanie było coraz bardziej teoretyczne, uczone, nasycone terminami zdradzającymi, że jest nie tylko dziennikarzem i redaktorem, ale

i akademikiem. Wykłada na prywatnym Uniwersytecie İbn Halduna w Stambule. Ale nie po wykład z historii idei do niego przyszłam.

Jeszcze do niedawna każdy, kto wpisywał w wyszukiwarkę *New Turkey*, Nowa Turcja, natrafiał właśnie na Yaslıçimena. Jest redaktorem naczelnym portalu NewTurkey, który powstał w ramach Fundacji SETA, *think tanku*, założonego przez İbrahima Kalına, doradcę prezydenta Erdoğana. Ponoć to właśnie autorzy tworzonych dla SET-y analiz ukuli termin Nowa Turcja. Pewności jednak nie ma, a informacje na temat jego etymologii są liczne i, rzecz jasna, sprzeczne.

– Tak, termin stworzyli nasi analitycy, a później, w dwa tysiące dziesiątym, zaczęło go używać AKP – potwierdza Yaslıçimen. Zatem dobrze, uznajmy, że dotarłam do źródła. Może wreszcie poznam definicję Nowej Turcji.

– Nowa Turcja powstała w opozycji do Starej Turcji, więc łatwiej powiedzieć, czym nie jest, niż czym jest. Stara Turcja kojarzy się z kemalizmem i potęgą armii, która dominuje nad rządami cywilów. Nowa Turcja oznacza, że zostawiamy to za sobą – tłumaczy Yaslıçimen, lecz za teorią wciąż nie podążają konkrety. Próbuję więc inaczej. Pytam, co on sam zostawił za sobą.

W odpowiedzi słyszę historię, którą wcześniej opowiedziała mi już Melek. O szkołach typu *imam-hatip* – odejmowanych punktach i braku szans na dobre studia. Yaslıçimen, który od młodych lat planował karierę naukową, zdecydował wypisać się z *imam-hatip*.

– Moi koledzy i koleżanki zostali. Tuż po ukończeniu liceum spotkałem najzdolniejszego z nich. Pracował jako stróż nocny.

Yaslıçimen poszedł na studia historyczne, a wiedzę zdobywał jednocześnie na dwóch kierunkach na prestiżowych stambulskich uniwersytetach Bilgi i Bilkent, zaś później wyjechał do Niemiec robić doktorat.

– Codziennie chodziłem do biblioteki, sprawdzałem nowe publikacje w mojej specjalizacji, czyli studiach nad językiem osmańskim. Zamknąłem się w wieży z kości słoniowej i czułem się w niej szczęśliwy – opowiada.

Jego idyllę przerwały protesty Gezi. – W tamtym czasie byłem dość krytycznie nastawiony do naszego rządu. Bo w ogóle lubię kontestować, dyskutować. I choć krajowa polityka mnie nie porywała, to te protesty śledziłem. – Głos Yaslıçimena pozostaje cichy i jednostajny, lecz na jego policzkach pojawiają się wypieki. – Zdałem sobie sprawę, że ci ludzie chcą nam odebrać prawo decydowania o sobie, przekreślić nasze głosy. W państwie demokratycznym rządu można pozbyć się w drodze wyborów, a nie ulicznej rewolty! Poczułem, jakby ktoś znów próbował ukraść mi przyszłość. I zadałem sobie pytanie: czy w takiej sytuacji mam prawo pozostać w mojej wieży?

Po ukończeniu doktoratu Yaslıçimen wrócił do Turcji i zaczął pracować jako analityk Fundacji SETA. Przez dwa lata zajmował się w niej głównie kulturą. – Pamiętam, jak na potrzeby jednej publikacji przeanalizowałem cztery i pół tysiąca artykułów z prasy ogólnokrajowej. Wnioski mnie zaskoczyły: to media definiujące się jako świeckie i lewicowe wykazują się największym konserwatyzmem przy doborze tematów, a wiadomości z zakresu kultury cenzurują i upolityczniają, na przykład nie podając informacji o wystawach islamskiej kaligrafii!

Media interesowały go coraz bardziej.

– Śledziłem angielską, niemiecką i arabską prasę. I widziałem, że pojawiające się w niej informacje na temat Turcji rzadko kiedy są rzetelne, dominują głosy, jak to staczamy się w otchłań dyktatury i autorytaryzmu. Myślałem: błagam, jesteśmy akademikami, znamy te mechanizmy, znamy historię Niemiec, znamy historię Włoch. Za to autorzy tych artykułów najwidoczniej nie znają najnowszej historii Turcji, co dziesięć lat znaczonej wojskowymi zamachami stanu!

Ta irytacja doprowadziła go do stanowiska redaktora naczelnego NewTurkey. Portal powstał w 2012 roku jako platforma dla przedruków i tłumaczeń artykułów z tureckiej prasy na język angielski. Ale wraz z nasilającą się krytyką Turcji w zachodniej prasie w Fundacji SETA padła propozycja, by rozszerzyć jego działalność. Na pomysł wpadł Fahrettin Altun, wówczas dyrektor stambulskiej filii Fundacji, który obecnie

odpowiada w rządzie za komunikację. Jego rzeczywiste wpływy trudno ocenić. Część mediów nazywa go drugą osobą w państwie po Erdoğanie, zwracając uwagę, że na najważniejszych spotkaniach zawsze siedzi obok prezydenta. W kwietniu 2016 roku Altun zaproponował Yaslıçimenowi stanowisko naczelnego, a ten podjął się powierzonego mu wyzwania. Przedruki miały być odtąd rzadkością, czas na własnych autorów i materiały – jak określa to Yaslıçimen – pokazujące również drugą stronę medalu.

Jemu tę drugą stronę pokazało pewne zdjęcie.

– Zobaczyłem je przypadkiem, w biurze HDP w Bingöl na wschodzie Turcji, które odwiedziłem w ramach badań terenowych. Jeden z lokalnych polityków wyświetlił mi na telefonie jakiś dokument. Chciałem go przybliżyć, ale zamiast tego niechcący przesunąłem do następnej fotografii w galerii. I co zobaczyłem? Tego samego polityka, tyle że w mundurze, ramię w ramię z PKK! W tym kraju wielu ludzi, również dziennikarzy, prowadzi drugie życie. – Nawet wzburzenie, które maluje się teraz na jego twarzy, jest kontrolowane. Miałam nadzieję na więcej emocji, jakieś żarliwe dyskusje, ale wszelkie próby brania Yaslıçimena pod włos zawodzą. Na tej wyprawie do źródła przygód nie będzie. Wyjaśnijmy więc Nową Turcję: – Dla mnie jest to pewien ideał. Nowa Turcja powinna być krajem, w którym wszyscy mogą żyć w zgodzie ze swoim światopoglądem. Tak jak w imperium osmańskim, w którym liczne mniejszości cieszyły się wolnością, a zarazem funkcjonowały w obrębie tej samej struktury państwowej. – W tej rozmowie, odbytej w sierpniu 2018 roku, Yaslıçimen ma dla mnie same gładkie wypowiedzi.

Wracam do niego w październiku następnego roku. Jestem ciekawa, co powie mi po publikacji najgłośniejszego z raportów SET-y. Zatytułowany *Przedstawiciele zagranicznych mediów w Turcji* na dwustu stronach prezentuje sylwetki dziennikarzy Deutsche Welle Türkçe – wśród nich i Tuncy Öğretena – BBC Türkçe, the Voice of America, Sputnik Turkey, Euronews Turkey, Independent Turkey oraz China Radio International (CRI) Turkey. Omawia ich poglądy, podaje przykłady konkretnych tekstów,

zamieszcza screeny tweetów. Raport natychmiast potępiło ponad dwadzieścia czołowych organizacji broniących praw człowieka. Między innymi Reporterzy bez Granic, którzy bili na alarm, że korespondenci zostali w ten sposób wystawieni na ataki.

Yaslıçimen zaskakuje mnie swoją pamięcią. – Kiedy widzieliśmy się po raz ostatni, powiedziałem ci, żebyś do sprawy każdego dziennikarza podchodziła indywidualnie i z wielką starannością.

W swojej odpowiedzi nic nie chce zmienić. Dodaje jedynie: – Dla nas, dziennikarzy portalu NewTurkey, Nowa Turcja stanowi obecnie problem. Termin ten ma na Zachodzie jednoznacznie negatywne konotacje, więc wielu postrzega nas jako tubę propagandową rządu. Nie zdziw się, jeśli zmienimy nazwę.

Rzeczywiście, kilka miesięcy po naszej rozmowie NewTurkey.Org zostaje zastąpiona przez PoliticsToday.Org.

Definicja Nowej Turcji Yaslıçimena pozostaje jego prywatną. Obowiązującej, oficjalnej, nie ma. Każdy ma swoją. I nikt nie wie, czy te niezliczone Nowe Turcje kiedykolwiek się spotkają.

[9] Marksistowsko-Leninowska Partia Komunistyczna, Marksist-Leninist Komünist Partisi.

[10] Rewolucyjna Partia i Front Wyzwolenia, Devrimci Halk Kurtuluş Partisi-Cephesi.

Muzyka

Jeśli chciałoby się poczuć jak na najdalszym z krańców świata, to trudno o lepsze miejsce niż Pınarbaşı. Kurz na drodze podnosi się tu rzadko, nie dociera transport publiczny, a rytm życia wyznaczają śpiew ptaków, szelest zieleni i wezwanie na modlitwę z malutkiego meczetu.

– W naszej wiosce jest tylko kilkanaście domów, a w nich niemal sami starsi ludzie, więc ezan wybrzmiewa nie pięć, a jedynie trzy razy dziennie. Dla nich to i tak bardzo dużo. – Wieloletni imam tutejszego meczetu, Ahmet Muhsin Tüzer, roztacza wokół siebie aurę pogody. Widać w nim pełną zgodę na to, że życie przygotowało dla niego same specjalne role.

Zanim został najsławniejszym imamem Turcji, pracował jako muezin w najsłynniejszym meczecie w kraju. Często wraca myślami do tego czasu, kiedy wieczorny ezan z Błękitnego Meczetu w Stambule podrywał do lotu gołębie i unosił głowy turystów. Każde przeciągnięcie zgłoski coraz wyraźniej wydobywało z mroku minarety i potęgowało ogrom roztaczającego się nad nimi nieba. Ahmet recytował z zamkniętymi oczami. W jego śpiewnym wezwaniu było wszystko: wieki historii, majestat, wielkość i pokora, Bóg.

Kiedy kończył, zarzucał na plecy skórzaną kurtkę, zapuszczał w słuchawkach Freddiego Mercury'ego, wskakiwał na motor i zaczynał grzać. Gdy wyjeżdżał na przedmieścia, licznik wskazywał dwieście siedemdziesiąt kilometrów na godzinę.

Freddie pewnie byłby zdziwiony, że to jego *Bohemian Rhapsody* pchnęło Ahmeta w objęcia Boga.

– Użył w tekście słowa *Bismillah*. To fraza z Koranu, oznacza „w imię Boga". To mnie zaintrygowało. Zacząłem nad tym myśleć – opowiada mi Ahmet. Wcześniej nie głowił się za bardzo nad Bogiem. W jego rodzinie

zajmował on najwyższe miejsce niejako samoczynnie. Dziadek Ahmeta był imamem oraz wykładowcą Koranu, imamem był też jego ojciec. „Synu, masz przepiękny głos. Dobrze byłoby, gdybyś poszedł w nasze ślady” – pewnego dnia powiedział Ahmetowi ojciec. A że słowo ojca rzecz święta, to chłopiec po ukończeniu szkoły podstawowej pozwolił się wysłać z rodzinnego Pınarbaşı na południu do szkoły koranicznej w Izmirze.

Jego ojciec najwidoczniej wiedział, co mówi, bo już na pierwszym roku w konkursie recytacji Koranu Ahmet zajął pierwsze miejsce w Izmirze i trzecie miejsce w Turcji. W następnych latach z równą lekkością zdobywał kolejne szczyty. Ukoronowała je funkcja muezina Błękitnego Meczetu.

Nic nie odprężało go bardziej niż ten szczególny czas po ostatnim ezanie, gdy upojony poczuciem wolności gnał uśpionymi ulicami Stambułu swoim wyścigowym suzuki, zresztą zakupionym z pensji duchownego. Zwalniał tylko w niedziele, kiedy chodził do kościoła.

– Byłem wtedy świeżo po ślubie. Z Marą poznaliśmy się w Bukareszcie. Znajoma znajomych, chrześcijanka. Po roku wzięliśmy ślub, a Mara przeprowadziła się do Stambułu – opowiada Ahmet. – Byliśmy nierozłączni, chodziłem z nią i na msze. Napisała o tym jedna, potem druga, trzecia gazeta. Wszystkie życzliwie, ale i tak się zaczęło. Niektórym z Diyanetu nie spodobała się żona chrześcijanka i wizyty w kościele – mówi. Diyanet to Urząd do Spraw Wyznań. Sprawuje instytucjonalny i organizacyjny nadzór nad religią, ma wielkie wpływy i jeszcze większy budżet. – Nie zrobiłem nic wbrew islamowi, ale zgryźliwe plotki i złowróżbne domysły już żyły swoim życiem. Gdy dołączyła do nich całkiem otwarta krytyka i mniej lub bardziej skryte naciski, nie wytrzymałem. Złożyłem rezygnację z posady muezina.

Razem z Marą wyjechali do pobliskiej Antalyi na południu, gdzie Ahmet zajął się handlem. Sprzedawał obrazy, głównie kaligrafię islamską. Potem założył własną firmę, w ofercie której znalazły się herbaty, przyprawy i rozmaite organiczne produkty. Ale serce tęskniło do Boga. Ojciec Ahmeta namówił syna, by ten wrócił do posługi. Tym razem w swojej rodzinnej wiosce, jako imam.

– Po dziesięcioletniej przerwie znów otwierałem meczet. Spędzałem w nim pięć dni w tygodniu, latem dodatkowo nauczałem Koranu. To było naprawdę dobre życie… – W wiosce tak małej jak Pınarbaşı czas płynie wolno, a Ahmet miał go dużo. Któregoś z tych długich, spokojnych dni znajomy poznał go ze swoim kolegą, Doğanem Sakinem, basistą grupy rockowej Kramp. – To było jedno z tych spotkań, kiedy między ludźmi momentalnie coś zaskakuje, jakaś niesamowita energia. Z tego spotkania wyszedł nam zespół – wspomina Ahmet. Połączenie rocka i mistycyzmu było jego pomysłem.

Rock towarzyszył mu od czasów szkolnych, mistycyzm dołączył dopiero na studiach.

Mevlana, nazywany również Rumim, trzynastowieczny mistyk i założyciel zakonu wirujących derwiszy, wszedł do życia Ahmeta niepostrzeżenie, jako bohater powieści Elif Şafak, jednej z najpoczytniejszych tureckich autorek. Ahmet, który po ukończeniu edukacji religijnej oddał się studiom nad językiem arabskim i literaturą na Uniwersytecie Stambulskim, zaczął się łapać na coraz to dłuższych i głębszych przemyśleniach. – Sięgałem po kolejne książki, między innymi rozważania Lütfiego Filiza nad obowiązkami muzułmanina i takimi pojęciami jak życie po życiu… Te książki drążyły mnie bardzo powoli. Pracowały we mnie. Aż w końcu mnie przebudziły. Zrozumiałem, że prawdziwa religia to taka, która przybliża człowieka do poznania samego siebie.

O tym właśnie Ahmet chciał śpiewać. Sam wymyślił nazwę zespołu: FiRock. – Tureckie *Fi* to liczba Pi. Złota zgłoska matematyki, symbol harmonii – wyjaśnia.

W teledysku do ich pierwszego utworu *Mevlaya gel*, Przyjdź do Boga, Ahmet występuje na tle Błękitnego Meczetu i Hagii Sophii. Ubrany na biało, śpiewa: „Poszukaj odpowiedzi w swoim sercu i przyjdź do Boga”. Na wiernych w swojej wiosce nie zrobił tym wrażenia. Nie wykazali zainteresowania pasją swojego imama. Za to media i owszem. Migawki

teledysku pojawiły się w telewizji, a zaraz potem posypały się zaproszenia na koncerty, od okolicznych miejscowości aż za ocean.

Do Stanów zaprosiła go Catherine Christer Hennix, artystka i poetka uwielbiająca przekraczać granice form i gatunków. To po koncercie, który zagrali wspólnie w Nowym Jorku, Ahmet zaczął dostawać groźby śmierci.

– Radykałowie uznali, że nie reprezentuję prawdziwego islamu. A czymże jest prawdziwy islam? Tyle jest w nim odłamów, szkół, frakcji… Jak odróżnić ten autentyczny od fałszywego? Powiem ci. Jeśli w danej wierze jest miłość, pokój i otwartość na drugiego człowieka, to wówczas jest to połączenie z Bogiem. Jeśli do głosu dochodzi chęć manipulacji i sterowania ludźmi, gra na lękach i ludzkich słabościach, to wtedy jest to fałsz i iluzja. – Chyba nie tylko muzyka Ahmeta drażniła radykałów.

– Kolejny koncert miał odbyć się w Portugalii, na zaproszenie Muzeum Serralves w Porto. Wsparcia i patronatu udzieliło mi ministerstwo kultury. Ale Diyanet nie wyraził zgody na ten wyjazd. – Rozmowę przerywa nam telefon. Ahmet przeprasza, odbiera. Słucha i odpowiada z wielką uważnością, jego myśli nie rozpraszają się o moją osobę, czas ani pośpiech. Kiedy kończy rozmawiać, kurze łapki wokół jego oczu rozpoczynają radosny taniec. – Będziesz pierwszą osobą, która się o tym dowie! Dzwonił mój adwokat! – oznajmia. Ale zanim podzieli się wiadomością, zaznaczy: Diyanet zdjął go z urzędu imama i wysłał do Balıkesir w sąsiedniej prowincji. Już nie do wiernych.

– Praca w biurze tamtejszego meczetu. Głównie sporządzanie dokumentów. Sam na sam z komputerem – tłumaczy. Gdy wyjeżdżał z Pınarbaşı, żegnały go łzy mieszkańców. Te łzy jakoś nie mogły w nim wyschnąć. Po miesiącu pracy podjął decyzję: powalczy o przywrócenie. Poszedł do sądu. I wygrał. Sędzia uznał, że nie było powodu, by usuwać Ahmeta ze stanowiska imama. Diyanet złożył apelację. Prawnik zasugerował Ahmetowi, by rozważył ugodę, przemyślał to wszystko. Wojna z Diyanetem, jeśli w ogóle możliwa do wygrania, jest jak misja samobójcza. Ahmet odrzucił jego sugestię. Później jednak zmienił zdanie.

Przedłożył sądowi oświadczenie, że zgadza się pełnić funkcję urzędnika w biurze meczetu.

– Adwokat właśnie przekazał mi, że sąd przychylnie rozpatrzył moją prośbę o przywrócenie przed ekran komputera! – Ahmet cieszy się jak dziecko, a ja nie rozumiem, dlaczego tak nagle złożył broń.

– Są tylko dwie drogi. Droga miłości i droga nienawiści. Musisz wybrać, trzeciej drogi nie ma. Staniesz się tym, co wybierzesz – wyjaśnia, a głębia w jego oczach skrzy się czymś, do czego dostęp mają chyba tylko mistycy. Ahmet mówi dalej: – To była dla mnie bardzo trudna lekcja. Proces ciągnął się już siedem miesięcy, w którym to czasie byłem zawieszony w pełnionych funkcjach. Nie otrzymywałem wynagrodzenia, a służbowy dom już mi nie przysługiwał. Musieliśmy wyprowadzić się z Pınarbaşı i wynająć dom w innej wiosce. Próbowałem chwytać się dorywczych prac, ale tak naprawdę przez te wszystkie miesiące byłem na utrzymaniu Mary. I chyba musiałem tego doświadczyć, by wreszcie zrozumieć, że moja misja jako imama się skończyła. Najwidoczniej Bóg przewidział dla mnie nowe zadanie. Nie chcę już walczyć z nikim i niczym poza własnymi słabościami. – W jego głosie i gestach nie ma cienia napięcia. – Mam nadzieję, że FiRock przetarł szlak, którym pójdą inni. W swoim czasie. Na razie musimy przejść przez ciemność. Ale w tej ciemności są dla nas ważne lekcje.

FiRock nadal gra, choć skład nieustannie się zmienia. Turcy od nazwy zespołu bardziej kojarzą pseudonim Ahmeta, *Rockçu İmam*, Imam-Rockman. Ahmet przyznaje, że chciałby nawiązać współpracę z kilkoma tureckimi artystami, nagrać z nimi następne kawałki. Nie zdradza, z jakimi konkretnie.

– Nie planuję. Płynę z prądem. Z pełną ufnością, bo wierzę, że wszechświat odpowiada na nasze myśli. Dlatego tak ważne jest, by były pozytywne… – To samo tłumaczy swojemu synowi, Leventowi. Pokazuje mi jego zdjęcie. Dziewiętnastolatek obejmuje swoją dziewczynę. Czarna koszulka, długie pióra, rockman zupełnie jak ojciec.

– Czasem przychodzi na koncerty, ale mojej muzyki nie słucha. Słucha rapu. Jest wielkim fanem Tahribad-ı İsyan. Słyszałaś *Susamam*? To jest prawdziwa Turcja – mówi z przekonaniem Ahmet. Na informację, że tydzień wcześniej rozmawiałam z chłopakami z Tahribad-ı İsyan, uśmiecha się, jakby wiedział coś, czego ja nie wiem. – Nic nie dzieje się bez przyczyny… Mogłabyś mnie z nimi skontaktować? Może kiedyś coś razem nagramy…

Zdaje się, że wszechświat odpowiedział na myśli Ahmeta, bo raperzy pozwalają mi przekazać mu swoje numery. I oni, i ja również wierzymy, że nic nie dzieje się bez przyczyny.

*

Połyskujące fioletem rozedrgane pancerze oblepiły mury budynków i filary wiaduktów. Długie czułki, niczym miniaturowe anteny, wychyliły się nad krawężnikami, za swoją bazę przyjęły studzienki kanalizacyjne. Karaluchy wyczuły właściwy czas. Pojawiły się w Kadıköy zaraz po ogłoszeniu stanu wyjątkowego. Malował je Canavar, Potwór, jeden z najbardziej cenionych tureckich streetartowców. – Tak nas widzą rządzący. Sądzą, że mogą nas rozgnieść butem. Ale karaluchy przetrwają w najpodlejszych nawet warunkach. Nie da się ich pozbyć. Po pewnym czasie i tak wrócą – mówił mi wtedy, z dziwną przenikliwością w głosie. Obok karaluchów sprejował twarze z dziesiątkami oczu. Zamiast białek miały czerń, a w niej zatopione żółte, puste źrenice. – Tak się teraz czujemy. – Canavar wolno wymawiał każdą sylabę. Samozwańczy prorok-banita, zawsze trafiający we właściwe nuty.

Jego uliczna sztuka wciąż współgra z miastem i jego mieszkańcami. Razem z nimi triumfuje, upada, wywleka na światło ich najmroczniejsze lęki, niesie marzenia. I tak jak one, szybko znika. Nietrwałość to sedno – nie tylko *street artu*. W Kadıköy nie ma już squatów, ale wciąż to tutaj najłatwiej wyczuć puls miasta. Wystarczy zamknąć oczy i uważnie się wsłuchać.

– *Buuuuyrruuuum kaaavunlar geeeeldiii*, Zapraszam, melony przyjechały! – Donośny głos niesie się między kamienicami niczym śpiew. Chłopak przeciąga i akcentuje każdą sylabę. Przed sobą ma wózek, jakby ladę na kółkach, który aż ugina się od żółtych melonów. Pcha go ulicą, co chwilę przystając i rozglądając się, czy u góry nie pojawiają się koszyki.

Jest i koszyk! Spuszczany z okna na czwartym piętrze na przywiązanej doń lince, w środku ma odliczone pięć lir, dokładnie tyle, ile należy się za jednego melona. Nastolatek mierzy wzrokiem owoce, wybiera jedną sztukę, przykłada do ucha i dokładnie opukuje. Jeśli dźwięk mu się nie spodoba, wybiera inny. Następnie podchodzi do koszyka, wyjmuje pieniądze, wkłada melon. Koszyk wjeżdża w górę. W tej dzielnicy tak właśnie załatwia się wiele sprawunków. Ja nie mam swojego koszyka, więc muszę zbiegać na dół po schodach. Robię to często. Młody ma najlepsze melony w mieście, poza tym w jego śpiewnym zawołaniu jest coś urzekającego, co sprawia, że przypomina mi ulicznego barda. Jak się okazuje, nie tylko mnie.

– Powiedzieliśmy im tylko: nie starajcie się nikogo naśladować. Po prostu róbcie to, co robicie na co dzień. Jesteście urodzonymi artystami, z krwi i kości. – Onok Bozkurt wspomina najbardziej niezwykły koncert, jaki kiedykolwiek odbył się w Stambule. Siedemnastu obwoźnych sprzedawców stanęło na scenie razem ze światowej sławy muzykami. Wystąpili między innymi indyjski wirtuoz tabli i perkusji Trilok Gurtu, amerykański saksofonista Olivier Lake oraz turecki geniusz muzyki elektronicznej Erdem Helvacıoğlu. Razem z nimi sprzedawcy: Bedriye Yorgun – kwiatów, İsmet Gündoğdu – drożdżówek, Halit Taşıyan – małż. Nie było łatwo ich przekonać. Bali się, wstydzili. Aż zaproszenie przyjęła pierwsza osoba. Wtedy zaczęli zgadzać się inni, jeden po drugim.

– W koszmarnym hałasie, w jakim tonie Stambuł, nawoływania obwoźnych sprzedawców są jak śpiew ptaków. Na ich dźwięk aż przystajesz i słuchasz w zachwycie. Niegdyś rozbrzmiewało nimi całe miasto, szczególnie Eminönü i okolice Bazaru Egipskiego, a więc pierwsze miejsca, do których kierują się turyści. Ale teraz już nie usłyszą tego śpiewu. – Onok, współorganizator koncertu, posyła mi zbolałe spojrzenie. –

Chyba że zapuszczą się do dzielnic mieszkalnych, zwłaszcza tych uboższych, i będą mieli szczęście.

Najłatwiej uchwycić nawoływania sprzedawców *simitów*, obwarzanków, choć są one sporadyczne i krótkie. Większość stoi przy swoich nieruchomych wózkach z wypiekami, wyśpiewując przy nich jakby jedną sylabę z całej zwrotki.

– Turecki rząd chciał pokazać, jaki to jest nowoczesny. I wprowadził zmiany, które w jego interpretacji miały zbliżyć Turcję do członkostwa w Unii Europejskiej. Czy była to gra pozorów, czy rzeczywiste dążenia, to osobna kwestia. Fakt, że obwoźnym sprzedawcom zakazano śpiewać. A przecież od tych melodii, od siły ich głosu zależał ich utarg! Ci, którzy się nie podporządkowali, dostawali mandaty – opowiada mi włoska reżyserka Gulia Frati. O ulicznych sprzedawcach nakręciła film dokumentalny *Echa Stambułu*.

A przecież chłopaka sprzedającego melony słyszę codziennie. Frati wcale to nie dziwi: – O ile na początku mandaty dostawali niemal wszyscy, to później była to ruletka. Przepisy przepisami, ale w praktyce to dany policjant decydował, czy je implementować, a poszczególne dzielnice bardzo się pod tym względem różniły. To jak gra bez jasnych reguł.

Teraz nie ma to już znaczenia. Większość sprzedawców zamilkła. Wolą nie ryzykować.

*

Wieczorami jakby całe Kadıköy schodziło się nad Bosfor. Pary, kumple, rodziny, milczący samotnicy i roześmiane grupki znajomych siedzą wprost na betonie i wpatrują się w fale.

Przychodzą też i oni – blondynka i brunet. Prawie codziennie, zaraz po zachodzie słońca, zajmują to samo miejsce i niespiesznie rozkładają sprzęt. Gitara, mikrofon, wzmacniacz, pudełko na pieniądze. Do tego tabliczka z nazwą ich duetu, Evde gibi, Jak w domu, i logiem Instagrama –

wskazówką, jak ich znaleźć. Siadają na plastikowych taboretach. Jeszcze tylko szybki papieros i zaczynają grać.

Słowa zna każdy, w końcu śpiewają tureckie szlagiery. Dźwięk niektórych melodii zatrzymuje przechodniów. Tłum gęstnieje, zaczyna nucić, klaskać, falować. Czasem daje się porwać. Tańczy, przyspiesza. Śmiech, objęcia, rozwiane obrotami włosy i zachwyt lawirujących między tańczącymi parami dzieci. Obcy sobie ludzie, o dziwnie rozświetlonych twarzach i ciałach pełnych emocji.

Jedna ze słuchaczek nieśmiało szepcze im coś do ucha. Skinienie głową, zgodzili się. Podchodzi do mikrofonu. Od stóp do głów w czarnym czadorze, widać tylko pokrytą głębokimi zmarszczkami twarz. Zaczyna śpiewać sobie tylko znaną historię. Proste słowa o tęsknocie i sercu, które zostało w Anatolii. Chłopak z gitarą z łatwością do nich improwizuje, ich uczucia współgrają, czytają je wszyscy. Kobieta milknie, przysiada na wypchanej torbie w kratę. Wybucha płaczem i pada w objęcia siedzącej obok koleżanki, może siostry, sąsiadki? Też w czadorze, też na torbach. Co je tu sprowadziło? Odchodzą, głośno szlochając.

Czy to te emocje przestraszyły rządzących? Ich głębia czy to, że nigdy nie wiadomo, która z nich wypłynie na zewnątrz? A przecież rozbrzmiewa nimi od rana do nocy całe miasto. Na jednej ulicy potrafi rozłożyć się dwóch grajków. Najprawdopodobniej połączą wtedy siły i zaczną grać razem. Nic nie szkodzi, że widzą się po raz pierwszy w życiu. Dla Stambułu uliczna muzyka to uniwersalny język.

W mieście pojawiły się wielkoformatowe grafiki – u góry panorama Stambułu, u dołu klawisze i nuty, w środku skrzypce i napis: „Daj się ponieść muzyce”. – W metrze, przejściach podziemnych, gdziekolwiek, grać można tylko w miejscach oznaczonych grafiką i po uzyskaniu pozwolenia. Nawet nieoznakowane miejsca tak naprawdę są uregulowane. Z góry wiadomo kto, gdzie i w jakich godzinach gra – opowiadają mi Evde gibi w przerwie na papierosa. Grają jako duet, ale na wszelki wypadek oboje mają pozwolenia.

Zniknęła spontaniczność. Studenci nie wyciągają już na promach gitar, by umilać pasażerom te dziesięć, dwadzieścia minut, jakie zajmuje przepłynięcie z europejskiej na azjatycką stronę miasta. Teraz na każdym pokładzie jest tabliczka informująca o zakazie takiego grania. Obok grafika „muzyczny przystanek". Ci, którzy występują na jej tle, zazwyczaj kursują w tę i z powrotem przez kilka godzin. Na szyjach mają specjalne plakietki – pozwolenia.

Evde gibi kończą przerwę. Ponad falami niesie piosenka Taana Kangöze, przebój sprzed lat: *Ölüm gibi bir şey oldu. Ama kimse ölmedi*. Zdarzyło się coś jakby śmierć. Chociaż nikt nie umarł.

W Stambule podobno wciąż można utrzymać się z ulicznego grania.

*

Zaledwie kilka kilometrów dalej, również nad samym brzegiem Bosforu, tańczą dziesiątki par. Zablokowali cały chodnik, ścieżkę rowerową i trawnik. Aż cud, że nikt w tym pełnym salsy zgiełku nie wpadł jeszcze do wody. Zbierają się co środę w Modzie, okolicy na obrzeżach Kadıköy. Chodź, dołącz! Nie znasz kroków? To nie problem, stań z tyłu i naśladuj! – zachęcają.

Kilka lat wcześniej tańczyli tak na pobliskim dworcu kolejowym Haydarpaşa. Otoczony z trzech stron wodą, wygląda jak zamek wyrastający wprost z błękitu Bosforu. W środku witraże i wysokie łuki z kwiatowymi motywami, które przywodzą na myśl stylistykę imperium osmańskiego. Wtedy właśnie został wybudowany. To od niego zaczynała się legendarna droga kolejowa prowadząca do Bagdadu. I choć jest jedną z ikon miasta, od czerwca 2013 roku nie zatrzymał się tu żaden pociąg. Wszystko przez pożar, który strawił znaczną część dachu. Według tancerzy był to pożar polityczny. Podpalenie, mające umożliwić przemianę Haydarpaşy w hotel lub luksusowe centrum handlowe. Raz na kilka miesięcy organizowali więc w jego murach taneczny protest. Profesjonaliści i amatorzy tańcem dawali wyraz temu, że nie wszystko jest na sprzedaż.

Teraz jednak ich taniec jest zupełnie niepolityczny. Na wciąż niepewne losy Haydarpaşy nie mają wpływu. Dworzec jest zamknięty w klatce z rusztowań budowlanych, trwa renowacja. Oni spotykają się co tydzień, o tej samej porze, w tym samym miejscu, by cieszyć się muzyką i swoim towarzystwem.

Na wszelki wypadek *bekçi* i tak ich obserwują. Wychodzą po zmroku, patrole nocnych orłów, jak są nazywani. Leżąc w łóżku, chcę słyszeć na ulicach gwizdki *bekçich* – zarządził prezydent Erdoğan. Młode chłopaki, do służby kwalifikują się do trzydziestego roku życia. Mają pilnować porządku i sprawiać, by obywatele mogli spać spokojnie. Wielu kojarzą się bardziej z policją obyczajową rodem z Iranu. Wyrywkowo legitymują ludzi i sprawdzają, czy sklepy przestrzegają zakazu sprzedaży alkoholu po dwudziestej drugiej. Łatwo ich rozpoznać po brązowych koszulach.

Teraz trzymają się na uboczu. Po prostu patrzą na tańczących. Przechodzę obok nich razem z moją współlokatorką, Başak. Ta mierzy ich wzrokiem.

– Widzisz, nasza wolność potrafi się przemieszczać. Kiedy na Taksimie zabrakło dla niej miejsca, wyemigrowała do Kadıköy. Problem w tym, że razem z nią wędruje strach, że i to miejsce się skończy. Ile go zostało i na jak długo? – zawiesza głos.

Wracamy powolnym krokiem do domu, rzucając okiem na Haydarpaşę. Jego zamkowa bryła przesłania wieżowce, które wyrosły po europejskiej stronie w ciągu ostatnich kilku lat. Doskonale za to widać podświetlane nocami Hagię Sophię i Błękitny Meczet. Stambuł jak z dawnych pocztówek. Nowoczesność wkrada się w ten krajobraz jedynie neonem zwieńczającym budynek szpitala Siyami Ersek. Neon ma kształt wykresu EKG, układającego się w linię panoramy miasta, z sercem pośrodku. Puls miga na czerwono, czasem przygasa i znika w ciemności. Ale po chwili wraca. Zawsze wraca.

Podziękowania

Chciałabym wyrazić swoją wdzięczność wszystkim, którzy przez ostatnie dziesięć lat pomagali mi zrozumieć zarówno Starą, jak i Nową Turcję. Nie sposób ich tutaj wymienić.

W szczególności dziękuję:

Bohaterom tej książki – za zaufanie i gotowość poniesienia ryzyka, jakim dla wielu z nich były spotkania ze mną. Na ich prośbę nazwisk kilku osób nie podaję.

Adrianowi Stachowskiemu – za to, że od samego początku doskonale czuł, co chcę przez tę książkę powiedzieć, i z wielkim zaangażowaniem towarzyszył mi w poszukiwaniach właściwego języka.

Katarzynie Surmiak-Domańskiej – za cenne uwagi, zwłaszcza wskazówkę, by zamiast korespondencji zagranicznej pisać film.

Piotrowi Zalewskiemu – za bezinteresowną pomoc oraz redakcję merytoryczną.

Jury konkursu reporterskiego Wydawnictwa Poznańskiego – Monice Długiej, Magdalenie Kicińskiej, Cezaremu Łazarewiczowi, Włodzimierzowi Nowakowi i Katarzynie Surmiak-Domańskiej – za to, że wybrali mój projekt i uwierzyli, że będę w stanie go zrealizować.

Mojemu Tacie oraz Przyjaciołom – za to, że zrozumieli, dlaczego znów przenoszę swoje życie do Turcji, i wspierali mnie w pokonywaniu związanych z tym wyzwań.

A także wszystkim, którzy zachęcali mnie, bym pisała – nie tylko o Turcji.

Wybrana bibliografia

Literatura:

Baysal Nurcan, *O sesler*, Ankara 2018

Demirtaş Selahattin, *Seher*, Ankara 2017

Göncu Gürsel, *#Yaşarken Yazılan Tarih*, Stambuł 2013

Gül Murat, *Architecture and the Turkish City: An Urban History of Istanbul since the Ottomans*. Londyn, Nowy Jork 2017

Gül Murat, *The Emergence of Modern Istanbul. Transformation and Modernisation of a City*, Londyn, Nowy Jork 2012

İş Cinayetleri Almanağı 2016, Stambuł 2017

İş Cinayetleri Almanağı 2017, Stambuł 2018

İş Cinayetleri Almanağı 2018, Stambuł 2019

Kołodziejczyk Dariusz, *Turcja*, Warszawa 2000

Majda Tadeusz (red.), *Leksykon wiedzy o Turcji*, Warszawa 2003

Oral Ünver, *Turkish shadow play Karagöz*, Ankara 2009

Prasa – wydania papierowe:

Express, wydanie specjalne 2013/136

Leman, Çizgili Gezi Atlası, wydanie 2013/11

Penguen Gezi, Özel çapulcu arşivi, wydanie 2013/1

Yeni Şafak, wydanie specjalne 15.07.2018

Prasa – wydania internetowe:

17 Ağustos Depremi: 1999 ve sonrasında neler yaşandı, kaç kişi hayatını kaybetti?, BBC Türkçe, https://www.bbc.com/turkce/haberler-turkiye-49322860

111 isimden çağrı: Nuriye Gülmen ve Semih Özakça ölmesin!, t24.com, https://t24.com.tr/haber/111-isimden-cagri-nuriye-gulmen-ve-semih-ozakca-olmesin,411216

AKM yıkıldı, yeni bina için adım atılmadı, Gazete Duvar, https://www.gazeteduvar.com.tr/gundem/2018/10/31/akm-yikildi

Altayli Birsen, Caglayan Ceyda, *Turkish cities could become 'graveyards' with building amnesty*, engineers say, Reuters, https://www.reuters.com/article/us-turkey-construction/turkish-cities-could-become-graveyards-with-building-amnesty-engineers-say-idUSKCN1QF1VU

Anderson Scott, *The Hunger Warriors*, New York Times, https://www.nytimes.com/2001/10/21/magazine/the-hunger-warriors.html.

Arango Tim, *Mosque Dream Seen at Heart of Turkey Protests*, New York Times, https://www.nytimes.com/2013/06/24/world/europe/mosque-dream-seen-at-heart-of-turkey-protests.html

Ayşe Gül Altınay'ın Beyanı, Bianet, https://bianet.org/bianet/ifade-ozgurlugu/ 203420-ayse-gul-altinay-in-beyani

Barış İçin Akademisyenler'in 1128 imzayla açıkladığı bildirinin tam metni, t24.com, https://t24.com.tr/haber/baris-icin-akademisyenlerin-1128-imzayla-acikladigi-bildirinin-tam-metni,324471

Baysal Nurcan, *The longest curfew in the world continues in my hometown of Sur*, Diyarbakır, Ahval, https://ahvalnews.com/southeast-turkey/longest-curfew-world-continues-my-hometown-sur-diyarbakir?utm_term=Autofeed&utm_medium=Social&utm_source=Facebook&fbclid=IwAR17cSMggVTiCPgg7yYvvGhPVuPkkTb0MZDTukjiEGcZjhHFRauZCmJy7Bk#Echobox=1575811111

Baysal Nurcan, *The second era of trustee rule in Turkey's Kurdish-majority southeast*, Ahval, https://ahvalnews.com/trustees/second-era-trustee-rule-turkeys-kurdish-majority-southeast

Beş vakit ezan okunan kadınlara özel muhafazakar AVM erkekler tarafında acıldı, Sendika.org, http://sendika62.org/2018/05/bes-vakit-ezan-okunan-kadinlara-ozel-muhafazakar-avm-erkekler-tarafindan-acildi-491700

Bourli Vasiliki, Dadaş Merve and Lira Mateus, *Beyoglu I will survive! Collective Memory and Radical Urban Transformations in Istanbul*, Beyond İstanbul, https://beyond.istanbul/beyoglu-i-will-survive-collective-memory-and-radical-urban-transformations-in-istanbul-2049fb60e5a5

Bowcott Owen, *Hope dies in Turkish prison hunger strike*, https://www.theguardian.com/world/2002/jan/19/owenbowcott

Bozkurt Hilal, Malani Sneha, *The Disaster Before the Disaster: Building Resilience in Istanbul*, Beyond Istanbul, https://beyond.istanbul/thedisaster-before-the-disaster-building-resilience-in-

istanbul-41e74b61bf5f

Cansu Burcu, *İnsan Hakları Anıtı'na abluka*, BirGün, https://www.birgun.net/haber/insan-haklari-aniti-na-abluka-160753

Caperton Morton Mary, *Closing Istanbul's seismic gap*, Earth Magazine, https://www.earthmagazine.org/article/closing-istanbuls-seismic-gap

CHP'den 'beton orman' raporu: 493 afet toplanma alanının 416'sına AVM dikildi, Diken, http://www.diken.com.tr/chpden-beton-orman-raporu-493-afet-toplanma-alaninin-416sina-avm-dikildi

Decades in the making, Taksim mosque finally goes ahead, Daily Sabah, https://www.dailysabah.com/istanbul/2017/02/18/decades-in-the-making-taksimmosque-finally-goes-ahead

Demirtaş Selahattin, *Selahattin Demirtaş Writes From a High Security Turkish Prison "The words in my head have never been so free*", Lithub.com, https://lithub.com/selahattin-demirtas-writes-from-a-high-security-turkish-prison

Doğan Rıfat, *Tarlabaşı'nda hukuksuzluk tescillendi: Danıştay iptali onadı*, Artı Gerçek, https://artigercek.com/haberler/tarlabasi-nda-hukuksuzluktescillendi-danistay-iptali-onadi

Dostlarından Mektup: Teşekkürler Osman, Teşekkürler Hayat, Bianet, http://bianet.org/bianet/yasam/223959-dostlarindan-mektup-tesekkurler-osman-tesekkurler-hayat

Erdoğan 'Yeni Türkiye inşası'nın başlatılacağı ilçeyi açıkladı, Radikal, http://www.radikal.com.tr/turkiye/erdogan-yeni-turkiye-insasinin-baslatilacagi-ilceyi-acikladi-1359279

Four die in Turkish police raids, https://edition.cnn.com/2001/WORLD/europe/11/05/turkey.deaths/index.html

Furtuna Çiğdem, Kırlangıç Öncül, *Dünyanın En İyi Konut Projelerinden Biri Düzce'de. Peki Kredi Nerede?*, Beyond Istanbul, https://beyond.istanbul/ d%C3%BCnyan%C4%B1n-en-i%CC%87yi-konut-projelerinden-biri-d% C3%BCzcede-peki-kredi-nerede-4d3bf60a189d

Girit Selin, *AKM: Türkiye'nin ilk opera binası çürümeye mi terk edildi?*, BBC Türkçe, https://www.bbc.com/turkce/haberler/2015/03/150326_akm_ ilk_opera_binasi

Girit Selin, *Fotoğraflarla: Dünden bugüne AKM*, BBC Türkçe, https://www.bbc.com/turkce/haberler/2015/03/150326_akm_tarih

Grup Yorum'dan İbrahim Gökçek Ölüm Orucunu Sonlandırdı, Bianet, https://bianet.org/1/13/223822-grup-yorum-dan-ibrahim-gokcek-olum-orucunu-sonlandirdi

IPI joins international press freedom groups to condemn SETA report, https://freeturkeyjournalists.ipi.media/ipi-joins-international-press-freedomgroups-to-condemn-seta-report

İmar barışında çürük bina uyarısı!, Emlak Kulisi, https://emlakkulisi.com/imar-barisinda-curuk-bina-uyarisi/598146

İnsan Hakları Anıtı Serbest Bırakıldı, Bianet, https://bianet.org/bianet/insanhaklari/199491-insan-haklari-aniti-serbest-birakildi

İşte yeni Atatürk Kültür Merkezi, Sabah, https://www.sabah.com.tr/galeri/turkiye/iste-yeni-ataturk-kultur-merkezi

Kamer Hatice, *Cemile Çağırga'nın annesi: 'O gece kızımın cesedini koynuma alarak uyudum'*, BBC Türkçe, https://www.bbc.com/turkce/haberler/2015/09/150913_cizre_cemileninolumu_hatice_kamer

Kartal'da Çöken Binanın Bilirkişi Ön Raporu Tamamlandı, Bianet, https://bianet.org/bianet/kent/205552-kartal-da-coken-binanin-bilirkisi-on-raporu-tamamlandi?bia_source=facebook&utm_source=dlvr.it&utm_medium=facebook

Köseoğlu Beril, Gazete Duvar, *'Yeni' Emek Sineması ve Grand Pera'da bir gün*, https://www.gazeteduvar.com.tr/kultur-sanat/2016/10/05/yeni-emeksinemasi-ve-grand-perada-bir-gun

Letsch Constanze, *Corset shop closure shows Istanbul is losing its rich fabric of traders,* The Guardian, https://www.theguardian.com/world/2015/dec/28/corset-shop-closure-istanbul-losing-rich-fabric-traders

Nuriye Gülmen ve Semih Özakça açlık grevini sonlandırdı, Evrensel, https://www.evrensel.net/haber/344200/nuriye-gulmen-ve-semih-ozakca-aclikgrevini-sonlandirdi

Osman Kavala'ya Dostlarından Doğum Günü Hediyesi, Bianet, https://bianet.org/bianet/insan-haklari/213904-osman-kavala-ya-dostlarindan-dogum-gunu-hediyesi

Osterlund Paul, *Forced Out of its Original Location After 80 Years, An Istanbul Corset Shop Starts from Scratch*, Balkanist.net, https://balkanist.net/historic-istanbul-corset-shop-starts-from-scratch

Öğreten Tunca, *Cenazesi iki gün buzlukta kalan Cemile'nin annesinden mesaj var: Hakkınızı helal edin*, Diken, http://www.diken.com.tr/cenazesi-ikigun-derin-dondurucuda-kalan-cemilenin-annesinden-mesaj-var-hakkinizi-helal-edin

Özden Özge, Barın Damla, Pürüzsüz Can, *Atatürk Kültür Merkezi*, 140journos, https://140journos.com/ataturk-kultur-merkezi-29073a040dd7

Reporters Without Borders, *Turkish think-tank report escalates harassment of journalists*, https://rsf.org/en/news/turkish-think-tank-report-escalatesharassment-journalists

Shetty Salil, *A Journey Into the Dark Heart of Turkey's Prison System*, Newsweek, https://www.newsweek.com/turkey-high-security-prison-amnesty-salil-shetty-663656

Seven Dilan, *Jailed Kurdish artist Zehra Doğan recalls war at Tate Modern*, Ahval, https://ahvalnews.com/turkey-kurds/jailed-kurdish-artist-zehra-dogan-recalls-war-tate-modern?utm_term=Autofeed&utm_medium=Social&utm_source=Facebook&fbclid=IwAR0eM6D5QoSwYMpKau9QL2msK0cJWCibnEUEon1fwrZQpSAY3A5uqqouE_M#Echobox=1558948002

Söylemez Ayça, *İbrahim Gökçek: Ben de Yaşamak İstiyorum Elbette*, Bianet, https://bianet.org/bianet/insan-haklari/223656-ibrahim-gokcek-ben-de-yasamak-istiyorum-elbette

Taner Kılıç released after 432 days in jail, Amnesty International UK, https://www.amnesty.org.uk/taner-kilic-released

Tekin Deniz, *The annihilation of collective memory and life in concrete blocks in Diyarbakır*, Ahval, https://ahvalnews.com/diyarbakir/annihilation-collective-memory-and-life-concrete-blocks-diyarbakir?utm_term=Autofeed&utm_medium=Social&utm_source=Facebook&fbclid=IwAR1l3atOFQ_U5SUXnZBddRpoeMMb5CZWwdlLyk8pq1QaMdA-Tsf1ppdTePw#Echobox=1569681391

Tepkiler gelince Şehit Ömer Halisdemir'in heykeli kaldırıldı, Yeni Akit, https://www.yeniakit.com.tr/haber/tepkiler-gelince-sehit-omer-halisdemirin-heykeli-kaldirildi-368047.html

Terror attacks in Turkey between 2011 and 2017, 140journos, https://140journos.com/terror-attacks-in-turkey-between-2011-and-2017-4b5981c974ca

Torun Center'ın asansörü en az yüz kere düştü, Siyasi Haber, http://siyasihaber4.org/torun-centerin-asansoru-en-az-yuz-kere-dustu

Turkey hunger striker Gulmen found guilty but released, BBC, https://www.bbc.com/news/world-europe-42203035

Veli Saçılık'a Plastik Mermi Yağmuru TBMM Gündeminde, Onedio, https:// onedio.com/haber/veli-sacilik-a-plastik-mermi-yagmuru-tbmm-gundeminde-772795

Yackley Ayla Jean, *Gentrification tears at Istanbul's historically diverse fabric*, Reuters, https://uk.reuters.com/article/us-turkey-gentrification/gentrification-tears-at-istanbuls-historically-diverse-fabric-idUKKBN0II0G020141029

Zehra Doğan, *It is not only art that has had boundaries drawn around it in Turkey*, https://www.indexoncensorship.org/2019/04/awards-zehra-dogan-speech

Zehra Doğan, *Painting as evasion from Erdoğan's scorpions*, http://www.kedistan.net/2020/01/21/zehra-dogan-painting-as-evasion/?fbclid=IwAR1AK7lWGTESy4mRBeiLEjxOPs7agC6g_dES9bglj__dQWN0dYAJpX_1z3o

Raporty:

Amnesty International Public Statement, *Turkey: Security operations in south-east Turkey risk return to widespread human rights violations seen in the 1990s*, AI Index: EUR 44/4366/2016, 30 June 2016, https://www.amnesty.org/download/Documents/EUR4443662016ENGLISH.pdf

Çağlar İsmail, Akdemir Kevser Hülya, Toker Seca, *Uluslararası medya kuruluşlarının Türkiye Uzantıları*, https://setav.org/assets/uploads/2019/07/R143Tr.pdf

Human Rights Watch, *Turkey: Mounting Security Operation Deaths*, https://www.hrw.org/news/2015/12/22/turkey-mounting-security-operation-deaths

Office of the United Nations High Commissioner for Human Rights, *Report on the human rights situation in South-East Turkey; July 2015 to December 2016*, https://www.ohchr.org/Documents/Countries/TR/OHCHR_South-East_TurkeyReport_10March2017.pdf

Reporters Without Borders, Bianet, Media Ownership Monitor, http://turkey.mom-rsf.org/en/context/politics

Reporters Without Borders, *Turkey*, https://rsf.org/en/taxonomy/term/145

Türkiye İnsan Hakları Vakfı, *79-day Curfew Cizre Field Report*, Cizre 31 marca 2016

Źródła internetowe:

Strony, serwisy:

https://barisicinakademisyenler.net

https://www.ihd.org.tr

http://iscinayetleriniunutma.org

https://www.karagoz.net

https://osmankavala.org/tr

https://www.setav.org

http://www.toruncenter.com

https://zehradogan.net

Blogi:

http://www.emekhepimizin.com

http://emeksinemasi.blogspot.com

https://mutlukent.blog

http://nurcanbaysal.com

http://nurcanbaysal.blogspot.com
https://reclaimistanbul.com
http://tarihisinemasalonlari.blogspot.com

Nagrania:

Mowa Munjeda Al Munderisa na TEDex Sydney, https://tedxsydney.com/talk/from-refugee-to-medical-revolutionary

Nagranie Beyaz Show z udziałem Ayşe Çelik, https://www.youtube.com/watch?v=_0yG5Ljqj6c

Nagranie ze Światowego Forum Ekonomicznego w Davos w 2009 roku, https://www.youtube.com/watch?v=9Tr5mqI7D0w&t=64s

Wywiad z Munjedem Al Munderisem: *On Sunday Nights with John Cleary, The Interview: Dr Munjed Al Muderis*, https://www.abc.net.au/radio/programs/sundaynights/the-interview-dr-munjed-al-muderis/7739262



Zamach stanu 15 lipca 2016 roku przypomniał nam, kim naprawdę jesteśmy – mówi Ahmet. („Mit")

fot. Stringer/Getty Images



W stambulskiej dzielnicy Eyüp gablotę wystawiono wprost na chodniku. W środku zmiażdżony samochód. Jeden z tych, po których 15 lipca przejechał czołg. („Mit")

fot. Agnieszka Rostkowska



W rocznicę zamachu stanu Halisdemir wita przybyłych na Taksim. Z jego woskową figurą naturalnych rozmiarów zdjęcie chce mieć każdy, ledwo można się dopchać. („Mit")

fot. Agnieszka Rostkowska



Idziemy jeszcze rzucić okiem na centrum kultury i park imienia Halisdemira. Są na uboczu, podobnie jak ściana pamiątkowa z portretem bohatera i jego krótkim życiorysem. („Mit")

fot. Agnieszka Rostkowska



To z dachu AKM robione są spektakularne zdjęcia tłumów demonstrujących w czasie Gezi. („Symbol”)

fot. Uriel Sinai/Getty Images



Na dach wspina się i Cem Yakışkan, lider Çarşı. Razem z przyjaciółmi wywiesza transparent z podobizną najlepszego kumpla, Optika. („Symbol”)

fot. Cumhur Kemal Eksen/Moment Editorial/Getty Images



Eser doskonale pamięta, jak członkowie jednego z forów obywatelskich przemalowali schody łączące stambulską dzielnicę Cihangir z nadbosforską ulicą Meclisi-i Mebusan. („Bunt”)

fot. Agnieszka Rostkowska



Squat Don Kişot służy przede wszystkim jako centrum aktywizmu. („Bunt")
fot. Agnieszka Rostkowska



Plac Taksim już na etapie projektu nasiąknął symbolizmem. („Symbol”)
fot. Agnieszka Rostkowska



Szeptem albo mimochodem. Rozglądając się dookoła. A najczęściej wcale. Tak rozmawia się na tureckich ulicach o meczecie na Taksimie. („Symbol”)

fot. Agnieszka Rostkowska



Deniz może być pewien, że w İnci Pastanesi, Cukierni İnci, ma dożywotnie wyżywienie. („Więź”)

fot. Agnieszka Rostkowska



Emin pochyla się nad tygielkiem. Zanim umoczy pędzel, pociągnie z niego łyk, dla smaku. („Przebudowa”)

fot. Agnieszka Rostkowska



W oczach dzieciaków z Sulukule Tahribad-ı İsyan szybko urośli do rangi gwiazd. („Przebudowa")

fot. Agnieszka Rostkowska



Członkowie 1 Umut zbierają się w każdą pierwszą niedzielę miesiąca przed stambulskim liceum Galatasaray. („Przebudowa”)

fot. Agnieszka Rostkowska



To Stambuł jest nieformalną stolicą Nowej Turcji. („Przebudowa”)

fot. Agnieszka Rostkowska



Co do jednego sporów nie ma: Stambuł nie jest przygotowany na trzęsienie ziemi. („Przebudowa”)

fot. Agnieszka Rostkowska



Afra łucznictwo trenuje od czterech lat, jazdę konną od trzech. Połączenie dyscyplin zasugerował jej instruktor. („Duma")

fot. Agnieszka Rostkowska



Mehmet Şükrü Alkan jako jedyny z trzydziestu sześciu członków zespołu nadal ma na sobie ciężki, czerwony płaszcz i wysoką czapkę. („Duma")

fot. Agnieszka Rostkowska



Na przedwyborczych wiecach pojawiły się flagi z podobizną Erdoğana na tle herbu imperium osmańskiego. („Duma")

fot. Agnieszka Rostkowska



Gdy policjanci wywlekali Nuriye i Semiha z łóżek, pomnik zaczytanej w prawa człowieka kobiety był otaczany barierkami. („Głód”)

fot. Barcroft Media/GettyImages



Szeroki uśmiech zmieniał oczy Nuriye w figlarne półksiężyce. („Głód")

fot. Barcroft Media/GettyImages



Sobotnie Matki wznowiły swoje spotkania. Licznik znowu ruszył.
(„Niepewność”)
fot. Agnieszka Rostkowska



Ponoć to drugie najpotężniejsze mury świata, długością ustępujące tylko Wielkiemu Murowi Chińskiemu. („Skrawki”)

fot. Agnieszka Rostkowska



– Wybuch bomby okazał się jedynie zapowiedzią walki. Na dobre rozpoczęły ją w moim życiu dopiero protezy – mówi Lisa. („Siła”)

fot. Esra Gültekin



Mehmet co drugie zdanie kończy krótkim okrzykiem: he! („Siła”)

fot. Agnieszka Rostkowska



Pomiędzy ścianami z kostek mydła wyrastają mydlane góry, owalne mydlane wieże i otaczające je mydlane fosy. („Mozaika”)

fot. Agnieszka Rostkowska



W położonym na wschód od Gaziantep mieście Şanlıurfa można ulec wrażeniu, że jest się już w Syrii. („Mozaika”)

fot. Agnieszka Rostkowska



Studenci nie wyciągają już na promach gitar. („Muzyka”)

fot. Agnieszka Rostkowska